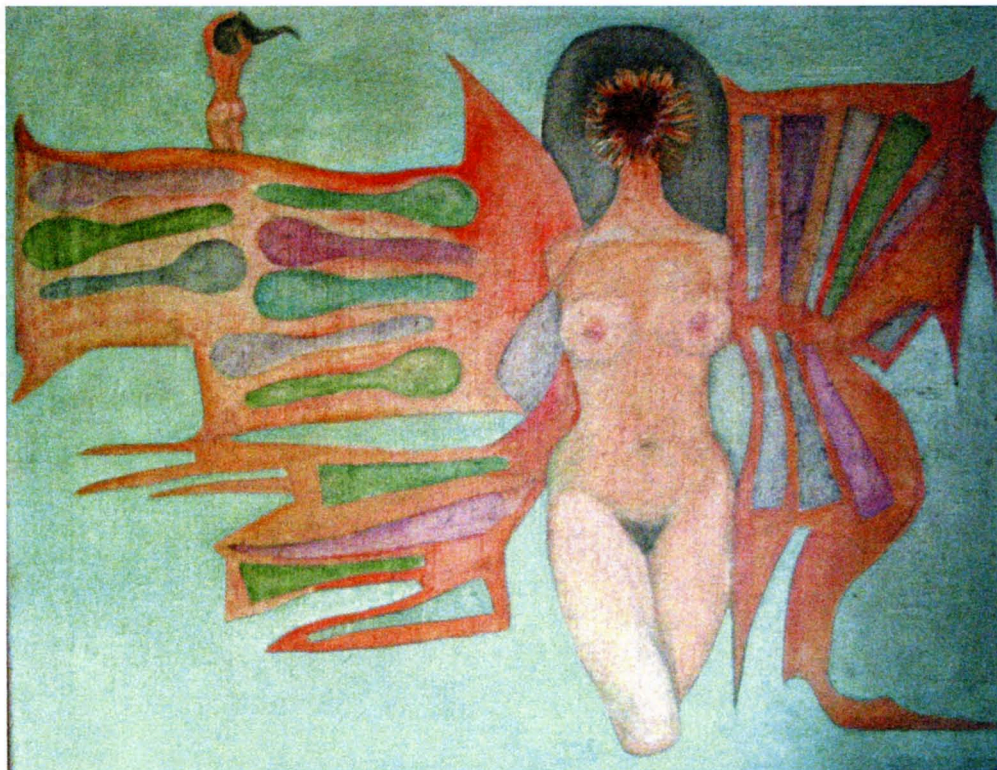


FORUM 38-39

MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



JANINA BERDAK, 1971, *Koniec jesieni nadchodzi zima*, olej, płótno, 50x70cm

W numerze m.in.:

- **TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI**, Koszary naukowe i życie.....
- **CZESŁAW BANACH**, Europa i Polska w perspektywie roku 2050...
- **JERZY KOLARZOWSKI**, Religijne i prawno - naturalne źródła praw człowieka: Samuel Pufendorf
- **PAWEŁ MŁAK**, Celebryt - ulubieniec ekranów
- **JERZY FRAN CZAK**, Conrad, sprawa polska i postkolonializm
- **BOLESŁAW FARON**, Sędziwego pisarza opowiadania i wiersze...
- **ADAM ZIELIŃSKI**, Mario del Monaco i górale

SPIS TREŚCI:



RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab. Antoni Podraza
– przewodniczący,

prof. dr hab. Czesław Banach
– wiceprzewodniczący,
mgr Jan Nowak – sekretarz.

Członkowie:

prof. Wiesław Bielań,
prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Ignacy Fiut,
prof. dr hab. Marian Grzybowski,
dr Józef Kabaj,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
dr Jerzy Kolarzowski,
dr Jan Kozłowski,
prof. dr hab. Józef Lipiec,
mgr Mieczysław Noworyta,
prof. dr hab. Jerzy Ochman,
prof. dr hab. Jan Szmyd,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński,
prof. dr Adam Zieliński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/6
tel. 012 423-50-16
e-mail: stanfranczak@wp.pl;
isfiut@uci.agh.edu.pl;
<s.marynowicz@mcldn.edu.pl>
masdz@interia.pl
skalab@o2.pl

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/6
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny im. Lidii i Leona
Świeżawskich

Fotoskład:

Barbara Pietryka
ZST SKaBa, 31-422 Kraków,
ul. Strzelców 9/1
tel. 012-35-87-915, 500-141-674
e-mail: skalab@o2.pl

Druk:

Drukarnia
Uniwersytetu Jagiellońskiego
w Krakowie, ul. Czapskich 4,
tel. 012-422-59-41, 012-422-94-44

ISSN 1507-4781, Index 325813

- 1 **SŁOWO OD REDAKTORA**
- 2 **TEMATY SPRZED LAT.** Tadeusz Boy-Żeleński. „*Koszary naukowe*” i „*życie świadome*”.
- 4 Krzysztof Bieńkowski, *Panie Broniewski, ...A jednak* (wiersze).
- 5 **PAŃSTWO, KOŚCIÓŁ, EDUKACJA.** Jan Nowak, *W 10. Rocznicę ratyfikacji Konkordatu Polska – Watykan*.
- 8 S. Franczak, *Aforyzmy*.
- 9 Czesław Banach, *Europa i Polska w perspektywie roku 2050 – zadania polskiej edukacji*.
- 15 *Stanowisko uczestników VI Ogólnopolskiego Zjazdu Pedagogicznego Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego w sprawie stanu i perspektyw rozwoju edukacji w Polsce*.
- 20 **PUBLICYSTYKA NAUKOWA.** Jerzy Kolarzowski, *Religijne i prawno – naturalne źródła praw człowieka: Samuel Puferdorf*.
- 24 Ignacy S. Fiut, *Jesteśmy fala* (wiersz).
- 25 Paweł Mlak, *Celebryt – ulubieniec ekranów*.
- 32 Jerzy Franczak, *Conrad, sprawa polska i postkolonializm*.
- 36 **PORTRETY, RECENZJE, TRÓRCZOŚĆ.** Bolesław Faron, *Sędziwego pisarza opowiadania i wiersze z początku XXI wieku*.
- 39 Julian Kawalec, *Kocham was dzieci; Tak się trochę pozwierzam*.
- 40 Julian Kawalec, *Słowo, Czas, Przeprowadzka do dzieciństwa*.
- 43 Ignacy S. Fiut, *O sile i wymiarach poetyckiej dojrzałości*.
- 49 Helena Gordziej, *Wstydzę się patrzeć; Anna Kajtochowa *** (Oprócz prawd...), *** (Jedyną oczywistością...)* – wiersze.
- 50 Stanisław Franczak, *Falsyfikat; *** (Na Kazimierzu cień...); Pożegnanie Olega Błochina; Czas i przestrzeń; Narodziny* (wiersze).
- 51 Tadeusz Skoczek, *Neoautentyzm sztuką prawdy*.
- 53 Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz, *Zaduszki* (wiersz)
- 54 **FELIETONY.** Józef Kabaj, *(Za)ćmienie*.
- 59 Jan Socha, *Tak naprawdę*.
- 62 **REPORTAŻ.** Krzysztof Streich, *Sacrum Adama Zielińskiego w Wiedniu*.
- 65 Adam Zieliński, *Mario del Monaco i górale **
- 67 Jerzy Hyrjak, *Mój pobyt w „Bushlandzie”*.
- 70 Ignacy S. Fiut, *Pirat* (wiersz)
- 71 **WYWIAD.** Jarzy Zagórzański, *Nieznani ludzie których warto poznać*.
- 78 Jerzy Hyrjak, *Taki los*.
- 80 Bogusław Nowaliński, *Chleb* (wiersz).
- 81 **KRYTYKA LITERACKA.** Ignacy S. Fiut, *Poeci w poszukiwaniu własnej tożsamości*.
- 92 **ROCZNICE.** Jan Józef Nowak *ma już 80 lat*.
- 94 Maria Koch, *Uroczystości ku czci Tadeusza Boya – Żeleńskiego*.
- 96 Ludwik Góra, *Jubileusz*.
- 97 Marian Dziwisz, *Nauczyciel* (wiersz)
- 98 *W świecie lirycznego słowa* [Dialog pomiędzy Marianem Dziwiszem a Anna Kuklą – wiersze]
- 100 **WYDARZENIA, KOMENTARZE.** Czesława Jolanta Kotarba
- 105 **POEZJA ZAGRANICZNA.** Andrzej Wala, *Ból przemijania, Żal; Zbigniew Budek, Szczęśliwe podwórko, wieszcz poszukiwany; Jerzy Czyż, Taka chwila..., Erotyk męski*.
- 107 **MYŚLI.** Wybrała Czesława Jolanta Kotarba
- 108 Jerzy Hyrjak, „*Pod Krzyżykiem*” – *Pani Natalii Hojny* (wiersz)

Redaktor naczelny: Stanisław Franczak

Zespół redakcyjny: Ignacy S. Fiut, Jerzy Hyrjak i Sylwester Marynowicz (zastępcy red. nacz.), Czesława Jolanta Kotarba (sekretarz), Marian Dziwisz (zastępca sekretarza), Julian Kawalec, Maciej Naglicki, Barbara Pietryka (red. techniczny).

Opracowanie graficzne: Stefan Berdak

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych.

SŁOWO OD REDAKTORA



Już zapomnieliśmy o olimpiadzie w Pekinie i dramatycznych obrazach wojennych w Gruzji, a było to tak niedawno, zresztą przywykliśmy do ciągnących się latami aktów terroru w Iranie czy Afganistanie, zamachów politycznych i porwań. Media dodatkowo zasypują nas rozlicznymi kronikami kryminalnymi. Obojętnie przechodzimy nad tym wszystkim i martwimy się własnymi sprawami, pracą, rodziną. Życie toczy się dalej.

Ale są wydarzenia, które nas niepomniernie zadziwiają i dezorientują. Ot, choćby manifestacja tzw. prawdziwych katolików spod znaku o. Rydyka tuż po śmierci znanego i cenionego polityka prof. Bronisława Geremka, którzy nieśli transparenty z napisami „Boże, dobrze, że go zabrałeś”

Spuśćmy jednak na to zasłonę miłosierdzia.

Z kolei nie bez zdziwienia przeczytaliśmy wywiad w „Naszym Dzienniku” (14 VIII 2008) z pewnym księdzem, którego nazwiska nie wymienię, że powstanie warszawskie dlatego upadło, bo była to kara patronki Warszawy Królowej Maryji za to, iż przed wojną przeprowadzono ok. pół miliona aborcji i tylu też warszawiaków musiało polec. Sądzę więc, że teraz wreszcie wszystko jest jasne, prawda?!!

A przy okazji obchodów rocznicowych Powstania Warszawskiego tłum zgromadzony u stóp pomnika wygwizdał m.in. prof. W. Bartoszewskiego, A. Macierewicza i J. Olszewskiego. O, czasy, o obyczaje! Jakże kręte są drogi historii.

Ten sam Jarosław Kaczyński występował też w gronie swej świty podczas manifestacji stoczniovców żądających od premiera Tuska natychmiastowej naprawy finansowej stoczni i zmuszenia Brukseli do akceptacji dotychczasowych dotacji na rzecz jej ratowania. Były premier Kaczyński przyjmowany entuzjastycznie przez zebranych przez dwa lata niewiele lub prawie nic nie zrobił, zaś Tusk rządzi dopiero od roku, ale to jego wina! Obluda i cwaniactwo góra!

A „Polityka” (nr 38 z 27 IX 2008) donosi, że w Brukseli właśnie manifestowali stoczniovcy „Solidarności” z Gdyni i Szczecina, nie było natomiast reprezentantów z Gdańska, którzy wyjechali na dwutygodniowe wczasy związkowe do Grecji i Bułgarii. Brawo, tak trzymać!

Uff, dość już tych wieści z życia wyższych sfer naszego umęczonego kraju. Pora na odrobinę refleksji. Otóż w bieżącym numerze pisma polecamy przypomnienie 10. rocznicy konkordatu, o którym pisze historyk i nauczyciel Jan Nowak, zaś prof. Czesław Banach snuje rozważanie nt. zadań edukacji do roku 2050. O celebryzmie, czyli metodzie wzbudzania zainteresowania mediów pisze Paweł Mlak. Prof. Bolesław Faron przedstawia ostatnie twórcze osiągnięcia nestora literatury pięknej Juliana Kawalca. A ponadto proponujemy interesującą lekturę poezji, felietonów, wywiadów, recenzji i komentarza wydarzeń. Wszystko według smaków i gustu.

Kraków, październik 2008 r.

ZDROWYCH I WESOŁYCH ŚWIĄT ORAZ SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

„Koszary naukowe” i „życie świadome”

Prof. Jan Kott, we wstępie do „Biblioteki Boya”, działalność publicystyczną Tadeusza Boya-Żeleńskiego nazwał „zaangażowaniem pisarza w spór o współczesność” oraz aktywnym włączeniem się w kampanie obyczajowe, czego przykładem są, przedrukowane poniżej, dwa felietony o tematyce społeczno-obyczajowej.

C. J. K.

KOSZARY NAUKOWE

W ostatnich czasach toczyła się dość ożywiona polemika o wartości naukowe profesorów Uniwersytetu, o słuszność ich specjalnych praw i przywilejów. Świeżo zabrał głos w tej dyskusji prof. Stanisław Windakiewicz, umieszczając w jednym z codziennych pism swoje uwagi. W uwagach tych nie bez zdumienia czytamy następujący ustęp: „... różnic nie daje jeden profesor drugiemu odczuwać. Wszyscy cenią się jednakowo i poważają. W ciele nauczycielskim obowiązuje zasada autorytetu. Co mówi botanik o botanice, to się uznaje za prawdę i orzeczenie ostateczne i żadnemu antropologowi ani romanistce nie przyjdzie na myśl, aby się jego zdaniu sprzeciwić. Stąd pochodzi ta rzekoma pewność profesorów, która nie wtajemniczonych w życie uniwersyteckie uderza. Jest ona niczym innym jak uznaniem kompetencji profesora w zakresie jego przedmiotu, i ostatecznie w nauczaniu niezbędna, jak komenda pułkownika w koszarach”. Czyta-

jąc to credo, doświadczamy szczególnych uczuć. Podziwiamy piękno organizacji, w której jednakowo się ceni „mędrca i głupca, talent i miernotę, pracę i próżniactwo, byle w biurecie”. Trudniej nam już pogodzić się z zasadą autorytetu, tak sprzeczną z pojęciem prawdziwej nauki. Co więcej, widzimy tu konflikty nie do rozwiązania. Czy ten autorytet ma działać tylko w obrębie własnego uniwersytetu? A co będzie na przykład, jeżeli będzie na uniwersytecie dwóch botaników? Któremu będą pp. profesorowie ślepo wierzyć w sprawach botaniki? A jeżeli jakiegoś antropologa czy romanistę przeniosą np. z Krakowa do Lwowa, gdzie zastanie znów innego botanika, który będzie dla niego autorytetem: dawny czy nowy? A jeżeli to nie będzie botanika, ale np. socjologia, historia? „Co mówi socjolog o socjologu, to się uznaje za prawdę i orzeczenie ostateczne: itd. Obawiam się, że jesteśmy coraz bliżej – głupstwa.

I jeszcze jedno: zdarzało się, że profesor botaniki (właśnie botaniki) zabierał głos w sprawie literatury i plótl, co mu ślina na

język przyniosła, wygrywając swój profesorski autorytet. Czemuż wówczas profesorowie literatury nie powiedzieli mu, żeby cicho siedział? Niechby choć była jaka korzyść z tej koszarowej sielanki...

ŻYCIE ŚWIADOME

Czytelnicy „Wiadomości Literackich” spostrzegli zapewne, że w ostatnich czasach charakter pisma przeobraził się po trosze. Coraz częściej zaczęły się wciskać na jego łamy tematy na pozór obce literaturze. Powiadają „na pozór”, bo czyż może być coś obce literaturze, zwłaszcza w zakresie spraw społecznych? Czyż literatura z dawien dawna nie musiała pełnić w naszym życiu rozmaitych funkcji zastępczych? Cała różnica w tym, że wciąż inne bywają potrzeby, inne naciski, inne postulaty i wołania.

Dlatego nie przejmowaliśmy się zbytnio, gdy dowcipnie mawiali z przekąsem, iż „Wiadomości Literackie” zmieniają się na „Wiadomości Ginekologiczne”. Istotnie, to nowe życie puka do nas i woła: „Pomóżcie mi się urodzić”! Tego rodzaju akuszeria, pomoc dawana narodzinom życia, była zawsze najpiękniejszym zadaniem pisarzy. Tam zwłaszcza, gdzie wszystko niemal zależy od przemiany pojęć, gdzie chodzi o przeżytków myśli, o uporządkowanie chaosu – to jest ich rola.

Trzeba by chyba być ślepym, aby nie widzieć wielkiej przemiany obyczajowej, jaką świat przechodzi. Przemiana ta odbywa się faktycznie i nic jej nie wstrzyma. Ale ta nowa obyczajowość tłucze się w klatce dawnych norm i dawnych pojęć, tłucze się po omacku, beładnie, często rozpaczliwie. Życie staje się w tych warunkach bardzo niesprawiedliwe, pobłażliwe dla jednych,

okrutne dla drugich. Zamiast kaleczyć to nowe życie, włączając je beznadziejnie w stare formy, czy nie lepiej dążyć do stworzenia takich, które by nie były z nim w tak ciągłej sprzeczności? Od kilku lat widzimy planowe usiłowania w tej mierze: Światowa Liga Reformy Seksualnej łączy w jednej wspólnej myśli przedstawicieli wszystkich krajów, jednoczy najwybitniejszych uczonych, myślicieli, pisarzy.

Liga Reformy Seksualnej – to godło, czuje, raziłoby u nas. Nie tylko pruderię. Już słyszę surowe głosy: „Ten wieczny erotyzm! Czyż nic innego nie istnieje na świecie?” itd. Narodowi przywykłemu być przedmurzem, mesjaszem, a już co najmniej „przodować Słowiańszczyźnie” reforma seksualna wyda się łatwo czymś nazbyt przyziemnym, ciasnym. Nie targujemy się o nazwę, można wziąć inną. Ale co do rzekomej ciasności problemu, na to bym się nie zgodził. Nie potrzeba wzywać na daremno uprzykrzonego imienia Freuda, wystarczy patrzeć i widzieć, aby pojąć, że rozpięcie tych spraw jest olbrzymie. Czy chodzi o los dziecka, czy o tragiczny splot nędzy i zbrodni, o zdrowie duszy i ciała, o uczciwość społeczną, o piękno życia, o szczęście ludzi wreszcie – wszędzie, tak czy inaczej, otrzemy się o sprawę płci. Sprawy te – o ile są postawione szczerze i śmiało – nie mają u nas miejsca do wypowiedzenia się. Zamknięte są dla nich pisma codzienne, zamknięte tygodniki kobiece – nawet w kwestiach najżywiej, najboleśniej obchodzących kobietę, zamknięte (jak tego przykład cytowałem niedawno) pisma społeczno-lekarskie. Stąd napór na „Wiadomości Literackie”, jako na jedyną niemal trybunę, z której można mówić – i być słyszonym – w przedmiotach uchodzących za drażliwe. Nie chcąc uchylać się od tej zaszczytnej roli, nie chcąc,

z drugiej strony, zatracać swego pierwotnego charakteru, „Wiadomość Literackie” postanowiły stworzyć, pod godłem „Życie Świadome”, oddzielną rubrykę, która będzie służyła specjalnie zagadnieniom nowego życia. Oto przykład prawa przyrody, „że potrzeba stwarza organ”.

Wybrała: Czesława Jolanta Kotarba



rysunek STEFAN BERDAK

KRZYSZTOF BIEŃKOWSKI

Panie Broniewski

Gdybyś żył dzisiaj miałbyś przerypane ciągle
uwiązany na smyczy komórki jak kukiełka –
myśl miałeś do wiersza lecz uciekła – ktoś
szarpnął

za sznurki... Gdybyś żył dzisiaj
szedłbyś na zakupy do supermarketu To takie
na czasie – Miałeś kupić mydło powidło ogórki
Kupiłeś książki lecz spostrzegłeś... przy kasie
Gdybyś żył dzisiaj pewno miałbyś problem
z głoszeniem chwały płockich ulic – ludu
A może wybrałbyś jeden obiekt zwany „pałacem
cudów” Gdybyś żył dzisiaj to „psiakrew, cholera”
więzłoby w gardle niestety bo uwiązany
na smyczy byłbyś „pies na kobiety” Gdybyś żył
dzisiaj...

14.04.2007

*
* *

A jednak... Wszystko się porwało Sąsiad
omija sąsiada jak wyrwę
w jezdni Jego wyobrażenie
jego lepszosc wyrosła na
wirtualnym nawozie demokracji
co przypomina słoma
przylepiona do buta języka
i pośniedziałych cokołów Nawet
jego niedzielne dopasowanie do Kościoła
anielsko zmienia reebok nike snikers
Pięcioletówki na tacę spoglądają
z góry na starowinę za jeden
złoty Tylko wyciągając do niej rękę na
Przeżycie sobie znak pokoju
odwraca oczy

JAN NOWAK

W 10. rocznicę ratyfikacji Konkordatu Polska – Watykan

W tym roku mija 15 lat od podpisania (28 lipca 1993 r.) i 10 lat od ratyfikacji (23 lutego 1998 r.) Konkordatu między Stolicą Apostolską, a Rzeczpospolitą Polską. 10 lat obowiązywania Konkordatu to świetna okazja do przypomnienia tamtych czasów, do omówienia sporów z lat jego powstawania oraz warunków funkcjonowania w okresie od 1998 do 2008 roku.

Od początku rozmów konkordatowych zarysowały się dwa biegunowo różne stanowiska:

– Kościół katolicki dążył do zagwarantowania katolikom wszelkich wolności religijnych i wyrażenia tych gwarancji w sposób precyzyjny i jednoznaczny oraz do uzyskania jak najwięcej przywilejów dla Kościoła jako instytucji i dla duchowieństwa.

– Władze państwowe starały się nie dopuścić do nadmiernego mieszania się Kościoła katolickiego w sprawy publiczne i niedopuszczenia do nadania państwu polskiemu – nie tyle z resztą „de iure” co „de facto” – charakteru wyznaniowego.

Dyskusja nad kształtem Konkordatu trwała kilka lat i prowadzona była, nie tylko w ramach specjalnych komisji, ale także publicznie w środkach masowego przekazu. Niekiedy przybierała formę agresywną i zdawało się, że nie dojdzie do kompromisowych uzgodnień. Szczególnie przedłużał się czas od pośpiesznego pod-

pisania Konkordatu (1993) przez premier **Annę Suchocką** do jego ratyfikacji (1998) za prezydentury **Aleksandra Kwaśniewskiego**. Niewątpliwie wpływ na ostateczny kształt Konkordatu i na termin jego ratyfikacji miał papież **Jan Paweł II**, który wykazywał Konkordatem – jako umową międzynarodową – duże zainteresowanie. W rezultacie Konkordat wszedł w życie za czasów jego pontyfikatu.

Konkordat jako akt prawny zawiera preambułę i 29 artykułów, obejmując w zasadzie wszystkie problemy i stosunki między państwem i Kościołem. Pod względem merytorycznym można je uszeregować w pięciu dziedzinach: ¹³

– W pierwszej dziedzinie określono status Kościoła katolickiego w Polsce i rozdzielenie kompetencji państwa i Kościoła. Wskazano zasady niezależności i autonomii każdego podmiotu w swoim zakresie i zobowiązanie stron do ich poszanowania i współdziałania dla dobra wspólnego. Te uzgodnienia mają szeroką

moc sprawczą w układzie państwo – Kościół.

– Drugą dziedziną jest „troska o społeczeństwo”, w której zagwarantowano Kościołowi katolickiemu prawo do nauczania religii w przedszkolach i szkołach publicznych oraz uznano skutki prawne małżeństw według formy kanonicznej. Ponadto władze państwowe zobowiązały się do dotowania dwóch szkół wyższych: Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

– Trzecia dziedzina to „duszpasterstwo specjalistyczne”, w której zagwarantowano Kościołowi prawa do prowadzenia duszpasterstwa wojskowego, więziennego i szpitalnego oraz dla członków mniejszości narodowych, W tej grupie paragrafów Konkordatu potwierdzone też zostały zasady zwolnienia osób duchownych od obowiązkowej służby wojskowej,

– W czwartej części Konkordatu uregulowano „działalność publiczną”, co oznaczało, że państwo, gwarantuje wiernym Kościoła katolickiego prawo do prowadzenia stowarzyszeń kościelnych oraz prawo do posiadania własnych środków społecznego przekazu i dostępu do publicznej radiofonii i telewizji w celu emitowania własnych programów. Zagwarantowano też Kościołowi prawa dotyczące mienia ruchomego i nieruchomego oraz obiektów sakralnych, kościelnych i cmentarzy. W odniesieniu do kwestii finansowych Kościoła zapowiedziano wspólne przygotowanie uregulowań tych kwestii, ale dotychczas ich nie podjęto.

– Ostatnia, piąta dziedzina w Konkordacie to „sprawy formalne” zawierające przepisy, w których zapowiedziano, że regulowanie nowych lub dodatkowych spraw może nastąpić w drodze kolejnych umów

dwustronnych lub na drodze dyplomatycznej.

Dokonując próby generalnej oceny wprowadzenia Konkordatu można z dużym poczuciem ówczesnej rzeczywistości stwierdzić, że:

– Konkordat był potrzebny dla obydwu stron, dla państwa i dla Kościoła z różnych zresztą przyczyn. Państwo w okresie przemian ustrojowych chciało się przypodobać i uwiarygodnić w oczach społeczeństwa. Kościół wykorzystując zmiany ustrojowe chciał dla wiernych i dla siebie jak największej przywilejów.

– Konkordat był funkcjonalnym aktem prawnym, a jego uregulowania były w zasadzie zgodne ze standardami przyjętymi w państwach zachodnieuropejskich w zakresie wolności sumienia i religii.

– Konkordat zapewniał Kościołowi trwałość przyjętych rozwiązań, gdyż zapisy konkordatowe mając moc prawa międzynarodowego nie mogą być zmienione jednostronnie przez państwo bez zgody Stolicy Apostolskiej.

– Konkordat pod względem prawnym miał pewne usterki (na przykład nie odnosił się do Konkordatu z 1925 r.) ale najważniejszy zarzut dotyczył podziału obywateli wg kryterium wyznaniowego, co prowadziło do dyskryminacji niekatolików i zróżnicowania sytuacji prawnej innych kościołów i związków wyznaniowych w Polsce. Pokonkordatowe decyzje nowelizacyjne – jak się później okazało – były każdorazowo korzystne dla Kościoła katolickiego, który w tych ostatnich latach staje się coraz bardziej zaborczy, wkracza coraz bardziej w sferę państwową. Władze państwowe, obojętnie lewicowe czy prawicowe wykazywały

i wykazują daleko idącą ustępliwość, nie chcąc narażać się Kościołowi, bo ten jest w Polsce nadal znaczącą instytucją opiniodawczą.

Na potwierdzenie tych opinii dość wymienić przynajmniej niektóre decyzje nowelizacyjne lub po prostu zwykłe „wymuszenia” przez Kościół od władz państwowych, jakie zostały podjęte w okresie 10 lat od podpisania i ratyfikowania Konkordatu. Ograniczę się do wymienienia tylko tematów tych decyzji bez rozwijania treści i skutków prawnych, moralnych bądź finansowych, jakie rodziły się i rodzą w wyniku ich przyjęcia:

1. Wprowadzenie nauki religii do szkół publicznych – jeszcze przed podpisaniem Konkordatu – a potem sukcesywnie egzekwowanie od państwa: opłacania katechetów, rezygnacja z prawa do zatwierdzania podręczników nauczania religii i zatwierdzania kwalifikacji zawodowych nauczycieli religii – aż do wliczania oceny z nauki z religii do średniej ocen ucznia i zapewnienia o wprowadzeniu religii jako egzaminu maturalnego.

2. Zobowiązanie państwa do dalszego finansowania konkretnych uczelni kościelnych. Oprócz Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oraz Uniwersytetu w Opolu (w wyniku połączenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej z Katolickim Seminarium Duchownym) objęto finansowaniem z budżetu państwa od 2006 roku Papieskie Wydziały Teologiczne w Warszawie i Wrocławiu oraz Wyższą Szkołę Filozoficzno-Pedagogiczną „Ignatianum” w Krakowie (to już druga uczelnia katolicka w Krakowie finansowana przez państwo).

3. Przyznawanie dalszych przywilejów materialnych dla Kościoła katolickiego przy jednoczesnym braku regulacji prawnych, dotyczących uprawnień majątkowych i finansowych instytucji kościelnych i duchowieństwa, wraz z możliwością wprowadzenia tak zwanego „podatku kościelnego”, co przewidywał Konkordat w artykule 22, tyle tylko, że bez określenia terminu.

4. Określenie współpracy w zakresie ochrony życia i zdrowia wierzących i niewierzących obywateli państwa polskiego nadal pozostaje bez konkretnych ustaleń i działań, należą do nich m.in. problemy: „in vitro”, aborcja czy wychowanie seksualne młodzieży. Ostatni przykład z 14-letnią Agatą jest dowodem, że niektórzy katolicy nie rozumieją i nie przestrzegają ani Konstytucji ani Konkordatu, po prostu nie przestrzegają obowiązującego w Polsce prawa, a straszenie pani Minister Zdrowia skargą do biskupa i ekskomuniką – najwyższą karą Kościoła katolickiego, jaka może spotkać osobę wierzącą, w dodatku za pełnienie obowiązków państwowych – jest skandalem prawnym i obyczajowym.

Na zakończenie ocen i opinii funkcjonowania w Polsce Konkordatu w okresie ostatnich 10 lat trzeba zdecydowanie stwierdzić:

– Władze państwowe ale też władze kościelne winny przestrzegać postanowień Konkordatu, i wynikających z tych postanowień zapisów zgodnych z literą prawa, a także z jego duchem... „dla dobra wspólnego”, jak to zapisano w artykule 1, bo do tego zawierając Konkordat obydwie strony uroczyście się zobowiązały. **Nie mówmy więc o wojnie... z Kościołem, tylko o walce o przestrzeganie Konstytucji**

i Konkordatu, oraz o konieczności dążenia do zachowania, a w niektórych kwestiach do przywrócenia, rozdziału Kościoła od państwa, tak jak to jest stosowane w zdecydowanej większości krajów zachodniej Europy.

– **Nikommu** – z żadnej pozycji – **nie wolno straszyć ludzi piekłem, diabłem, biskupem czy „sądem bożym” albo sądem świeckim**, bo jest to żenujące, niezgodne z prawem ludzi do wolności. I nikt kto wierzy w Człowieka, kto ma poczucie godności ludzkiej nie może wierzyć w te „strachy”, gdyż żyjemy przecież nie w średniowieczu, tylko w XXI wieku.

□

Bibliografia:

Beata Górowska, *Dziesięciolecie obowiązywania Konkordatu polskiego z 1993 r.*

Michał Pietrzak, *Nowy Konkordat Polski.*

S. FRAN CZAK

Aforyzmy

*

Czyż wiara w rozum
opiera się na rozumie?

*

Gdy miłość rozkwita
zazwyczaj umiera cnota

*

Śmierci i ludziom
bez twarzy jest do twarzy

*

By uczciwie opłacić przewoźnika przez
Styks
nieraz trzeba nieuczciwie zdobyć obola

*

Kobiety patrząc w lustro
dostrzegają tam głównie swe rywalki



rys STEFAN BERDAK

Europa i Polska w perspektywie roku 2050 – zadania polskiej edukacji

Komisja Europejska powinna rozwinąć konkretną i realistyczną wizję Unii Europejskiej i jej drogi osiągnięcia trwałego rozwoju w perspektywie następnych 50 lat.

Rada Unii Europejskiej: Uchwała, Bruksela 2006.

Polska w 2004 r. stała się członkiem Unii Europejskiej. W tym samym roku minęło 35 lat od powołania Komitetu Prognoz działającego przy Prezydium PAN. Z tej okazji zorganizowano konferencje naukową, której rezultatem jest wydawnictwo pt. *Polska w obliczu wyzwań przyszłości*¹.

Stanowi ono dla naukowców, polityków oraz ludzi innych zawodów inspirację do rozwoju strategicznego myślenia o przyszłości Europy i Polski.

W referacie przewodniczącego Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN, prof. Leszka Kuźnickiego, przedstawiono cztery najważniejsze wyzwania: pierwsze – demograficzne, związane z tendencjami do spadku liczby ludności Polski i jej starzenia się; drugie – edukacyjne i kulturowe, jako główny czynnik rozwoju i przemian cywilizacyjnych; trzecie – proces przekształceń strukturalnych w gospodarce, mających na celu zmniejszenie rozpiętości rozwojowych i nierówności w dochodach ludności; czwarte – płynące z peryferyjnej roli Polski w Europie, a polegające na zapewnieniu Polsce odpowiedniej pozycji w Europie i gospodarce światowej².

Polska stoi więc wobec ogromnych zadań naukowych, edukacyjnych i kulturowych w obecnej fazie dynamicznego rozwoju cywilizacji informacyjnej i konieczności odpowiedzi na zmiany społeczne i gospodarcze oraz na powstawanie nowych zawodów i specjalności.

Dlatego należy podnosić standardy kształcenia młodzieży oraz obejmować ustawicznym kształceniem i doskonaleniem szerszy krąg ludzi zatrudnionych.

Słusznie konstataje: „Przyszłość Polski determinują obecnie (...) doświadczenia transformacyjne, procesy integracji europejskiej oraz procesy globalizacji”³. Polska wraz z innymi krajami Europy wchodzi w fazę regresu przemysłu i gospodarki postindustrialnej oraz znacznego wzrostu w sferze usług na rynku pracy.

I. EUROPA I POLSKA ROKU 2050. GLOBALNE WYZWANIA – SZANSE I ZAGROŻENIA ORAZ POLITYKA SPOŁECZNA

W pracy zbiorowej Kancelarii PAN i Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” pt.

Europa w perspektywie roku 2050, opublikowanej w 2007 r., Kukliński stwierdza: „Eurofuturologia 2050 staje się wielkim problemem naukowym, gospodarczym, politycznym i kulturowym. (...) Rok 2050 (...) staje się punktem odniesienia globalnych studiów prospektywnych”⁴.

Wyzwania globalne rozumiane jako globalna rzeczywistość obiektywna i nasza potencjalna przyszłość dotyczą następujących wiązek: gospodarki, społeczeństwa globalnego, nauki, sztuki rządzenia, edukacji i kultury. Wizje i procesy transformacji w świecie i Europie stanowią wyzwanie dla nauki i edukacji, a także kształtowania kompetencji i cechowościowych ludzi Europy XXI w.

Problemy Unii Europejskiej w perspektywie do 2050 r. wiążą się ze „Strategią Lizbońską z marca 2000 r.”, która przyjęła za strategiczny cel uczynienie z Unii Europejskiej najbardziej konkurencyjnej i dynamicznej oraz opartej na wiedzy gospodarki świata.

Sadowski pisze, że „trzeba już teraz dążyć do ogólnego współdziałania (...), odwrócenia narastających zagrożeń (...), zapewnienia świata, a w nim Europie, trwałego, spokojnego rozwoju, (...) troszczyć się o przyszłą konkurencyjność Europy, (...) o realizację celów ekonomicznych i społecznych”⁵.

Wymagania trwałego rozwoju w Europie i Polsce oznaczają potrzebę wypracowania nowych teorii i narzędzi ich realizacji. Zmiany w gospodarce oraz jej obecna i prognozowana struktura wywierają znaczący wpływ na kierunki kształcenia w szkolnictwie średnim i wyższym oraz w edukacji ustawicznej, a także na liczbę osób objętych tym kształceniem, czego do-

wodzi fakt, że w Polsce w latach 1980-2002 zatrudnienie w przemyśle spadło z 5,2 mln osób do 2,8 mln, czyli o 40%.

II. POTENCJAŁ LUDNOŚCIOWY EUROPY I POLSKI – EWOLUCJA, STRUKTURA I JAKOŚĆ KADR

Europa i Polska potrzebują studiów demograficznych, ponieważ stają w obliczu zmniejszania się ich potencjału ludnościowego. Karpiński stwierdza: „W perspektywie 2050 r. Europa staje w obliczu zmniejszania się jej potencjału ludnościowego z 727 mln ludzi w roku 2000 do 653 mln w roku 2050, czyli o 10%”⁶.

Przy zmniejszaniu się potencjału demograficznego będzie następował wzrost średniego przeciętnego trwania życia w Unii Europejskiej o 8–10 lat w 2050 r.⁷ Wydłuży się też okres sprawności fizycznej ludzi starszych. W poszczególnych krajach będzie więc pracowało 1 mieszkało wielu ludzi z innych krajów i kontynentów, tworząc nową rzeczywistość społeczną i kulturową. Zmiany ludnościowe staną się zasadniczym czynnikiem w rozwoju Europy, która będzie potrzebowała ludzi do pracy.

Polityka integracji ludności Europy oraz polityka społeczna powinny zapewnić racjonalne i skuteczne rozwiązywanie problemów społecznych, co w konsekwencji będzie dynamizować rozwój gospodarki, edukacji i kultury. W działaniach państw europejskich częściowymi priorytetami stają się: zahamowanie regresu demograficznego, przejmowania przez społeczeństwo kosztów prokreacji i wychowania nowych pokoleń oraz modernizacja systemów edukacyjnych.

Napływ ludności z zewnątrz niezbędny dla zaspokojenia potrzeb Europy do

2050 r. ocenia się na 154 min dla Unii Europejskiej i 235 min dla całej Europy⁸.

Polska będzie zmuszona do korzystania z dynamiki demograficznej i ekonomicznej innych części świata, ponieważ według przewidywań ONZ liczba ludności naszego kraju w latach 2005-2050 zmniejszy się do 36,3 mln, a w roku 2050 wyniesie 31,9 mln⁹.

Niezbędne są więc studia prognostyczne nad konsekwencjami zagrożeń społecznych, w tym demograficznych, aby móc opracować i weryfikować doktrynę polityki ludnościowej, emigracyjnej i migracyjnej oraz zapewnić zmieniającemu się rynkowi pracy odpowiedni dopływ kadry pracowników, przede wszystkim dla gospodarki usługowej, a także „gospodarki opartej na wiedzy”.

III. PRZYSZŁOŚĆ DEMOKRACJI I PAŃSTWA

Państwa europejskie będą podlegały ewolucji, podobnie jak ich społeczeństwa i demokracja. Wzrośnie rola państw o charakterze ponadnarodowym i federacyjnym. Wiele funkcji będą realizowały wspólnie z organizacjami pozarządowymi i „społeczeństwem obywatelskim”.

Szczególnie ochrona zdrowia i środowiska wymagają radykalnego zwiększenia wydatków (w krajach bogatych z 6% PKB do 10-14% PKB w roku 2050)¹⁰. Zagrożenia kryzysem zdrowotnym i starzenie się ludności Europy oraz modyfikowanie się chorób wymagają radykalnego rozwoju profilaktyki i edukacji zdrowotnej w całym systemie edukacji, w tym w mediach.

Europa i poszczególne państwa powinny zapewnić sobie źródła energetyczne i właściwie je wykorzystywać, redukować

emisje gazów cieplarnianych, zmniejszać deficyt wiedzy, przeciwdziałać konfliktom kulturowym i religijnym, bronić indywidualnej sfery praw i wolności ludzi, troszczyć się o ludzi starych.

Skutkiem globalizacji i integracji europejskiej jest większa współzależność interesów państw i narodów, powodująca pewne ograniczenia dotyczące ich suwerenności. Lamentowicz dostrzega obecnie następujące problemy Unii Europejskiej osłabiające jej zdolność adaptacji do wymagań globalizacyjnych: „kryzys instytucjonalny związany z zahamowaniem prac nad konstytucją dla Europy (...), kryzys przywództwa politycznego na poziomie Unii i w wielu państwach członkowskich, (...) problemy z tożsamością kulturowo-religijną Unii oraz z ryzykiem terroryzmu”¹¹.

IV. STRATEGICZNE CELE I ZADANIA EDUKACJI EUROPEJSKIEJ I POLSKIEJ

Nadrzędny cel edukacji winien być zorientowany na kształtowanie całego człowieka (...). Dwie podstawowe funkcje edukacji: rozwijanie osobowości i uspołecznienie zostały uzupełnione przez funkcję trzecią, przez profesjonalizację i przygotowanie do wkroczenia w rzeczywistość ekonomiczną.

„Raport Komisji Europejskiej
Edukacja dla Europy”

Edukacja jest nie tylko konstytucyjnym prawem i powinnością obywateli, ale także szansą rozwoju państwa i gospodarki. Opracowana przed kilku laty *Strategia rozwoju systemu edukacji w Polsce do roku 2020-2025* oraz dorobek wielu konferen-

cji naukowych Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN nie zostały należycie wykorzystane przy opracowywaniu koncepcji, a także realizacji kształtu i celów reformy edukacji. Jednym z powodów był fakt, że w ciągu 18 lat transformacji ustrojowej mamy już 16 ministra edukacji.

Niepokoją zjawiska i procesy zakłócające wyrównywanie szans edukacyjnych młodzieży i dorosłych wskutek niewystarczającego udziału wydatków na edukację (4,2% PKB). System edukacji wymaga gruntownej przebudowy w sensie reformy programowej oraz udostępnienia odnowy kwalifikacji ludzi dorosłych przez ich uczestnictwo w edukacji równoległej (nie-szkolnej) i ustawicznej.

Pozytywnym bilansem w systemie polskiej edukacji są wysokie wskaźniki skolaryzacji na poziomie średnim (80%) i wyższym (49%). Jednak jakość kształcenia i wychowania nie pozwala na optymistyczną ocenę.

Kuźnicki twierdzi, że „podstawą strategii i polityki edukacyjnej powinny być wysoki poziom merytoryczny i wspólne wartości cywilizacji europejskiej: prawa człowieka, godność osoby ludzkiej, jej podstawowe swobody, demokratyczna prawomocność, pokój i odrzucenie przemocy (...), poszanowanie innych ludzi, solidarność międzyludzka (...), zrównoważony i trwały rozwój, równość szans, zasady myślenia racjonalnego, odpowiedzialność jednostkowa”¹².

Komitet Prognoz PAN wielokrotnie postulował uznanie edukacji i nauki za narodowy priorytet oraz opracowanie przez rząd, przy aktywnym udziale środowisk naukowych i nauczycielskich, kompleksowego i perspektywicznego programu roz-

woju systemu edukacji. Niestety, takiego programu rządowego aprobowanego przez Sejm nie mamy.

Bez takiego programu i jego konsekwentnej realizacji trudno jest i będzie pomyslnie realizować proces przekształceń strukturalnych w gospodarce oraz budowę „gospodarki opartej na wiedzy”, a także zmniejszać nasz dystans do średniej europejskiej w zakresie poziomu PKB na 1 mieszkańca, sięgającej ok. 40%.

Wyzwania i zadania długookresowe wymagają przebudowy postaw indywidualnych i społecznych oraz zmniejszania obszarów biedy, w których żyje ok. 13 mln Polaków. Nie da się tych problemów rozwiązywać bez skutecznego państwa, ścisłych więzi między nauką a gospodarką, wykorzystania wpływu akcesji Polski do Unii Europejskiej oraz znaczącej poprawy jakości naszej klasy (elity) politycznej, państwowej i decydenckiej.

Niechęć do prognozowania rozwoju kraju i różnych jego obszarów świadczy nie tylko o kryzysie myślenia perspektywnego, ale także o słabości państwa i nieprawidłowym rozumieniu współczesnej polskiej racji stanu. Polska mimo ambicji i deklaracji nie stała się jeszcze znaczącym ogniwem Unii Europejskiej, chociaż coraz lepiej umie wykorzystywać oferowane środki.

W Komitecie Prognoz PAN istnieje od początku, pracując na zasadzie interdyscyplinarności, Zespół Edukacji i Kultury pod kierownictwem prof. Suchodolskiego, a następnie prof. Wojnar. Łącznie odbyły się 24 konferencje naukowe, których rezultatem jest 20 publikacji zbiorowych. Ponieważ Polska musi określić ściśle swoje priorytety, a jeden z naczelnych stanowi edukacja, Zespół ogniskował się na inte-

gracji między edukacją i kulturą. Jak bowiem stwierdza Wojnar, „kultura jest nośnikiem edukacji, edukacja zaś jest nośnikiem kultury”¹³. Drugi temat to edukacja jako problematyka człowieka w zmieniającym się świecie, postrzeganie obszarów sprzeczności edukacyjnych, a także nowa interpretacja szeroko rozumianej strategii humanistycznej.

Polityka edukacyjna, jako dziedzina życia dotycząca bezpośrednio około 25 procent społeczeństwa, powinna być budowana na „nauce o edukacji”, na doskonaleniu praktyki organizacji pracy dydaktyczno-wychowawczej oraz na idei kształtowania społeczeństwa informacyjnego i wychowawczego.

Systemy edukacji i nauki oraz zaplecze badawczo-rozwojowe (B+R) należy przygotować na wielkie zadania i zmiany.

Efekty badań naukowych szkół wyższych oraz wdrożeń do praktyki w trójce biznes-nauka-państwo powinny być przesłanką polityki finansowania rozwoju szkolnictwa i badań.

W książce pt. *Europa w perspektywie roku 2050* Karpiński stwierdza na temat zmian na rynku pracy Europy: „Powinno nastąpić radykalne zwiększenie udziału tzw. pracowników wiedzy z około 1/4 w roku 2000 do 2/3 całości zatrudnienia w roku 2050” (...), upowszechnienie wyższego wykształcenia, (...) zwiększenie odsetka młodzieży podejmującej naukę na szczeblu wyższym do 65 –70% całości roczników w tym wieku wobec 15-20% obecnie (...), dokonanie przełomu w kształceniu „drugiej szansy”, czyli kształceniu osób dorosłych (...) z 20% obecnie do 40-50% ogółu pracujących w roku 2050, (...) zwiększenie liczby doktoratów, dostosowanie ich do potrzeb gospodarki i społeczeństwa”¹⁴.

W Raporcie Komisji Europejskiej *Nauczenie i uczenie się. Na drodze do uczącego się społeczeństwa* przyjęto pięć celów:

1. Zachęcanie do zdobywania nowej wiedzy.
2. Zbliżenie szkoły i przedsiębiorstwa.
3. Walka ze zjawiskami marginalizacji.
4. Opanowanie trzech języków Wspólnoty.
5. Równorzędność inwestycji materialnych i edukacyjnych¹⁵.

Te cele i zadania z nich wynikające powinny być ujęte w narodowych strategiach rozwoju edukacji. Inspirację do kreowania polskiej strategii rozwoju edukacji i polityki państwa można znaleźć w raporcie grupy ekspertów Unii Europejskiej pt. *Edukacja dla Europy*¹⁶.

Zasadniczym dokumentem Unii Europejskiej w bieżącym programowaniu i realizacji polityki edukacyjnej krajów dc niej należących jest *Edukacja w Europie: różne systemy kształcenia i szkolenia – wspólne cele do roku 2010*¹⁷.

WNIOSKI

1. Strategie rozwoju Europy i Polski do roku 2050 będą polegały przede wszystkim na przyspieszeniu procesu przechodzenia do nowej formy gospodarki rynkowej Strategii Trwałego Rozwoju, łagodzeniu wewnętrznego zróżnicowania Europy i Polski, zwiększeniu roli nauki w gospodarce oraz w reformie systemów edukacji, a także przebudowie elit, politycznych i państwowych, która sprzyjałaby integracji Wspólnoty Europejskiej.
2. Demografowie prognozują zwiększenie o 10 lat średniej długości życia, a więc wydłużenie czasu aktywności zawodowej (do 70 lat) oraz okresu pobierania emerytury.
3. Ewolucja gospodarki europejskiej „kapitalizmu rynkowego” będzie przebiegała

w wielu procesach globalizacji, konkurencji i konfliktów oraz zmian w formach powstawania „gospodarki postrykowej” i „gospodarki usług”. Będzie to rzutować na cele i metody oraz programy systemów edukacji młodzieży i dorosłych.

4. Edukacja – jej złożone cele i zadania oraz nowe perspektywy – powinna być przedmiotem integracyjnych opracowań wielu dyscyplin nauki oraz ludzi i środowisk różnych profesji i orientacji. Wielostronne i alternatywne ujmowanie i badanie zagadnień edukacji oraz jej związków z pozostałymi dziedzinami życia powinno owocować opracowywaniem prognoz ostrzegawczych i długofalowych programów rozwojowych, odpowiadających na wyzwania XXI w. Niestety, praktyka kształtowania reformy edukacji i polityki edukacyjnej nie korzysta z opracowań naukowych, np. Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN, materiałów Zjazdów Pedagogicznych. PTP, opracowań KNP PAN czy dorobku cyklicznych konferencji ogólnopolskich, takich jak „Edukacja Jutra”, „Seminarium Pedagogiki Szkoły Wyższej” i in.

6. Wyniki badań edukacyjnych powinny być orientowane przede wszystkim na ośrodki i ciała decyzyjne w Polsce oraz kadrę kierowniczą w systemie edukacji, a także na wszystkich ludzi, którzy mogą i powinni wziąć na siebie ciężar sprostania wyzwaniom, zadaniom i wymogom przyszłości. Brak zdolności przewidywania alternatywnego i długofalowego jest wielkim błędem intelektualnym, społecznym i ekonomicznym, który wymaga szybkiej naprawy. Ludzie są głównym zasobem (kapitałem) Europy. Dlatego ich edukacja i kultura oraz praca połączona z etyką tworzą pod-

stawę dla realizacji ideałów politycznych, ekonomicznych i technicznych.

7. Pamiętajmy o myśli i przestrodze Edmunda Burkego: „Nie planuje się przyszłości na modelu przeszłości”. □



rys STEFAN BERDAK

¹ *Polska w obliczu wyzwań przyszłości*, Komitet Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN, ELIPSA, Warszawa 2004.

² *Ibidem*, s. 17-18.

³ *Ibidem*, s. 96.

⁴ *Europa w perspektywie roku 2050*, PAN, Kancelaria PAN, Komitet Prognoz „Polska 2000 Plus”, Warszawa 2007, PAN, s. 13-15.

⁵ *Ibidem*, s. 24-25.

⁶ *Ibidem*.

⁷ *Ibidem*, s. 59.

⁸ *Ibidem*, s. 47.

⁹ UN 2005.

¹⁰ NIECZYTELNE

¹¹ *Europa w perspektywie roku 2050*, PAN, Kancelaria PAN, Komitet Prognoz „Polska 2000 Plus”, Warszawa 2007, PAN, s. 107-108.

¹² BRAK

¹³ *Ibidem*, s. 49

¹⁴ BRAK

¹⁵ *Nauczanie i uczenie się. Na drodze do uczącego się społeczeństwa*, Komisja Europejska, WSP TWP, Warszawa 1997, ITE – Radom, s. 56-74.

¹⁶ *Edukacja dla Europy*, tłum. F. Wojnar, Komitet Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN, ELIPSA, Warszawa 1999.

¹⁷ *Edukacja w Europie: różne systemy kształcenia i szkolenia – wspólne cele do roku 2010*.

STANOWISKO UCZESTNIKÓW VI OGÓLNOPOLSKIEGO ZJAZDU PEDAGOGICZNEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO W SPRAWIE STANU I PERSPEKTYW ROZWOJU EDUKACJI W POLSCE

Wyrażający niniejsze stanowisko uczestnicy VI Ogólnopolskiego Zjazdu Pedagogicznego PTP stanowią część dużego środowiska profesjonalnych pedagogów, zatrudnionych w licznych instytucjach akademickich, uprawiających wielokierunkową problematykę naukowo-dydaktyczną, współpracujących w tym zakresie z wieloma ośrodkami naukowymi na świecie. Pomimo tego, że w naszych pracach badawczych zaznaczają się różne orientacje teoretyczne i ideowe, łączy nas refleksja w duchu społecznego zaangażowania w sprawy edukacji i wszystkich jej dziedzin: kształcenia i wychowania w szkole, rodzinie, w środowiskach lokalnych, edukacji dzieci, młodzieży i dorosłych, ludzi sprawnych i niepełnosprawnych, rozwijających się prawidłowo bądź potrzebujących wsparcia, opieki, a niekiedy resocjalizacji.

Uprawiając badania empiryczne, analizy teoretyczno-krytyczne, studia porównawcze i prace projektowe, a także kształcąc pedagogów na wszystkich poziomach i we wszystkich formach, pozostajemy w żywych kontaktach z praktykami edukacyjnymi – nauczycielami, pracownikami placówek wychowawczych, rodzicami, terenowymi działaczami oświatowymi. Naszą wiedzę, posiadane doświadczenia badawcze i praktyczne, humanistyczne zaangażowanie w kształcenie i wychowanie na rzecz rozwoju człowieka, traktujemy jako podstawę uprawnień do zajęcia stanowiska wobec obecnego stanu polskiej edukacji.

Przemiany, które nastąpiły po roku 1989, niosły obietnicę demokratyzacji życia zbiorowego, a w tym przekształcenia polskiej edukacji w obszar wspierania rozwoju uczniów jako krytycznych, samodzielnie myślących i społecznie zaangażowanych obywateli państwa demokratycznego. Dawały one także nadzieje na przekształcenie polskiej szkoły w sferę publiczną, gdzie dzięki obywatelskiemu zaangażowaniu i debacie wielu różnych podmiotów: nauczycieli, rodziców, uczniów, władz oświatowych i samorządowych, podejmowane będą wspólne wysiłki na rzecz realizacji prorozwojowych celów edukacji oraz reformowania polskiego systemu edukacji w zgodzie z ideałami demokratycznego społeczeństwa i wymaganiami współczesnego świata. Wzbudzone one zostały nie tylko w środowisku, pedagogów, ale w całym społeczeństwie. Łączyły się z oczekiwaniami na budowę systemu edukacyjnego wychowującego już nie w duchu podporządkowania władzy i „jedynie słusznego” myślenia, ale w kierunku merytorycznych kompetencji, dialogu, tolerancji i afirmacji różnic między ludźmi, gotowości do podejmowania oddolnej odpowiedzialności, współdecydowania i samodzielności.

Oczekiwaliśmy też szkoły, której oddana zostanie profesjonalna wolność kształcenia, z nauczycielami nastawionymi na twórcze zmaganie się z wyzwaniem współczesności, które wymagają elastycznej, otwartej edukacji. Nadzieje te uważamy jed-

nak za niespełnione, dostrzegając szereg zagrożeń w obszarze oświaty, które pozwalamy sobie zasygnalizować w niniejszym dokumencie.

1. Oświata staje się miejscem erozji reguł demokratycznych i podlega zawłaszczaniu przez doraźne interesy polityczne

Przed nami wciąż stoi trudne zadanie gruntownego przekształcania naszego systemu edukacji, a zwłaszcza rozszerzania i rozwijania reguł demokratycznego współdziałania wszystkich podmiotów – uczniów, rodziców i nauczycieli, zaangażowanych w proces budowania samorządności szkolnej. Proces ten jest jednak hamowany przez działania centralizujące system szkolny i naruszające równowagę pomiędzy różnymi uczestnikami edukacyjnej sfery publicznej. Prowadzi to do wykluczania tych działań i opinii, które nie mieszczą się w ramach centralnie sterowanej polityki oświatowej, zdominowanej doraźnym interesem politycznym. Tymczasem przygotowanie do życia w społeczeństwie winno odbywać się przez takie formy wychowania, które obejmują ważne doświadczenia społeczne, a zarazem formują systemy wartości i postawy młodego pokolenia.

Bezpośrednie doświadczenie reguł demokracji jest niezbędne dla kształtowania postaw obywatelskich i nie może ono zostać zastąpione przez teoretyczny przekaz reguł i wzorców. Inaczej rzecz ujmując: żadne, najbardziej interesujące zajęcia na temat demokracji przeprowadzone w szkole, w której zasady demokracji są łamane, nie uformują oczekiwanej postawy ucznia.

Dopóki tendencje centralizacyjne w oświacie będą pozbawiać jej uczestników

prawa do decydowania o sprawach ważnych z punktu widzenia rozwoju i kształcenia, otwartego wyrażania własnych przekonań i realizowania osobistych inicjatyw, a samorządność szkolna będzie miała charakter jedynie fasadowy, wytwarzając pozor współdziałania i społecznego zaangażowania, szkoła nie będzie spełniać funkcji przygotowania młodzieży do życia w demokratycznym społeczeństwie.

2. Treści i formy kształcenia szkolnego mogą stanowić zagrożenie dla nabywania kompetencji intelektualnych i obywatelskich

Tendencje centralizujące w oświacie przyczyniają się do nadawania monolitycznego charakteru treściom i formom kształcenia szkolnego. Obserwuje się zwrot ku schematom praktyk edukacyjnych, związanych z akcentacją ilościowych standardów nabywania wiedzy, nauki pamięciowej, marginalizacji roli doświadczenia i rozwiązywania problemów w toku kształcenia. Szkoła staje się miejscem wpajania faktów, nauczania schematów, narzucania kanońów. Prowadzi to do sytuacji, w której autentyczny wysiłek myślenia, poszukiwania rozwiązań i dojrzenia do własnych interpretacji rzeczywistości są poczytywane za zagrożenie dla oddziaływania szkoły. Taki stan rzeczy stoi w sprzeczności z założeniem, iż szkoła jest miejscem intelektualnego rozwoju ucznia, ten bowiem, rozumiany jako stopniowe poszerzanie sfery autonomii poznawczej, zachodzi dzięki autentycznemu wysiłkowi myślenia. Rezultatem hamowania rozwoju intelektualnego uczniów staje się ich wyuczona bezradność intelektualna, nieporadność w nowych sytuacjach, brak postaw kreatywnych, dogmatyzm myślenia oraz konformizm wo-

bec narzucanych prawd i ich głosicieli. Dalszą konsekwencją takiego stanu rzeczy jest niedostatek dojrzałości etycznej młodego pokolenia, która, jako rozumiana w kategoriach zdolności dokonywania wyborów etycznych, łączy się z dojrzałością intelektualną. Hamowanie rozwoju zdolności samodzielnego, krytycznego i twórczego myślenia uczniów skutkuje niedostatkiem w zakresie nabywanych przez młodzież kompetencji obywatelskich. Uczeń, w którym skutecznie zahamowano potrzebę myślenia i rozumienia jest potencjalnie „dobrym poddanym”, pozbawionym odporności na przemoc instytucjonalnych autorytetów, na narzucane dogmaty. Staje się jednostką pasywną, niezdolną do wyrażania postaw oporu i sprzeciwu, potencjalną ofiarą systemu władzy.

3. Reforma edukacji przynosi konsekwencje przeciwstawne pierwotnym założeniom

Reforma przeprowadzona w roku 1999 zakładała m.in. powstanie pluralistycznego zestawu programów kształcenia, stworzenie warunków sprzyjających opracowaniu szkolnych programów wychowawczych i systemów oceniania wewnątrzszkolnego. Gwarantem owej wielości i procesu unowocześniania edukacji miała być nowa podstawa programowa, zaś wyrównywaniu szans edukacyjnych miał sprzyjać zewnętrzny system oceniania.

Niestety, funkcję podstawy programowej przejął system egzaminów zewnętrznych, oparty na ocenianiu odwołującym się do jednolitych standardów. Właściwie takim podejściu dążenie do obiektywizmu, który okazał się wątpliwy, i zapewnienia porównywalności wyników wiąże się z niedookreśleniem aksjologicznym, co ułatwia

różnym podmiotom instrumentalne zawłaszczanie wyników egzaminów. W konsekwencji następuje podporządkowanie nauczania oraz przeniesienie punktu ciężkości z procesu kształcenia na jego rezultat (tzw. „nauczanie pod testy”). Pojawia się programowy redukcjonizm, co w połączeniu z nastawieniem na efekt kształcenia ogranicza wewnętrzną motywację uczniów do uczenia się oraz ich aktywność poznawczą. Zjawiska te są wzmacniane przez dyskurs efektywności, który prowadzi do znacznego ograniczenia funkcji szkoły, a w skrajnych przypadkach do postrzegania jej w kategoriach przedsiębiorstwa usługowego, działającego w ramach wolnego rynku. Szkoły starają się budować swój prestiż na podstawie uzyskiwanych wyników nauczania, zapewniających im wysokie miejsce w rankingach, co w dalszej kolejności sprzyja ich społecznemu różnicowaniu. Powoduje to nasilanie się procesów segregacji szkolnej i nierówności w dostępie do edukacji.

4. Szkoła stanowi narzędzie odtwarzania nierówności społecznych

Wbrew opiniom o tym, że edukacja zwiększa szanse społeczne oraz gwarantuje sukces życiowy jednostek, system edukacyjny nie wyrównuje szans osób rekrutujących się z grup społecznie marginalizowanych. Dzieci i młodzież pochodzące ze środowisk o niższym statusie społeczno-ekonomicznym stają się ofiarami selekcji egzaminacyjnych, a zjawisko to jest intensyfikowane przez przyjęte zasady finansowania praktyki oświatowej oraz systematyczne redukowanie nakładów na wspieranie lokalnych inicjatyw kulturalnych i edukacyjnych. Problem ten dotyczy również zjawiska urynkowienia systemu szkolnictwa

wyższego, które – chociaż pozornie daje możliwości udziału w edukacji wyższej szerokiej populacji młodzieży – to faktycznie generuje kolejne formy nierówności. Młodzież o wyższym statusie społeczno-ekonomicznym z reguły korzysta ze studiów w całości finansowanych z budżetu państwa, zaś pozostali muszą ponosić koszty własnego wykształcenia wstępując w szeregi studentów uczelni niepublicznych bądź wybierając niestacjonarną formę studiów na uczelniach państwowych. Szczególną formą łamania zasady równości dostępu do oświaty są studia zaoczne, które dla studenta łączą się z podwójnym opłacaniem (w ramach podatków oraz czesnego) usług o węższym zakresie, niż ma to miejsce w wypadku studiów stacjonarnych.

5. Mechanizmy selekcji edukacyjnej w polskim systemie oświaty wytwarzają mit powszechności wykształcenia Polaków

Negatywne konsekwencje oddziaływania szkoły na rozwój uczniów są skutecznie mistyfikowane za sprawą wzrastających wskaźników skolaryzacji, wynoszącej obecnie około 80% na poziomie kształcenia średniego i 47% na poziomie kształcenia wyższego. Warto jednak zwrócić uwagę, że wskaźniki efektywności oświaty, mierzone przez PISA - 2003, sytuują kompetencje poznawcze uczniów polskich szkół poniżej średniej państw OECD, zaś poziom skolaryzacji w zdecydowanej czołówce. Taki stan rzeczy wiąże się z wysoce upozorowaną jakością średniego wykształcenia ogólnego, a nawet masowych studiów wyższych, realizowanych na skrót w pogoni za wysokimi wskaźnikami skolaryzacji, osiąganymi przez dziesiątki lat przez kraje wysoko roz-

winiętego Zachodu, pogoni, wspieranej przez kolejnych polskich ministrów edukacji i Unię Europejską.

6. W wyniku biurokratyzacji zarządzania oświatą następuje załamanie się etycznej odpowiedzialności wychowawczej

W zakresie zarządzania oświatą na poziomie resortowym, kuratorskim, wewnątrzszkolnym i nauczycielskim obserwuje się poczynania naruszające podstawy etycznej odpowiedzialności wychowawczej.

Główne zagrożenie widzimy w biurokratyzacji instytucji skupiających się na działaniach formalnych, technicznych, proceduralnych (np. podporządkowanie logiki nauczania zasadom standardowych sprawdzianów testowych, spełnianie przez nauczycieli formalnych, zewnętrznych wymagań dla uzyskiwania awansów zawodowych, zamysł umundurowania uczniów jakoby znaczący dla rozładowywania nastrojów młodzieżowej agresji).

Narastająca biurokratyzacja oświaty sprzyja pozorowaniu pracy pedagogicznej odartej z jej etycznych konotacji i osobistej refleksji nauczycieli, nasilaniu fasadowości relacji wychowawczych, przystosowawczemu eksponowaniu działań rozmijających się z sensem kształcenia rozumianego jako wspieranie rozwoju ucznia, wyobcowaniu nauczyciela od istoty pracy twórczej. Za produkt biurokratycznej racjonalności można także uznać samą szkołę rezygnującą z misji tworzenia przestrzeni publicznej, jaką winna ona pełnić w społeczeństwie obywatelskim.

Ten stan zagraża odwracaniem się krytycznej i myślącej młodzieży od instytucji wychowawczych, zrywaniem przez nią więzi ze sformalizowanym systemem, w jakim

może ona nie dostrzegać szans i możliwości własnego poznawczego oraz moralnego wzrostu. Narastanie poczucia braku konstruktywnego dialogu młodzieży ze światem dorosłych niesie też perspektywiczne niebezpieczeństwo osłabiania więzi społecznych znaczących dla obecnego i przyszłościowego funkcjonowania całego układu makrostrukturalnego w jakim żyjemy.

7. Zanik publicznej debaty nad edukacją

Edukacja wymaga równoległe stabilizacji oraz permanentnych, przemyślanych zmian. Ponieważ obejmuje ona procesy długotrwałe i wieloczynnikowe, które zachodzą jednocześnie na wielu poziomach, niezależnie od cyklu kadencyjnego władz ustawodawczej i wykonawczej, wszelkie zmiany w systemie oświatowym muszą wynikać ze strategii względnie spójnej i respektowanej przez kolejne ekipy rządzące. Przyjęcie takiej strategii wymaga zatem możliwie szerokiej i rzeczowej debaty publicznej, «ukierunkowanej na porozumienie dysponujące w miarę trwałym, co najmniej kilkunastoletnim, obowiązaniem. Niestety, publiczny dyskurs w Polsce dotyczący kwestii edukacji traktuje ją instrumentalnie, jako okazję do promocji lub/i dyskredytacji danej opcji politycznej. Kwestia edukacji wplątana w grę o władzę polityczną przestaje być sprawą o powszechnej wadze, przestaje być dobrem wspólnym.

Taka sytuacja jest niedopuszczalna. System, oświaty nie „może być narażony na nieprzemyślane decyzje, które wynikają z doraźnych i jednostronnych interesów. Wszelkie jego zmiany muszą być przed-

miotem ekspertyz i debat o możliwie szerokim zasięgu, w których mogliby wypowiedzieć się wszyscy zainteresowani. Tkanka wysoce skomplikowanych procesów edukacyjnych jest niezwykle wrażliwa i dlatego dokonywanie jakichkolwiek interwencji winno być najpierw wielostronnie przeanalizowane. Stąd podejmowanie w tej sprawie decyzji, których konsekwencje nie zostały należycie przemyślane, jest nie tylko wyrazem niekompetencji, ale skrajnej nieodpowiedzialności za nasze wspólne dobro.

Niezbędne staje się zatem podejmowanie wysiłku budowania merytorycznej debaty wokół kwestii edukacji, która mogłaby stać się podstawą dla podejmowania decyzji, wpisujących się w wynegocjowaną społecznie, spójną strategię oświatową.

Jako środowisko pedagogów akademickich, nawiązujących w prowadzonych pracach do tradycji i dorobku polskiej pedagogiki, czujemy się kompetentni oraz uprawnieni do interwencji w sprawę oświaty. Prowadzimy liczne analizy, diagnozy badawcze, ekspertyz studia krytyczne oraz tworzymy projekty zmian, wypracowujemy koncepcje zróżnicowanych możliwości myślenia i działania pedagogicznego. Wszystkie wymienione wyżej zagrożenia edukacji są przedmiotem naszego stałego zaangażowania badawczego. Ten potencjał powinien zostać wykorzystany dla edukacji jako dobra, za które wszyscy jesteśmy odpowiedzialni.

Lublin, 10.09.2007 r.

JERZY KOLARZOWSKI

Religijne i prawno-naturalne źródła praw człowieka: Samuel Pufendorf

Niemiecki prawnik i historyk Samuel Pufendorf żył w latach 1632-1694. Urodził się w Dorfchennitz we wschodnich Niemczech. Po studiach w Lipsku i Jenie pełnił funkcje domowego nauczyciela u szwedzkiego ambasadora w Kopenhadze. W 1672 roku opublikował swe epokowe dzieło w ośmiu księgach *De jure naturae et gentium*. [O prawie naturalnym i narodach]. Zajmował się również historią Szwecji i dokonaniaми elektora Brandenburgii Fryderyka Wilhelma I. W pamięci potomnych zapisał się jako wielki obrońca i orędownik prawa naturalnego. Podobnie jak inni intelektualisci dążył do pogodzenia kościołów luterańskiego i ewangelicko-reformowanego.

Pufendorf zauważał, że tak jak natura ma swoje żelazne prawa, którym podlega przyroda, podobnie wiele decyzji z zakresu polityki i prawa ma sens nieodwracalnej aktualizacji – decyzja raz podjęta, prawo wydane – odnoszą skutki, których niejednokrotnie nie jesteśmy w stanie odwrócić, a często także przewidzieć. Rodzi to szczególną odpowiedzialność władców i wszystkich rządzących, którzy wywierają niezmiernie istotny wpływ na życie i losy poddanych. Stąd też Pufendorf usiłował dokonać ściślej niż Grotius rozróżnienia prawa naturalnego (*ius naturae*) od praw i pojęcia narodu (*ius gentium*), jako wspólnoty żyjącej i realizującej swe cele zarówno w sferze prywatnej, ale przede wszystkim publicznej. Inspiracje na temat tego podziału znalazł nie tylko u Grotiusa, ale i w pismach Samuela Przypkowskiego,

z którego dorobkiem zapoznał się dzięki Limborchowi. Pufendorf przyjaźnił się z Limborchem, który zbierał rozproszone pisma Przypkowskiego (pozostawione przezeń często w rękopisach) i przygotowywał je do wydania w Lejdzie w roku 1692. To zapewne u Przypkowskiego zetknął się po raz pierwszy Pufendorf z tezą, żeby państwo i religię uznać za dwie zupełnie różne i nie wspierające się płaszczyzny aktywności ludzkiej.

Zainteresowania Pufendorfa wynikały z obranej przezeń postawy przeciwnej, zarówno późnej scholastyce jak i tendencjom, by tłumaczyć czy legitymizować koncepcje prawne poprzez orędzie zawarte w Piśmie św. Niemiecki jurysta udowodnił, że podobnie jak matematyka czy nowożytne przyrodoznawstwo nie mogą być wzbogacone treściami płynącymi z obja-

wienia, tak samo aktywność legislacyjna suwerena nie może szukać wsparcia wyłącznie w treściach religijnych.

Pisząc o idei *człowieka naturalnego* Pufendorf wskazywał na centralną cechę jednostki, która występowała w pierwotnym stanie naturalnym i nie znikła w stanie uspołecznionym. Tą centralną cechą, która łączy rozwój każdej jednostki ludzkiej na etapie biologicznym z rozwojem społecznym, ulegając stałemu przeformułowaniu, jest bezradność. Jego zdaniem to właśnie bezradność zaowocowała rozwojem tych wszystkich cech biologiczno-naturalnych, w tym naturalnego rozwoju umysłowości, co w konsekwencji doprowadziło do tego, że człowiek stał się najbardziej autonomicznym podmiotem na ziemi. Zdawał sobie sprawę jak długą i niecodzienną drogę przebyła jednostka ludzka od stanu naturalnej dzikości do stanu uspołecznienia.

Należy zatem kłaść szczególny nacisk na godność jednostki ludzkiej jako aksjologicznego fundamentu, z którego można wyprowadzić inne wartości istotne dla koncepcji prawa naturalnego, przede wszystkim równość i wolność. Podstawą istnienia wszelkich praw jest przyrodzona każdej jednostce ludzkiej *godność* i fakt ten powinien uwzględniać każdy historyczny system polityczno-prawny. Pojęcie przyrodzonej godności człowieka przysługuje każdej jednostce ludzkiej ze względu na obdarzenie jej „rozumem i sumieniem”. Jest więc ta godność rozumiana filozoficznie, stanowiąc fundament europejskiej tradycji prawa natury. Wola rządzących nie jest potrzebna dla samoistności praw wyprowadzanych z pojęcia godności jednostki ludzkiej. Tego rodzaju prawo będzie miało charakter

podmiotowy, przyrodzony i kreacyjny. Realne uprawnienia człowieka w dużym stopniu zależały od miejsca na Ziemi, w którym przyszło mu żyć.

Stąd też dla połączenia pojęcia prawa z ideą godności człowieka konieczne jest, choć u Pufendorfa zasugerowane w sensie bardzo generalnym, przyjęcie za konieczne idei równości wszystkich ludzi między sobą. Ludzie równi i wolni mogą dopiero przejawiać prawidłowo swe dążenia do życia w grupie, co wypływa z ich pobudek egoistycznych – troski o siebie i swoje dobro. Do historii myśli prawniczej Pufendorf przeszedł jako autor rozróżniający w koncepcji umowy państwa trzy etapy: etap samego zrzeszania się, etap wyboru konstytucyjnego ustroju i etap delegowania władzy.

Bardzo istotne znaczenie w jego teorii ma podział działań, którym zajmowali się filozofowie prawa od czasów Arystotelesa, na te, które są podejmowane pod przymusem i te całkowicie samoistne. Człowiek z natury nie ma żadnych zobowiązań wobec innych i nie musi uznawać żadnej władzy nad sobą. Idea tego co konsensualne dotyczy każdego rodzaju umów, zarówno tych, które legły u podstaw tworzenia państwa, jak i umów cywilnoprawnych. Istotą każdej umowy jest wola stron, ale aktem tejże samej woli można rozwiązać każdą umowę. Pufendorfowi na kontynencie europejskim i Cumberlandowi¹ wśród Anglosasów zawdzięczamy upowszechnienie dwu tez łączących koncepcje publiczno-prawne z teorią polityczną.

Po pierwsze społeczeństwo tworzy sieć realnych i domniemanych umów, zawieranych przez jego członków, obowiązujących trwale bądź hipotetycznie. Po drugie, w sferze publiczno-prawnej mają miejsce

takie prawidłowości polityczne, których ignorowanie musi przesądzać o upadku każdego państwa i każdej grupy interesu². Po trzecie w sferze prywatnej i publicznej muszą być przestrzegane prawa podmiotowe jednostki, a katalog tych praw po właściwym rozpoznaniu powinien być rozszerzany.

Istota praw podmiotowych polega na posiadaniu uprawnienia. Uprawnienie zawiera w sobie wolność wyboru. Istota religii musi znajdować się poza rozumem, albo w irracjonalnym objawieniu, albo w transcendentnie pojmowanym świetle, rządonym przez odwieczne prawo naturalne. Zdaniem Pufendorfa socynianie błędzili także z innych powodów. Każda religia działa na styku emocji i nauki o moralności. Zatem religie uczą na temat obowiązków człowieka. Są to obowiązki wobec Boga, bliźnich i siebie samego. Religie nie mówią nic na temat ludzkich uprawnień. Nie stawiają jednostki wobec żadnego, w pozytywnym sensie tego znaczenia, wolnego wyboru. Zatem źródeł praw jednostki należy szukać w idei prawa naturalnego. Także religię należy rozumieć w sposób prawno-naturalny jako styk majestatu Boga, stwórcy całej natury w tym i człowieka, za co godzi się oddawać Mu cześć. Sam człowiek winien pamiętać, że należy do jednego z bardziej bezradnych stworzeń, ale przeżył dzięki temu, że rozwinął rozum jako najdoskonalszą cząstkę swojej biologicznej istoty. Stąd też powinien zachowywać pokorę i pieczołowicie wypełniać obowiązki w społeczeństwie i w narodzie, a tego właśnie uczą od dawien dawna religie³.

Prawa naturalne są jednostce potrzebne ponieważ to właśnie one mają nas ludzi

na stałe uczyć korzystać ze swych uprawnień i dokonywać wyborów, tak by jak najlepiej służyć społeczeństwu⁴. Religie uczyły ludzi do pewnego etapu rozwoju poprzez narzucanie jednostce obowiązków. Nadchodzi czas, by religie ścierające się ze sobą w sporach teologicznych ustąpiły miejsca ideom prawno-naturalnym. Idee te zaczęły kształtować ludzi poprzez wyposażanie ich w zakres należnych im uprawnień. Dzięki uprawnieniom jednostka zostanie postawiona wobec wyborów etycznych. Gdy ich już dokona będzie pracować i lepiej, i więcej, ponieważ to ona sama poprzez swój wybór włączyła się funkcjonalnie w społeczny organizm⁵. Rozumienie obowiązków to przede wszystkim kwestie właściwie ukształtowanej woli jednostki. Walczące ze sobą kościoły okresu poreformacyjnego nie mogą w należyty sposób kształtować woli wychowanków, którzy mają stawać się w pełni świadomymi jednostkami i członkami wspólnot narodowych.

W naturze istnieje wiele form życia a tylko z jednej nich udało się przetrwać dzięki zmysłom rozwiniętym o zaplecze człowieczego rozumu. Dzięki odkryciu prawideł drzemiących w świetle i w tym co naturalne człowiek nie będzie jednostką zagrażającą innym i samej sobie. Tymczasem rolę religii, szczególnie religii naturalnej jest dyscyplinowanie jednostki ludzkiej: „Ci bowiem, którzy nie odczuwają trwogi przed Bogiem, niczego nie boją się bardziej od śmierci. Ktokolwiek ośmieliłby się nią gardzić, mógłby dopuścić się wszystkiego przeciwko panującym”⁶.

Religie, zdaniem Pufendorfa, powinny dążyć do zjednoczenia. Sam usiłował doprowadzić do porozumienia luteran i kalwinów w Prusach, co okazało się dzia-

łaniem bezskutecznym. Doszedł wówczas do wniosku, że wobec istnienia w państwie wielu kościołów, to właśnie państwo ma przejąć część spraw związanych z przygotowaniem poddanych do pełnienia obowiązków w państwie⁷. Może w tym względzie współpracować z poszczególnymi kościołami, gdyż całkowicie ich nie zastąpi. Charakterystyczne dla poddanego władcy Prus myślenie w kategoriach państwa i jego racji stanu stanowi charakterystyczny rys jego twórczości.

Pufendorf planował przyszłość na naszym kontynencie jako konfederację narodów protestanckich połączonych wspólnymi prawami i wspólną religią protestancką. W takiej wspólnotce zarówno prawa jednostki jak i prawa obowiązujące w społeczeństwach, narodach oraz wewnątrz lokalnych kościołów będą opierały się na właściwie zrozumianej filozofii Natury.

Z filozofii politycznej, którą stworzył niemiecki prawnik rozciąga się zupełnie nowa perspektywa antropologiczna. Jego punkt wyjścia był wprawdzie wspólny dla wielu myślicieli – była to renesansowa koncepcja jednostki będącej podmiotem w świecie i partnerem wobec Boga. Pufendorf uważał, że zarówno ludzki rozum jak i wszelkie formy organizacji człowieka w tym religia, społeczeństwo, naród i państwo to etapy ewolucji, która od tego co naturalne przechodzi do tego co społeczne. Do ich powstania potrzebna jest wola powszechna, która wypływa z obawy przed zagrożeniami stanu natury i jednocześnie staje się wyższym uczuciem moralnym, łączącym ludzi w różnorodne wspólnoty. To, co społeczne stanowi przedłużenie procesów zachodzących w świecie natury. Kto chce te dwa aspekty rozwoju (etap rozwoju natu-

ralnego i etap społeczny) rozdzielić, jego zdaniem, musi pobyć. Zatem i religia i rozum ludzki mają jedno źródło – odkrycie, rozpoznanie i przyswojenie prawideł rządzących całym światem natury. Człowiek zaś musi w tym nieogarnionym uniwersum ewoluować od bezradności do godności.

Dlatego też prawa człowieka, po wszystkie czasy, winne być wyprowadzane i ściśle powiązane z prawem natury. Istotą filozofii ma być, zdaniem niemieckiego jurysty, odkrywanie idei i praw naturalnych oraz właściwe rozwiązywanie problemów zgodnie z tymi prawami. Bracia Polscy, ponieważ upatrywali drogę do szczęścia i zbawienia w prawidłowo zorganizowanej wspólnotce kościelnej, która niczym namiastka raju na ziemi miała ich do niego przygotowywać, popadli w wiele dylematów na temat celów i zadań jednostki w społeczeństwie i narodzie. Z tych też względów ich poglądy ewoluowały od utopii, za którą ich wyklinano, do pragmatyzmu, za który też byli krytykowani. Krytykowanie to miało miejsce w myśl dewizy – oto ci, którzy głosili ideały, zarzucali wiele błędów innym, ale sami do głoszonych ideałów nie dorośli. Propagowali takie wartości, jak na przykład pacyfizm, którego przestrzegać nie potrafili, a ich życie i ewoluowanie świadczyły o braku stałych poglądów. Dla ich religijnych przeciwników ta ewolucja świadczyła o pomieszaniu moralnym.

Księga Samuela Pufendorfa *De jure naturae et gentium*, obok wybranych tekstów francuskiego i angielskiego Oświecenia, była ściśle analizowana przez Ojców Założycieli demokracji amerykańskiej. Podjęty przez Puuffendorfa kierunek po-

szukiwać źródeł podmiotowości społecznej w istotny sposób dopomógł amerykańskim intelektualistom, w tym prawnikom w osiemnastym stuleciu, wypracować koncepcję państwa, które nigdy nie powinno narzucać jakiegokolwiek religii, ani wybierać jej dla swych obywateli. □

Przypisy:

¹ Richard Cumberland 1631-1718, angielski filozof moralista, teolog, biskup anglikański; krytyk poglądów etycznych T. Hobbesa; jeden z prekursorów utilitaryzmu.

² Na wspólne cechy w rozumieniu idei prawa natury u Grotiusa i Pufendorfa oraz na rewolucyjne zmiany, które przyniosły w obalaniu absolutyzmu jako pierwszy zwrócił uwagę lord Acton autor *Historii wolności w chrześcijaństwie*, [w:] tenże *Historia wolności*, Kraków, 1995, s. 83.

³ Filozofia polityczna Pufendorfa stanowi niedoceniony punkt zwrotny między Renesansem Oświeceniem oraz wstęp do niemieckiej myśli politycznej rozwijanej przez klasyków niemieckiego idealizmu Kanta i F. G. Hegla i cały późniejszy nurt rozwojowy aż do F. Nietzschego.

⁴ Pro-społeczne rozumienie prawa naturalnego jest charakterystyczne dla tradycji anglosaskiej amerykańskiej. Stąd też tak głęboka i żywa recepcja dzieła Pufendorfa w XVIII-wiecznej Ameryce Płn. Nie też dziwnego, że to w ramach tradycji anglosaskiej powstało dzieło rekapitułujące całą historię debat i spórów wokół prawa naturalnego: John Finnis, *Prawo naturalne i uprawnienia naturalne*, Warszawa 2001.

⁵ Tezy te stanowią motyw przewodni S. Pufendorfa *The First Book on the Duty of Man and Citizen* (Pierwszej księgi o obowiązkach człowieka i obywatela), stanowiącej część *De jure naturae et gentium*, na ten temat por. w konfrontacji z innymi myślicielami angielskimi Nina Gładziuk *Druga Babel, Antynomi siedemnastowiecznej angielskiej myśli politycznej*, Warszawa, 2005, s. 292-295.

⁶ S. Pufendorf, *De jure naturae et gentium*, rozdz. IV O obowiązkach człowieka wobec Boga, czyli naturalnej religii. Rozdz. IV. Oksford 2003.

⁷ „Podstawą państwa jest pęd do życia wśród ludzi; najwyższym celem państwa – zapewnienie pokoju i bezpieczeństwa życia społecznego poprzez przemianę wewnętrznych obowiązków sumienia w zewnętrzne obowiązki przymusowe”. G.W. Hegel, *Wykłady*, dz. cyt.

IGNACY S. FIUT

Jesteśmy falą

Richardowi Dawkinsowi

jesteśmy falami w oceanie
kosmicznego uniwersum
przez które przepływa nieustannie
nieskończona liczba atomów materii
– z prawego brzegu już martwi
– z lewego jeszcze w łonie matki
– na horyzoncie nikt o nas nie słyszał
– w zenicie widać owoce naszego istnienia
z kosmicznego okrętu machamy
zadowoleni i uśmiechnięci na twarzy
wołamy: byle do jutra!
bo przecież każde życie karmi się nadzieją
– pokarmem nieprawdopodobieństwa



Celebryt – ulubieniec ekranów

Celebryt to nowa kategoria, współczesnej gwiazdy, charakteryzująca się tym, że jest, skupia wokół siebie uwagę, prowokuje i przez to wzbudza zainteresowanie mediów. Kategoria celebryta jest kalką pojęcia celebrities, jakim zwykło się na zachodzie określać gwiazdy. Istnieją różne kategorie gwiazdorstwa, celebryt zatem jest gwiazdą kultury tabloidów, odonoszącym się głównie do tabloidowej publiczności i w niej zyskujący największe poparcie. Jednak swoją osobą, swoją działalnością, swoim byciem wykracza on poza tabloidowy świat i prawie każdy wie o jego istnieniu. Nie musi go lubić, nie musi dokładnie znać przebiegu jego kariery czy życia osobistego ale przez samo uczestniczenie w rzeczywistości medialnej choć trochę orientuje się w jego świecie. Wobec niego nikt nie jest obojętny i chyba właśnie o to chodzi. To właśnie jego życie jest uniwersalnym, bezpiecznym tematem wielu rozmów. Wielkie zainteresowanie celebrytami, tworamii bardzo pobocznych obszarów kultury paradoksalnie przenosi ich w sam środek medialnego życia kulturalnego czyniąc ich esencją życia kulturalnego na każdym jego szczeblu¹. Przenikają oni wszędzie. Nie są już tylko gwiazdami seriali, muzyki popularnej. Coraz częściej ich zachowania, ich sposób bycia, ich kreacje przenoszone są na

inne obszary życia tylko po to aby szybciej i łatwiej oraz efektowniej zaistnieć w mediach. Bardzo często kategoria celebryty przenoszona jest do świata polityki. Obecnie przy tak silnym nasyceniu medialnym ma on ułatwione zadanie. Skupia uwagę mediów, został wykreowany przez media i jest przez nie nieustannie dystrybuowany. Odpowiednio wykreowany, może obecnie zapewnić sobie nawet życie wieczne w mediasferze, naznaczyć się kultowością, stać się ikoną odnoszącą się do kultury masowej. Celebryci tworzą nową sferę publiczną w medialnym systemie, który jednocześnie legitymizują jak i również podkopują jego fundamenty². Jaka jest zatem kultura tworzona przez nich? Czy ich obecność może w ogóle być nazwana kulturą, kulturą popularną? Po co istnieje kategoria celebryty? Odpowiedzi na wszystkie te pytania można znaleźć w pismach Frankfurckiej Szkoły Krytycznej. Są oni wytworem a zarazem twórczym i bohaterem przemysłu kulturowego.

Przemysł kulturowy w ujęciu Frankfurczyków oznacza upadek kultury związany z jej utowarowieniem, co zabija prawdziwą twórczość, indywidualność, i idee sztuki, zastępując to komercyjnym produktem pozbawionym filozoficznej i egzystencjalnej funkcji³. Istnienie przemysłu kul-

turowego jest podyktowane krępowaniem świadomości, hamowaniem kształtowania się autonomicznych, samodzielnych, świadomie oceniających i podejmujących decyzje jednostek⁴. Podobną refleksję na ten temat prezentuje Zygmunt Bauman twierdząc, że obecnie człowiek staje się surferem, co oznacza powierzchowność spojrzenia i niezdolność dokonywania głębokiej refleksji przez większość uczestników kultury masowej⁵. Brak możliwości własnej interpretacji świata medialnego prowadzi do sytuacji, w której odbiorca daje się prowadzić przez media i wciągać w ich sposób myślenia. Dla nadawcy przykład się to na zyski. Kto ma celebryta ten potrafi przyciągnąć publiczność, kto przyciąga publiczność generuje zyski. Bardzo dobrze ilustruje to odpowiedź Edwarda Miszczaka, dyrektora programowego TVN na zadane pytanie; „Dlaczego tak bardzo promujecie własne gwiazdy? Wciąż oglądamy te same twarze od rana aż do nocy. Zaczynając od „Dzień Dobry TVN” aż do „Kuby Wojewódzkiego?” odpowiedział: „To nie jest promocja gwiazd, bo jak pani wie, gwiazd nie trzeba promować. To jest tylko spełnianie oczekiwań naszych widzów. Ludzie, gdy kogoś kochają, to chcą go oglądać w różnych sytuacjach. Chętnie pokazywalibyśmy inne gwiazdy, ale niewiele ich jest na rynku”⁶. Wypowiedź ta w bardzo dobry sposób oddaje sens posiadania tego typu „gwiazd” w swoich programach. Nie mogą oni funkcjonować poza systemem medialnym, który jest ich macierzystym środowiskiem wpisującym się w ich medialny charakter. Nie tylko są oni produkowani przez media, ale również w pewnym sensie sami media współprodukują narzucając swoimi ekscesami przepływ informacji. Celebryci pełnią rolę regulującą konsumpcję kulturową i wpływają na nasz

sposób odbioru przekazów, dokonywania zakupów słuchania muzyki i oglądania telewizji. Tworzą swój zamknięty świat, ale żywią się codziennością milionów⁷. Są oni właściwie symulakrami odnoszącymi się do samych siebie, a rozgłos i mówienie o nich tylko je konstytuuje.

Kategoria celebryty, ujawniającego swoje prywatne życie cały czas ulega zmianie. Coraz większe zainteresowanie mas zmusza ich do pokazywania coraz większych kulis swojego życia, czy nawet przenoszenia kulis do centrum. Początkowo celebryci byli bohaterami szklanego ekranu, sceny, kolorowych pism. Obecnie pogoń i zainteresowanie oraz zapotrzebowanie na „sławnych z tego, że są sławni” przybiera coraz to różniejsze formy. Za wymaganiami publiczności, która przyzwyczajona obcować z nim i chce go dalej konsumować musi również iść adaptacja formatów zagranicznych do naszych warunków (formatów sprawdzonych już w wielu krajach, gdzie kategoria celebryty ma już dużą tradycję) jak i również ewolucja już istniejących formatów telewizyjnych, głównie mam tu na myśli formaty *reality shows*. Format *reality* dokonał swojej metamorfozy na antenie MTV, na której zagościł program „The Osbournes”, w którym to widzowie mieli możliwość podglądania rodzinnego życia ikony heavy metalu lat 80, Ozzy’ego Osbourne’a. Dla Osbourne’a, który do dziś dnia jest postacią kultową na całym świecie, *reality* było próbą zmierzenia się ze swoją legendą jak i również wyrazem wielkiego dystansu do siebie jak i do swojej ogromnej popularności. Program cieszył się wielkim zainteresowaniem i był emitowany przez kilka sezonów. Kwestią czasu była adaptacja tego typu formatu do rynku i realiów naszego kraju.

Pierwszym polskim celebrytem, który zaprosił kamery do swojego domu i urządził z niego *reality show* był Michał Wiśniewski, który nieustannie swoim zachowaniem i szczerymi wyznaniem kształtuje sferę celebrytów. Program Wiśniewskiego utrzymał się na antenie jeden sezon, później próbowano przywrócić go znowu na antenę w innej telewizji, lecz jednak przedsięwzięcie nie doszło do skutku. Na pewno na ten fakt miała wpływ konkurencja innych celebrytów, którzy sprawnie zagarnęli Wiśniewskiemu wypracowany kapitał emocjonalny. Od kroku, który pierwszy zrobił Wiśniewski *reality show* stało się uniwersalną bazą dla reszty polskich celebrytów. *Reality show*, które miało pokazywać życie zwykłych ludzi znudziło się odbiorcom, chcieli zobaczyć życie sławnych, znanych, lubianych oraz znieawidzonych, ponieważ kategoria uwielbienie – nienawiść w świecie celebrytów zaciera się. Ważne żeby tylko skupiać uwagę. Przykładami programów *reality show* z udziałem celebrytów może być również: Bar VIP oraz piąta edycja Big Brothera. Również Doda – Dorota Rabczewska, jedna z czołowych obecnie celebrytek, pierwsze kroki do swojej popularności stawiała właśnie w programie typu *reality*. Przeniesienie, zamknięcie ich w *reality show* było logiczną konsekwencją, odpowiedzią na zapotrzebowania widowni. Z drugiej strony życie celebryty to nieustanny *reality show*.

Jesienne ramówki wszystkich stacji zaroły się od formatów adaptowanych z celebrytami w roli głównej. Wysyp programów tego typu jest tylko preludium do tego, co będzie wkrótce, czyli ich dominacji nie tylko na wszystkich antenach, ale i również na wszystkich ekranach. Jesienna ramówka to dla nadawców świetny moment do wprowadzenia tego typu programów.

Dzień staje się krótszy, wieczory coraz dłuższe, co przekłada się na większą ilość czasu spędzanego przed telewizorem. Telewizja TVN postawiła na kontynuację swojej oferty rozrywkowej, która utrzymuje się już od kilku sezonów. Telewizja Polsat zaserwowała nam adaptację amerykańskiego formatu „Ranking gwiazd”, w którym 10 celebrytek weryfikuje swe wyobrażenia poddając się wzajemnej ocenie. Na końcu wszystko jest konfrontowane z wynikami sond przeprowadzanych na zwykłych, szarych obywatelach. Widownia dostaje między innymi utarczki słowne i spekulacje, która z pań celebrytek najgorzej się ubiera, która miała najwięcej kochanków. Formuła programu zakłada, że panie mówią sobie o swych domysłach prosto w twarz. Program, który tematycznie jakby się wydawało jest spełnieniem pragnień widowni jak na razie przegrywa, jeżeli chodzi o oglądalność z innymi pozycjami nadawanymi w tym czasie. Pierwszy odcinek celebryckiego *show* zgromadził przed ekranami 1,4 miliona widzów⁸. Należy też dodać, że program jest emitowany w tym samym czasie co „Wiadomości”, więc nie jest to dziwne, że jak na razie przegrywa z newsami. Telewizja Polska natomiast serwuje nam adaptację francuskiego *show* „Fort Boyard”. Już przed emisją pierwszego odcinka zapowiedziano, że czeka nas drugi sezon tej produkcji. Format ten bije rekordy popularności w wielu krajach świata. „Fort Boyard” zsyła grupkę celebrytów do twierdzy na francuskiej wyspie. Tam oni dwoją się i troją, aby zdobyć ukryte wskazówki, które mają na końcu zaprowadzić ich do ukrytego skarbu. Zmagają się z zagadkami logicznymi oraz zadaniami fizycznymi, często będącymi namiastką sportów ekstremalnych. Dwie z celebrytek biorących udział w „Fort Boy-

ard” występuje również w show Polsatu „Ranking gwiazd”, mam tu na myśli Justynę Steczkowską oraz Joannę Liszowską. Krew, pot i łzy celebrytów jak na razie nie święcą triumfów popularności. Pierwszy odcinek show Telewizji Polskiej obejrzało 1,8 miliona widzów⁹. „Fort Boyard” jest emitowany w tym samym czasie antenowym, co cieszący się popularnością serial „Niania”, na antenie TVN oraz adresowany do tej samej grupy odbiorców show Polsatu „Jak oni śpiewają”. Możliwym jest, że nowe formaty zdobędą widownię porównywalną do osiągnięć ich zagranicznych pierwowzorów. Sytuacja, która pojawiła się wraz z nadejściem jesiennej ramówki unaocznia tylko jedno – nieustanną walkę celebrytów o nasycenie jak największej ilości przekazów medialnych. Mogą tańczyć, śpiewać, podnosić ciężary, dogryzać sobie, być i cieszyć lub irytować oczy mas, nie dając o sobie zapomnieć. Start jesiennych ramówek świetnie obrazuje też zubożenie różnorodności gatunkowej programów telewizyjnych wszystkich nadawców jak i również z każdym rokiem coraz większe upodobnienie gatunkowe programów nadawcy misyjnego do nadawców komercyjnych.

Jesienne ramówki to również w dalszym ciągu kontynuacja trendu tańca, w który wpisała się zarówno Telewizja Polska jak i TVN, trendu, który same wytworzyły, jedynie Polsat szukając innej niszy ponownie serwuje nam celebrytów usiłujących śpiewać.. Programy takie jak „Taniec z Gwiazdami” oraz „Gwiazdy tańczą na lodzie” pokazujące zmagania taneczne gwiazd przeniosły medialną rzeczywistość w świat realny. Polska zaczęła tańczyć, wszędzie powstają szkoły tańca, każdy kto chce być na czasie musi tańczyć tak jak pokazali mu to jego ulubieni celebryci. Pro-

gram ich promujący, skupiający miliony przed ekranami, stał się siłą sprawczą do wygenerowania nowej, nieuświadomionej potrzeby na skale masową – nauki i konieczności tańca. W sferze telewizyjnej taniec to za mało, niby to taniec przyciąga publiczność, ale ważne są również szczegóły, możliwość zajrzenia do garderoby, próba wyśledzenia, jakie są relacje między tańczącymi celebrytami, jakie będą skandale czy zawiążą się nowe romanse. Cała koniunktura nakręca się. Programy te mają świetną recepcję w prasie tabloidowej, która po każdym odcinku zalewa kolumny stertą zdjęć z zdawkowymi, często sugerującymi komentarzami. Na ten temat nie milczy również sieć, bo to właśnie za jej pośrednictwem można publicznie wyrażać opinię o swoim celebrycie, którego się kocha lub nienawidzi. Portale internetowe będące często własnością grup medialnych rozpisują się na temat zakulisowych relacji między nimi. Trudno uświadczyc dzień bez wiadomości, co się dzieje wśród tańczących celebrytów. Takie nakręcanie i pobudzanie odbiorcy czyni z tych wiadomości tematy numer jeden. Nie sposób się dziwić, że właśnie te wiadomości zamieszczane są przeważnie jako pierwszy link w dziale kultura¹⁰ bądź jako pierwsza informacja, która przyciąga największą uwagę odbiorcy na stronie¹¹. Udział celebrytów w tego typu programach oraz przeniesienie ich echa do sieci powoduje nakręcanie spirali ujadania i jazgotu na forum¹². Zwłaszcza gdy w jury oceniającym taniec celebryta zasiada inny celebryta, co przekłada się na sytuację, że amator ocenia amatora, równy ocenia równego więc w trosce o swój blask nie można zrobić tego w sposób powszechnie akceptowalny. Trzeba się wyróżnić, skupić na sobie jak największą uwagę. Do pamiętnych już scy-

sji między nimi - członkiem jury a celebrytem popisującym się swoimi świeżo nabytymi zdolnościami doszło w pierwszej edycji tanecznego show Telewizji Polskiej, „Gwiazdy tańczą na lodzie”. Wspominana już Doda, aby błyszczeć i przyćmić swą osobą blask całego programu nie szczędziła inwektyw pod adresem eks boksera, Przemysław Salety, komentując jego taneczne możliwości sformułowaniami „poruszasz się jak betonowy kloc”, „nie cierpię głupoty, chamstwa i prostactwa”, „mamy tu takiego fajnego błazna na lodzie”. Bokser nie pozostawał jej dłużny i starał się ripostować, mówiąc między innymi „inni też lepiej śpiewają a ty dostałaś nagrodę” czy „rozdzielniasz Tulupa od Axla?”. Ich batalia słowna, wzajemne dogryzanie sobie już od pierwszych odcinków zepchnęła na drugi plan fascynację często mierną jazdą na lodzie, stając się elementem programu, na który specjalnie się czeka. Klip ze zmontowanymi wszystkimi bataliami słownymi Dody i Salety znalazł się na serwisie YouTube, na oficjalnym kanale struktury telewizji internetowej itvp.pl i promował następną edycję tanecznego show. Użytkownicy YouTube bardzo chętnie wyrażali swą dezaprobatę wobec Dody, nie stroniąc przy tym od wulgarnego języka. Nie nawiązała się przy tym nawet dyskusja forumowa, powstał chaos, forumowy jazgot, w którym jeden przekrzykiwał drugiego jak bardzo nienawidzi Dody. Dla głównej zainteresowanej wcale nie jest ważne czy internetowe masą ją chwala czy nienawidzą, ważne, że skupia uwagę tych mas, mas które konstytuują jej medialne istnienie i powiększają jej kapitał emocjonalny. Nasylenie przekazu medialnego celebrytami zrównuje w poziomie przekaz nadawcy publicznego z komercyjnym. Nadawca publiczny, aby móc liczyć się na rynku musi adekwat-

nie odpowiadać na zapotrzebowania widzów, która nie jest zainteresowana na masową skalę programem misyjnym. Ich świat jest światem dyfuzyjnym. Celebrytą się jest i celebrytą się bywa. Celebryta na emeryturze nie jest atrakcyjny, więc przestaje nim być. Dlatego nieustannie ze sobą walczą, aby zawsze być na pierwszej stronie. Ich dyfuzyjność jest również problemem dla nadawcy. Celebryta, który ma za sobą publiczność nie będzie wiązał się na wyłączność tylko z jednym nadawcą, wręcz przeciwnie będzie właśnie dążył do nasycenia sobą jak największej ilości źródeł przekazu nie patrząc na konkurencyjny charakter mediów. Dla celebryty nie jest ważne, w którym medium się pokaże, bo dla niego liczy się wyłącznie sam fakt pokazania się, zabląszczenia. Jest on towarem do sprzedawania. Sytuacja otwartej komercjalizacji sprawia, że część naszych rodzimych celebrytów próbuje odciąć się od maski „znanego z bycia znanym”. Bardzo często podkreślają swoją elitarność nie identyfikując się z pozostałymi, co często zakrawa na fałszywą skromność. Gatunki telewizyjne również zaczęły się modyfikować pod ich wpływem, największą ewolucję przeszedł *talk – show*, w którym słowo *talk* przestało mieć znaczenie, a bardziej zaczął liczyć się *show*. Rozmowa jest tylko na poziomie fatycznym. Prowadzący sam stał się celebrytą niosącym ze sobą swoisty ładunek emocjonalny publiczności, np. pani dobra rada, zawsze chętna do wysłuchania zwierzeń Ewa Drzyzga czy często skandalizujący oraz prześmiewczy Kuba Wojewódzki oraz Szymon Majewski. W tych programach najlepiej widać istotę celebryty i zmianę gatunku telewizyjnego. Jak w każdym *talk show* kluczowym bohaterem był zawsze zaproszony gość, często celebryta tak teraz nie liczy się

gość tylko prowadzący bo to jest jego program, jego czas na błyszczenie, jego sposób na swoje medialne bycie, które opiera się głównie na wyśmiewaniu i demaskowaniu absurdów bycia nim. Dlatego też trudno jednoznacznie stwierdzić czy prowadzący te programy są celebrytami w pełnym tego słowa znaczeniu, gdyż mają oni jakąś spójną wizję siebie, może i wygenerowaną a potrzeby medialnego *show* ale nie zżerającą właściwej tożsamości. Zarówno osobowość medialna jak i przesmiewczy stosunek do celebryckiej rzeczywistości jest ważny, lecz wadliwe jest stałe przywiązanie do struktury gatunku, która widza powoli zaczyna nudzić. Świadczy o tym na przykład fakt przesunięcia programu Kuby Wojewódzkiego w ramówce z najlepszego czasu antenowego w niedzielę na wtorki. Program nie wytrzymał konkurencji ze strony serialu „Ranczo” emitowanego na antenie Telewizji Polskiej. Bardzo dobrze obrazuje stosunek celebryta do istniejącej sytuacji jego wypowiedź: „Jeżeli któregoś dnia zadzwoni do mnie Edward Miszczak i powie mi, że mój program będzie o godz. 6.30 rano, to ja go nie wezmę. Nie jestem chłopcem do wędrowania po ramówce. Umówiliśmy się, że przenosimy program na wtorek. Ale jeżeli Edward wymyśli, żeby przenieść go na piątek, to ja wtedy wymyślę sobie inną robotę. Jestem trudnym partnerem (...) Nie chcę być zapchajdziurą, ale jeżeli on buduje jakąś filozofię wtorku, to ja w to wchodzę. Przenosił i Szymona, i „Teraz My”, i wszyscy dobrze na tym wyszli... Jeżeli zaczniesz mną budować filozofię środy, czwartku albo sobotniej nocy, to nie będę miał ochoty być takim zapychaczem i też wyjdę. Jeszcze dwa sezony temu bym się wkurzył i podpalił. My punkowcy walimy takie kompromisy. Poszedłbym do kibla i napisał obraź-

liwe hasło pod adresem zarządu, a następnie opuściłbym bez słowa wyjaśnienia miejsce pracy. Ale miałem trzytygodniowe wakacje na Jamajce i wróciłem z nich bardzo pozytywnie nastawiony do życia. A jak człowiek wraca z Jamajki, to niedziela może być i we wtorek. Lewatywę z mózgu można robić ludziom każdego dnia”¹³.

Obecnie dzięki postępującej konwergencji mediów celebryci mają ułatwiony dostęp do przenikania między wszystkimi ekranami. Nawet ekrany telefonów komórkowych są dla nich gościnne. Celebryta z powodzeniem można wgrać jako oprogramowanie i używać jako dzwonek, tapetę czy teledysk, który musimy oglądać wszędzie. Kultura uczestnictwa panująca w sieci również działa na ich korzyść. Odbiorcy sami doszukują się coraz bardziej szczegółowych i intymnych historyjek z życia swoich ulubieńców, sami zakładają ich strony, na których oddają swoją cześć i uwielbienie w sposób często zakrawający na religio podobny charakter. Mało tego, użytkownicy sieci sami tworzą sobie nowych. Ostatnim głośnym przykładem może być „Jożin z Bażyn” Ivana Mladka, czeskiego kabareciarza, który po 40 latach doczekał się swoich kolejnych kilku minut niespodziewanego błyszczenia. Wszystko za sprawą serwisu You Tube, na którym użytkownik znalazł teledysk z zabawną choreografią i równie zabawnym tekstem. Ten fakt jak i jego późniejsza masowość sprawiła, że 1.556.930 użytkowników w przeciągu dwóch miesięcy¹⁴ zobaczyło nagranie w sieci, za sprawą którego czeski artysta powrócił na scenę. Innym przypadkiem kariery z sieci, która odbiła się wielkim echem we wszystkich mediach oraz miała przełożenie na wytworzenie nowej sfery konsumentów (popyt na tureckie swetry) było 5 minut Krzysztofa Konono-

wicza, kandydata na prezydenta Białego-stoku, którego spoty wyborcze były przez pewien okres czasu najczęściej oglądany- mi klipami w portalu You Tube¹⁵. Możli- wości jakie daje sieć a zwłaszcza anoni- mowość zamieszczania w niej informacji daje celebrytom sposobność do przeciekania najbardziej prywatnych i intymnych sytuacji na forum Internetu zwłaszcza gdy szum medialny wokół ich osoby niknie. Nikt przecież nie udowodni, że to oni sami zamieścili jakąś informację na swój temat. Wystarczy jeszcze później ogłosić że ma- teriały e zostały wykradzione z domowe- go archiwum i już błyszczy się ponownie. Bo kto nie chciałby zobaczyć najbardziej prywatnych i intymnych chwil celebryta? Na skalę światową największy skandal wywołały zamieszczone w sieci nagrania stosunku seksualnego Paris Hilton z jej byłym narzeczonym, który przyznał się do publikacji. „One Night In Paris” był prze- bojem sieci.

Nasi celebryci jeszcze nie są aż tak perwersyjni, ale im również zdarzały się niekontrolowane wycieki materiałów czy kradzieże z domowego archiwum, które później lądowały w sieci. Przykładem tego mogą być filmy Dody z wakacji zamiesz- czone na serwisie You Tube¹⁶. Sieciowy układ nowych mediów jest zatem bardzo korzystny dla celebryta. Nawet gdy jego błyszczenie przestanie być tematem numer jeden, informacje o czasach jego najwięk- szej świetności w sieci będą żyć wiecznie. Bezterminowa obecność informacji w sie- ci sprawia, że może kiedyś ktoś znajdzie ją i ponownie zafascynuje się życiem celebry- ta, wskrzeszając go w sferze publicznej. Warto jednak zauważyć, że obecnie bar- dzo szybko zmieniają się normy i wzory postępowania, coraz mniej rzeczy nas szo- kuje. Taka tendencja zapewne będzie na-

bierać na sile z każdym rokiem, dlatego też gdy za jakiś odleglejszy czas sięgniemy do sieci w poszukiwaniu archiwalnych wyczy- nów naszych obecnych celebrytów z roz- bawieniem stwierdzimy, że takie niewinne rzeczy kiedyś nas szokowały i wzbudzały powszechne zainteresowanie. □

Mgr Paweł Mlak – jest absolwentem studiów so- cjologicznych na Wydziale Nauk Społecznych Stosowanych Akademii Górniczo-Hutniczej w Kra- kowie. Pracuje jako dziennikarz w TVN, wcześniej w TVP 3 w Krakowie.

Przypisy

1 W. Godzic, *Znani z tego, że są znani. Celebryci w kul- turze tabloidów*, Wydawnictwa Akademickie i Profesjo- nalne, Warszawa 2007, s.20.

2 Ibidem, s.22.

3 T.W. Adorno, *Sztuka i sztuki. Wybór esejów*, Państwo- wy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1990, s.13.

4 Ibidem, s.14.

5 Stwierdzenie Zygmunta Baumana cytuję za W. Go- dzic, *Znani z tego, że są znani. Celebryci w kulturze ta- bloidów*, op. cit., s.21.

6 Fragment wywiadu z dnia 07.12.2007 udzielonego dla gazety „Dziennik Polska Europa Świat” http://www.dzien- nik.pl/wydarzenia/article92801/Miszczak_Nie_rozu- miam_placzu_nad_Rokita.html

7 W. Godzic, *Znani z tego, że są znani...*, op. cit., s.24.

8 Dane za AGB.

9 Dane za TNS OBOP

10 Dla przykładu, portal Onet.pl 10.03.2008 pierwsza informacja z dziale kultura „Taniec z Gwiazdami”: Magda Walach najlepsza <http://film.onet.pl/0,0,1707407,wiadomo-osci.html>

11 Portal Onet.pl z dnia 10.03.2008 Wytarńczyli sobie karierę, przedruk artykułu o tańczących celebrytach z ma- gazynu „Gala” http://gala.onet.pl/0,1473509,1,1,wytan- czyli_kariere,tematy.html

12 Por. I. S. Fiut, *Od spirali milczenia do spirali ujadania i jazgotu*, [w:] I. S. Fiut, *Media @ Internet...*, op. cit., s. 170.

13 Cytat z wywiadu udzielonego dla gazety „Dziennik. Polska Europa Świat” za <http://film.onet.pl/0,0,1694197,wiadomosci.html>

14 Liczba odsłon strony z filmem na dzień 11.03.2008, godzina 15.00 <http://youtube.com/watch?v=v9MTGN-EXGM>

15 <http://youtube.com/watch?v=UuzkWtnGAZU>

16 <http://youtube.com/watch?v=ISSCK5FoYjc>

Conrad, sprawa polska i postkolonializm

Wieczny przybysz

O narodowości Conrada napisano całe tomy. Pisano o nim jako o wygnańcu, o zdrajcy polskości, o naturalizowanym Angliku, o obywatelu Europy. W istocie Conrad pozostawał w bezustannym ruchu pomiędzy różnymi krajami, ojczyznami duchowymi i językami. Stwarzał się bezustannie w zmiennych okolicznościach losu, a jego stałym miejscem zameldowania była bezdomność, świadomie wybrana i kultywowana kondycja obcego, wiecznego przybysza, który musi bezustannie wyruszać na poszukiwanie własnej tożsamości.

Jak wiadomo, nie ukończywszy gimnazjum, wyjechał (w 1874 r.) do Marsylii i zaciągnął się na statek jako marynarz. Zanim, w dwadzieścia lat później, osiadł w Anglii i poświęcił się pracy pisarskiej, zwiedził porty na Dalekim Wschodzie, w Australii i Oceanii, Ameryce Środkowej, był też kapitanem statku parowego kursującego po rzece Kongo. Te często przytaczane fakty wydają się istotne o tyle, że wszystkie książki Conrada są oparte na wątkach autobiograficznych. Ale równocześnie mają one kluczowe znaczenie dla Conradowskiej problematyki, w której dylematy epistemologiczno-moralne ogniskują się wokół centralnych zagadnień eks-

patriacji, duchowego wygnania oraz doświadczenia obcości (innego, obcej kultury) i wyobcowania doświadczenia.

Był człowiekiem trzech kultur (polskiej, francuskiej i angielskiej), a jednak nie przypominał kosmopolity; postrzegał Europę jako mieszaninę tradycji narodowych. Kulturę francuską, którą uosabiali dla niego Rousseau i Flaubert, podziwiał z dystansem, a języka francuskiego używał w relacjach towarzyskich. Kultura angielska to przede wszystkim język, w którym napisał swoje dzieło, język Szekspira i Dickensa, język ludzi morza. Podobno nauczył się go w wieku lat 21, czytając prasę codzienną i Biblię (gdyż towarzystwa ewangelizacyjne rozdawały egzemplarze Pisma Świętego marynarzom, ci zaś używali ich cienkiego papieru jako bibułek do skrętów). Choć z czasem zyskał sobie sławę niezrównanego stylisty, nagminnie używał galicyzmów i polonizmów, a także mówił z cudzoziemskim akcentem. W listach zwierzał się, że angielska gramatyka stanowi dla niego istną torturę, a krytycy z lubością wytykali mu rozmaite niezręczności, dziwactwa i ekstrawagancje stylistyczne. Jedni stwierdzali, że to, co pisze pan Conrad, z pewnością nie jest angielszczyzną, inni pisali, iż jego sposób traktowania języka jest jedną z najbardziej fascynujących przygód w annałach literatury angielskiej.

Równocześnie, jeśli wierzyć wspomnieniom jego żony (Anielki) aż do ostatnich chwil swego życia mówił po polsku, gdy wpadał w złość, po polsku śnił i majaczył. Deklarował, że gdyby nie pisał po angielsku, nie pisałby wcale i dorzucał; że to on został adoptowany przez ducha tego języka. Ale był też świadom, iż dokonując takiego wyboru, staje się człowiekiem bez ojczyzny i bez języka.

Utracona ojczyzna

Z polskością wiązały się jego pierwsze świadome chwile. Wraz z babką Bobrowską nosił żywność do ojca, do ponurego więzienia, o którym napisał później: „W dziedzińcu tejże cytadeli – charakterystycznie (dla) narodu naszego – zaczynają się moje dziecięce wspomnienia”. Urodzony w domu o patriotycznych tradycjach, wychowany na lekturze romantyków, wykarmiony ideałami odpowiedzialności moralnej i etyki zbiorowej, musiał w dorosłym życiu zmagać się z oskarżeniem o zdradę, sformułowanym najpełniej przez Elżbę Orzeszkową w artykule „Emigracja talentów” z roku 1899:

Ten pan, który po angielsku pisuje powieści poczytne i opłacające się wybornie, o mało mię ataku nerwowego nie nabawił. (...) Zdolność twórcza to sama korona rośliny, sam szczyt wieży, samo serce serca narodu. I ten kwiat, ten szczyt, to serce odbierać narodowi swemu i oddawać Anglosasom, którym ptasiego mleka nawet nie brakuje, dlatego że drożej płcą! Ależ o tym pomyśleć nawet nie podobna – bez wstydu!

Conrad odpowiedział w liście do przyjaciela:

ani narodowości, ani nazwiska naszego wspólnego nie zapałem się. (...) Nie zdaje mi się, bym krajowi był niewierny dlatego, że Anglikom dowiodłem, że szlachcic z Ukrainy może być tak dobrym marynarzem jak i oni mieć coś do powiedzenia im w ich własnym języku.

Ale na nic te żarliwe zapewnienia, na nic podjęcie sprawy polskiej na arenie międzynarodowej (np. w piśmie „Autokracja i wojna” z 1905) – Korzeniowski i tak pozostaje człowiekiem znikąd. Podejmuje dziedzictwo literatury polskiego romantyzmu, wraz z kwestiami wierności i zdrady, obowiązku i wolności, honoru i hańby, i przekształca je w problematykę uniwersalną. Ale równocześnie nie wierzy w uniwersalność i sam ją – za pomocą specyficznych technik literackich – podważa. W jego wewnętrznej geografii Polska to utracona na zawsze ojczyzna, a sama polskość urasta do roli wewnętrznej tajemnicy, nieprzenikalnej dla obcych (w jednym z wywiadów mówił o czymś nieuchwytnym i niedostępnym dla angielskich krytyków, gdyż zaczerpniętym wprost z Mickiewicza i Słowackiego).

Nie chodzi tylko o to, że widoczna w dziele Conrada fascynacja jednostkami wyobcowanymi i wynarodowionymi ma swoje biograficzne podłoże. Wygnanie, które jest sercem jego dzieła, stwarza człowiekowi (bohaterowi, autorowi, czytelnikowi) możliwość samopoznania, a także – paradoksalnie – udziela języka, staje się warunkiem wstępnym mówienia. Doświadczenie obcości, która wkrada się w najbardziej prywatny, a nawet intymny świat – doświadczenie „dépaysement” i „detachement” – pozwala sproblematyzować wszystko, co uchodzi za naturalne, a co w istocie ma kulturowe źródła.

Conrad, przywiązany do swojej nowej ojczyzny, zachowywał pewien dystans do jej instytucji (przez 38 lat nie wziął udziału w wyborach). Zwiedził pół świata jako marynarz największej potęgi morskiej swoich czasów i miał okazję zaobserwować różne formy ucisku. Obserwował je jednak z dwuznacznej pozycji współczującego ciemniejszego człowieka. Dwuznaczność ta przekłada się na jego niejasny stosunek do kolonializmu. Jako biały człowiek wstydził się praktyk kolonizatorskich, podważał ideę misji cywilizacyjnej, ale równocześnie ulegał stereotypom, wartościuje różne kultury, przyrównując je do europejskich standardów. Uczucie lojalności nie pozwalało mu poddać krytyce imperializmu brytyjskiego, dlatego skupia się na francuskim i belgijskim. Powtarza wielokrotnie, że narody mają prawo do niepodległości, a zarazem odmawia racji bytu narodowowyzwoleńczym dążeniom Irlandczyków (stanowiących część imperium). Z tego też względu pisze o wojnie Burów :

nie mają pojęcia o wolności, którą nacałym świecie znaleźć można jedynie pod flagą brytyjską. *C'est un peuple essentiellement despotique*, jak zresztą wszyscy Holendrzy. (...) *Le pour et le contre* całej tej sprawy rozważone zostały nie tylko w sumieniu narodu, ale w sumieniu całej rasy.

Takie dwuznaczne moralnie wyznania wyrastają nie tylko z gorliwości poddanego korony królewskiej, ale też z powszechnie podzielanych podówczas przekonań: o zbawczej roli wielonarodowego imperium, o trwałości *proprietas nationis* (Burowie, jako krewniacy Holendrów, muszą podzielać przywary tej nacji), o istotnej roli przynależności rasowej. Nic dziwnego, że nie zawsze przedstawiano Conra-

da jako jednego intelektualistę, który otwarcie potępił kolonialny wyzysk. Bywał też oskarżany o (bezwiedne) propagowanie szkodliwych stereotypów, o brak dobrej woli w kontakcie z Innym, bywał też nazywany wprost «cholernym rasistą».

Kolonializm i postkolonializm

Należałoby jednak zadać pytanie, w jaki sposób można było krytykować dyskurs kolonialny z jego wnętrza. Kolonializm ustanowił bowiem w krajach podbitych system wartości ufundowany na ideach europejskich. To, co nazywamy postkolonializmem – czyli szereg teorii filozoficznych i literaturoznawczych, poddających w wątpliwość uniwersalistyczne roszczenia kultury zachodniej – narodziło się w drugiej połowie XX w. Za dzieła założycielskie dla postkolonialnych badań nad literaturą uważa się «Orientalizm» Edwarda W. Saïda i eseje Chinua Achebe. Ten ostatni w tekście «An image of Africa : Racism in Conrad's *Heart of Darkness*», oskarżył pisarza o utrwalanie kolonialnej wizji świata i o rasistowską ksenofobię. Nigeryjski pisarz argumentował, że w «Jądrze ciemności» Conrad przedstawia wizję Afryki jako przeciwieństwa Europy, czyli cywilizacji, i że deperersonalizuje autochtonów, odbierając im kulturę i język (w noweli wydają oni jedynie niezrozumiałe dźwięki).

Wędrowaliśmy po przedhistorycznej ziemi, po ziemi mającej wygląd nieznaną planety. Mogliśmy sobie wyobrazić, że jesteśmy pierwszymi ludźmi biorącymi w posiadanie jakiś przeklęty spadek, którym można zawładnąć tylko za cenę dojmującej udręki i niezmiernego znoju. I nagle, gdyśmy okrążyli z trudem jakiś zakręt, ukazywały się ścia-

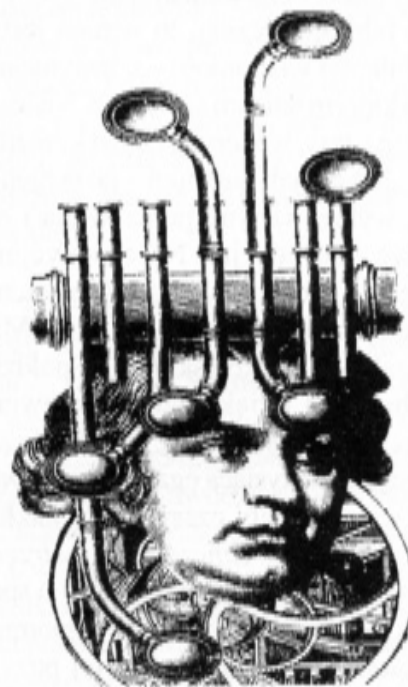
ny z sitowia, spiczaste dachy z trawy, wybuchal wrzask, kłębil się wir czarnych członków, klaszczących rąk, tupiących nóg, rozkołysanych ciał, oczu przewracających białkami – pod nawisłym listowiem, ciężkim i nieruchomym. Parowiec brnął powoli po krawędzi czarnego, niepojętego szału. Czy przedhistoryczny człowiek nas przeklinał, czy modlił się do nas, czy też nas witał – któż to mógł wiedzieć? Zrozumienie tego, co nas otaczało, było dla nas niemożliwe.

Achebe dostrzega w takich opisach charakterystyczne dla europejskiego najeźdźcy niezrozumienie dla inności kulturowej. W tekście dochodzi do dyskursywnego konstruowania opozycji my-oni, gdzie „oni” to niezróżnicowana masa, kłębówisko ciał, „wir czarnych członków”, którym odmawia się nie tylko ludzkiej mowy, ale nawet ludzkiego kształtu. Samo pojęcie „białej plamy” – czyli „nieodkrytego” lądu – wskazuje na eurocentryczną perspektywę. W taki sposób przejawiać miałyby się rasizm Conrada, a fakt, iż autor może być rasistą mimowolnie oznacza jedynie, że taki sposób myślenia uchodził mieści się w normie i stanowi część europejskiego dziedzictwa. Ten gwałtowny atak wieńczy radykalne pytanie: czy świetny literacko tekst, który celebrowa dehumanizację, może być nazwany wielkim dziełem sztuki? Achebe udziela na to pytanie przeczącej odpowiedzi.

Warto jednak pamiętać, że Conrad ukazał nadużycia białych kolonizatorów w szeregu sugestywnych scen. Przemoc symboliczną – polegającą na narzuceniu jednostce określonego postrzegania świata, zaszczepieniu jej poczucia niższości, pozbawieniu kultury i języka – ukazać trudniej. W pewnym sensie całe «Jądro ciemności» jest opowieścią o przemocy zachodniego dys-

kursu – opowieścią prowadzoną z wnętrza tego dyskursu. Na 70 lat przed wystąpieniem Achebe nie tylko kolonizowane ludy, ale i krytycy kolonializmu byli pozbawieni głosu. Dyskurs kolonialny, zbudowany w oparciu o stereotypy i klisze, pozbawia swój przedmiot tego, co oryginalne. Kolonizowany musi zaś przyjąć wizerunek skonstruowany przez kolonizującego. Czytając Conrada warto pamiętać, że mamy początek XX wieku; podobnie jak inni krytycy nie nastawieni intelektualiści (jak choćby Mark Twain), autor «Nostromo» może jedynie badać od wewnątrz granice języka, w którym formułuje się prawo, prawdę i relację o Innym. □

Jerzy Franczak – dr na Wydziale Polonistyki UJ.



rys STEFAN BERDAK



BOLESŁAW FARON

Sędziwego pisarza opowiadania i wiersze z początku XXI wieku

1. Będzie tu mowa o ostatniej książce Juliana Kawalca *Powrót z nieba i inne utwory* z posłowiem Tadeusza Skoczka, wydanej w 2008 roku przez Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie w Krakowie. Skoro rozpocząłem tekst od informacji bibliograficznej, to winien jestem czytelnikowi wiadomość – o instytucjach, dzięki którym ten tom się ukazał. Nadeszły bowiem czasy, w których rządzi komercja, a taki „towar” jak literatura – poza nielicznymi, wykreowanymi przez media i prestiżowe nagrody jak Nike pozycjami, potrzebuje sponsorów. Wartość prezentowanego tutaj tomu docenili: Gmina Miejska Kraków i Krakowski Bank Spółdzielczy, bowiem dzięki ich finansowemu wsparciu mogła się ukazać książka Kawalca w nakładzie tysiąca egzemplarzy. Dawno bowiem minęły czasy, kiedy nakłady powieści autora *Tańczącego jastrzębia* osiągały liczbę stu tysięcy. Skoro o sponsorach mowa, to warto jeszcze wspomnieć dwa nazwiska zasłużone dla tej pozycji. Myślę o Stanisławie Franczaku, poecie i prozaiku, prezesie Stowarzyszenia Twórczego Artystyczno-Literackiego, które jak

wspomniałem – rzecz wydało. Franczak, jak wiem, zebrał te rozproszone utwory, redakcyjnie opracował, dyskretnie tu i ówdzie ingerując w tekst, a drugie nazwisko – to Tadeusz Skoczek, autor obszernego posłowania, w którym przypomina biografię artysty, jego wcześniejszą twórczość oraz różne konteksty tego dorobku i różne aktywności życiowe Juliana Kawalca, znanego i uznanego pisarza.

2. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku prozaik Julian Kawalec przeobraził się w poetę. Józef Baran, autor wstępu do debiutanckiego tomiku *Kochany smutek* napisał, że „Wypadków przeobrażenia prozaika na poetę, któremu po siedemdziesiątce wyrastają skrzydła, znany w literaturze bardzo mało”, proces odwrotny jest dość częsty. Zanim w 1993 roku pojawił się debiutancki tomik poezji, Kawalec autorem ośmiu tomów opowiadań, nie licząc *Opowiadań wybranych*, jedenaście powieści, reportaży i parę sztuk scenicznych (napisanych wspólnie z Ryszardem Smożewskim). Dorobek – jak widać – pokaźny. O ówczesnej randze i pozycji

pisarza decydowała zatem proza narracyjna z najgłośniejszymi utworami: *Ziemi przypisany* (1962), *Tańczący jastrząb* (1964), *Przepłyniesz rzekę* (1973) i ostatni przed poezjami tom *Gitara z rajskiej czerśni* (1990). Od pierwszych tomów Kawalec został życzliwie przyjęty przez krytykę, zakwalifikowany do tzw. nurtu chłopskiego, do którego zaliczano Tadeusza Nowaka i Wiesława Myśliwskiego, by wymienić najwybitniejszych. Jednak wśród dwóch epików wsi polskiej autor *Ziemi przypisanego* znalazł swoje odrębne miejsce. Wyróżniają go bowiem sentymentalny stosunek do wsi dzisiaj odchodzącej w przeszłość, ubogiej, ze wszystkimi atrybutami wiosek przedwojennych, dylematy jej mieszkańców przemieszczających się masowo po wojnie do miasta i język. Tak! Język! Można w nim znaleźć ślady chłopskiej mowy (może matki autora), echa chłopskich modlitw, pieśni kościelnych itp. Ta proza ma niejednokrotnie rytm i intonację poetycką.

O poezji Kawalca napisał wspomniany Józef Baran: „Poezja Juliana z tomiku *Kochany smutek* zachowuje pewne cechy prozy Kawalca. Jest treściwa, brzemniawa w treści czysto fabularne. Nade wszystko zaś nie zdradza szarego koloru życia, sytuuje się blisko powszechności, zwyczajności, zgrzebności, tu nad ziemią. [...] są to raczej wiersze obciążone powinnością, wiersze samarytańskie, pochylone nad człowiekiem starym, pokrzywdzonym przez los i historię”. Drugi tomik poezji Kawalca *Te dni moje* stanowi kontynuację doświadczeń poetyckich z debiutanckiego *Kochanego smutku*. Podobnie jak tam naczelnym toposem jest starość, problemy egzystencjalne, przyroda. Nie jest to jednak pogłębianie tych samych tematów i tej sa-

mej formy. Ewokując swój świat, chłopskie doświadczenia, czerpiąc z ukształtowanych przed laty wyobrażeń prozaika, stara się Kawalec nadać mu większy stopień liryzmu, głębiej rzeźbić w słowie. Nieodłącznym elementem Kawalcowej problematyki egzystencjalnej jest cierpienie, którego odebrać człowiekowi nie sposób, ono uszlachetnia, „hartuje”.

Kiedy wydawało się, że Kawalec zarzucił prozę na rzecz poezji, ukazują się książki *Dom, Harfa Gorców, W żółtym kolorze czy Chleb*.

W pierwszym spotykamy ten sam typ: nieco fabularyzowane opowiadanie wierszem. Książka w całości składa się jednak z wycinków już publikowanych utworów prozą. Teksty te utwierdzają w przekonaniu, iż autor *Tańczącego jastrzębia*, prozaik, był w pewnym sensie poetą. To przeświadczenie utrwała *Harfa Gorców*. W tym lirycznym opowiadaniu narratora – starego pisarza z Czerwonego Szlaku, wiodącego z Rabki na Turbacz, jest tak dużo liryzmu, że całe fragmenty mogłyby się znaleźć w następnych tomach poetyckich Kawalca.

3. W toku tej lapidarnej charakterystyki poezji Kawalca padały słowa „starość”, „stary”, „starzec”. Starość to słowo – klucz, by użyć terminologii Gastona Bachelarda do twórczości autora *Domu* w latach dwudziestych dwudziestego wieku. Postać starego człowieka znajdziemy co prawda i w jego wczesnej twórczości, lecz w całkiem innym aspekcie. Tam na przykład pojawia się ojciec, który nie umie dostosować się warunków miejskich, a więc kreacja ujęta raczej w kategoriach socjologicznych, tutaj natomiast kwestie starości nabierają charakteru egzystencjalnego,

w którym duże znaczenie ma kryterium tematyczne, a więc topos starca, powroty do dzieciństwa, rozrachunek ze sobą, z epoką, myśl o śmierci, afirmacja przyrody.

W tekstach prozatorskich, do jakich powrócił pisarz pod koniec lat dziewięćdziesiątych i które kontynuuje również dzisiaj, takich, jak *W żółtym kolorze*, *Harfa Gorców* (1999), *Chleb* (2001) pozostaje w tym samym kręgu tematycznym późnej starości, w niektórych opowiadaniach ta tematyka się nawet zagęszcza, kwestie z nią związane artykułuje pisarz jeszcze dobitniej. W *Harfie Gorców* narrator poszukuje miejsca do umierania w swej wędrówce na Turbacz: „Dość już ćwicyłem umieranie na ciepłym zbocz w pobliżu harfy Gorców. ufny w dobroć nagiej ziemi i jej trawiastej pościeli, szydziłem, o jak namiętnie szydziłem z wszelkich łóżek znajdujących się w domu”.

4. Omawiany tutaj tom Juliana Kawalca *Powrót z nieba i inne utwory* posiada wszelkie cechy twórczości senioralnej, o której wspominałem wcześniej. Stanowi kontynuację prozatorskich i poetyckich doświadczeń z lat dziewięćdziesiątych, a więc w nowy XXI wiek wchodzi sędziwy pisarz z bagażem doświadczeń z końca wieku. Oto wybrane przykłady. *Kocham was dzieci* – adresatem są najmłodszy, na których „czyha życie”. Przed nimi wszystko jest otwarte, a przede wszystkim czas i starość, co „skrada się na czworakach”. Powtarzają się też motywy pacyfistyczne, znane z wcześniejszych wierszy (*Wy z duszą*). W pełnym retoryki opowiadaniu, z gorzką apostrofą „wy z duszą” padają słowa: „syn jednej matki zabija syna drugiej matki”. Mamy tutaj też *par excellence* teksty senioralne, jak *Przeprowadzka do dzieciń-*

stwa, w których narrator nie chce zaakceptować swojego statusu starego człowieka, ucieka w czasy dzieciństwa. „Co ta starość – powiada – ze mną wyczynia”. Antropomorfizacja wierzby i rozmowa z nią ułatwia te powroty w przeszłość. A co z niej wyczarowuje pamięć: ciepło, matczyną chustę, chleb, żdźbła, rolniczy trud. Jest też opowiadanie, gdzie adresatem była matka, która jakby z tamtego świata pyta narratora o jego drogę po jej śmierci. Wśród wyznań notuje pisarz i takie: „Wciąż grzebię się w tej starzyźnie, grzebanie w starzyźnie to jest moje pisanie, staram się ocalić rzeczy, które nie powinny się zestarzeć, które potrzebne są do poprawienia – a może powiedzieć – oczyszczenia z brudów dziś i teraz”. Wśród nawrotów do dzieciństwa są oczywiście dwie babcie, reprezentujące różne sposoby myślenia (*Dwie babcie, dwa światy*). I tu pojawia się słowo – klucz „starość przyszła”, „teraz w starości – to dziwne – widzę je wyraźniej”. A więc starość i pamięć, wspomnienie niejako jej nieodłączny atrybut.

Oczywiście, nie wszystkie opowiadania i wiersze utrzymane są w tej konwencji. mamy tu prozę – by tak rzec – interwencyjną i moralną czy moralizatorską. Pisarz jest bowiem wrażliwy na wszelkie zło, drażni go współczesna cywilizacja, która gubi wartości, dla której człowiek pojedynczy nie wiele znaczy, drażni go współczesne słownictwo, korupcja. Stara się zrozumieć współczesny świat ale go nie akceptuje. Są też opowiadania bardzo osobiste, jak te o zbawiennym wpływie alkoholu na samopoczucie człowieka. Pisze o tym nieśmiało jakby z zawstydzeniem nie tak jak Jerzy Pilch, który w alkoholizmie widzi sposób na życie. W opowiadaniu *Tak się trochę pozwierzam* pisze: „nieco dłużej

pomyślałem o wódce i doszedłem do wniosku, że dobrze, gdy ona jest, ale ode mnie zależy, czy stanie się przyjacielem czy wrogiem”. Ten sam motyw powraca w *Rozmowie z łóżkiem*, w którym na bezsenność dobry okazuje się kielich.

5. Pieśń Kawalca o starości, jego anatomia starości zawarta w *Powrocie z nieba i innych utworach* oraz w twórczości z lat dziewięćdziesiątych, jego anatomia starości jest wszechstronna, wpisana w biografię pisarza. Znajdziemy tutaj i problem zaniku sił fizycznych, obumieranie organizmu, relacje między pełnią sił fizycznych, młodością a człowiekiem starym i charakterystyczne dlań nawroty we wspomnieniach do dzieciństwa i młodości, kwestie niedostosowania do nowoczesności, w końcu

kategorię śmierci. Wobec tej ostatniej pisarz zachowuje raczej postawę stoicką, traktuje ją jako naturalną i nieuchronną, która dotyka tak przyrodę jak i człowieka. Buntuje się jednak przeciw bezsensownemu zadawaniu śmierci w czasie wojen, rewolucji czy aktów terrorystycznych. Kawalec nie broni się przed starością, jak to czynił Czesław Miłosz, ani nie zohydza jej jak Aleksander Wat. Autora *Powrotu z nieba i innych utworów* przed pesymizmem i zgorzknieniem wieku starczego ratuje swoisty antropomorfizm przyrody, zespolenie człowieka z naturą. Jej prawami zdaje się tłumaczyć los człowieka. □

Bolesław Faron – krytyk, pisarz, prof. Akademii Pedagogicznej w Krakowie.



JULIAN KAWALEC

Kocham was dzieci

Kocham was dzieci, bo czyha na was życie, żeby wam zrobić psikusa. Kocham za wasz uśmiech zgubiony, za łzy daremne, za to, że skrada się do was czas z przemijającą radością i dłuższym niż radość smutkiem. Za to, że minie ufne dzieciństwo i niespełniona dojrzałość, za bezradność na styku przeszłości z przyszłością w wieku średnim. Za to, że skrada się do was na czworakach starość i wyciąga do was rękę, bo chce was zaprowadzić do ziejącego nudą zagajnika, gdzie rosną stare, ledwie już białe brzozy, abyście tam spoczęli na wieki.

Tak się trochę pozwierzam

Tak się trochę pozwierzam. Przyznam się, że lubię niekiedy przychwycić jakąś myśl i zmusić ją, żeby nie uciekała zbyt szybko.

Nieco dłużej pomyślałem o wódce i doszedłem do wniosku, że dobrze gdy ona jest. Ale ode mnie zależy, czy stanie się przyjacielem czy wrogiem.

Stoczyłem z nią zajadły pojedynek i wygrałem, stała się moim przyjacielem.

Kieliszek – braciszek sprawia, że lubisz życie, że błękit zwycięża w kolorach świata. Ale gdy ujrzysz błękit przebłyскую złością, musisz krzyknąć:

– Stop braciszku! Chcesz mnie skusić kolorami tęczy, nie dam się. Pozostanę przy błękicie.

A ty będziesz kieliszkiem-braciszkiem
dopóki błękit nie zacznie się ubarwiać tę-
czowo.

Pozostaniesz kieliszkiem-braciszkiem,
gdy błękit przemieni się w szarość, która
jest najprawdziwszym kolorem życia. Sza-
rość poprzerywana daremnym uśmiechem
i daremną łzą.

Słowo

Zabijesz
Wydaje się że na amen
Ale zlitujesz się
I podniesiesz do życia
Śmiertelnie ugodzonego
Słowo czego ty nie potrafisz
Łza jest twoim
Smutnym dziecięciem
Uśmiech dziecięciem hożym
Hasasz od krańca do krańca
Po niezmierzonej przestrzeni
Umiesz nazwać coś przeogromnego
I znajdujesz też nazwanie
Dla czegoś co nie istnieje
Niczego się nie boisz
Wepchasz się w zgiełk oręża
Kąpiesz się w rzece krwi
Przy diabelskiej muzyce
I tańczysz w balecie aniołów
W skrzydlatym błękitcie i bieli
Wszystko dla ciebie łatwizną
Czy wszystko nie wszystko
Jest jeden wielki trud
Któremu nie możesz podołać
Nie dajesz rady iść długo
Prostą jasną drogą
Takie ty jesteś słowo

Czas

Ty czasie
Ty okrutny hultaju
Nie masz żadnego opamiętania
Pędzisz na oślep
W wieczności czujesz się jak w chwili
Co urodzisz to zniszczysz
Rumiany staje się bladolicy
Kwitnący i zaraz więdnący
Opamiętaj się
I powiedz skąd się wziąłeś
Kto ci dał imię
Które się pląta w niewiedzy
Szukając wiedzy

Ale czy ty to wiesz
Ty wszystko wiesz
I nic nie wiesz

Przeprowadzka do dzieciństwa

Co ta starość ze mną wyczynia. Nie-
ustannie wpycha mnie w dzieciństwo.
Wstydzę się już tego i rugam siebie:

– Przestań wreszcie stary dziadu pę-
dzić do tyłu czas, spójrz na dzień dzisiej-
szy i duszę swą zajmij tym, co jest.

Jednak rugam się na próżno, ruganie
nic nie daje, już jestem na granicy minio-
nej wiosny i pędzę coraz szybciej do wio-
sen zim i lat, które utonęły w czasie.

– Zatrzymaj się stary dziadu, dlaczego
tak uciekasz w przeszłość, tak jakby cię
przerazało to, co jest teraz – odpowiadam:

Przeraziło mnie, drętwieję cały, gdy pa-
trzę na to co cię teraz dzieje. Dusze zimne
jak lód, do serca daleka droga, serca skar-
łałe i twarde jak kamyczki. Ten prostokątny

papierek z portretem jakiegoś wyszukanego w historii ważniaka, czyli pieniądź zawsze miał dużą władzę, ale to, co on teraz wyprawia przechodzi wszelkie granice. Rywalizuje z Bogiem, panoszy się w kościołach, pewny swojej potęgi uraga świętości, wszystko może, wchodzi do prezbiterium, wspina się nawet na ołtarze, wszechwładny, coraz bardziej okrutny pan brudzi piękno, duszom przyprawia pazury.

Szybko uciekam w przeszłość, nie spostrzegłem nawet i już jestem w cągowych portkach, ale jeszcze w butach. Maszeruję szeroką polną drogą z lekko wyżłobionymi koleinami.

– O, jak ty pędzisz w tył czasie – mówię do siebie – jesteś już przy tej starej samotnej wierzbie stojącej w środku dużej równiny pól. Nie poradziły sobie z nią pioruny, choć często w nią trzaskały, rozłupały ją, ale życia nie dała sobie odebrać, skrywała je w korzeniach i ono uparcie pięło się w górę aż do zielonych liści.

– Przywitaj się z nią – szepnąłeś cichutko sam do siebie i już się witasz.

– Witaj kochana staruszko, jak ci się żyje?

– Jak, przecież widzisz, pochyło.

– Pochyło dołem, ale gałęzie prościutkie.

– Chcę pokazać, że się nie daję.

Zbliżyłem się do niej i dotknąłem jej kory. Posłuszna wyobraźnia i chłonna pamięć sprawiają, że mam pod ręką jej starutką korę. Jest chropawa, poorana ale taka jakaś ciepła, zapraszająca.

Co ta wyobraźnia i pamięć wyczyniają ze mną? Wstydzić się tego co w wyobraźni uczyniłem czy nie wstydzić?

– Nie wstydzić – odpowiadam.

Biorę ją w ramiona i tulę się do niej, przyciskam policzki do jej chropawej kory.

Ale to jeszcze nic wobec tego, co potem serdecznie szalony uczyniłem. Pocałowałem ją i powiedziałem:

– Kocham cię za twoje odważne trwanie.

Myślcie sobie co chcecie czytelnicy, mówcie:

– Wariat sentymentalny, szalony, postradał rozum. Nie postradałem, odebrało mi go serce i rozgościło się na jego miejscu.

Rozmowa z wierzbą jeszcze nieskończona.

– A co z piorunami, biją? – pytam.

– Złagodniały – odpowiada – omijają mnie, woła teraz walić w topole, mają do niej bliżej, bo ona wysoka, może najwyższa na tej dolinie.

– Pędzisz nieustępliwie – mówię do siebie – przyjaciółka wyobraźnia wprowadziła cię już na miedzę udeptaną przez całe pokolenia i nawet każe ci zdjąć buty, bo kto to widział, żeby w czas letni iść miedzą w butach. Ta potulna wciąż deptana golizna ziemi domaga się golizny stóp i ty na rozkaz pamięci i wyobraźni je zdejmujesz. Przed tobą wrota prowadzące do sadu i narożna jabłonka, o której życie walczył z wnukami dziadek.

Chodziło o to, że fury naładowane wysoko snopkami lub sianem ocierały się o jej skrajne gałęzie i zdarzało się, że strącały snopki lub siano, wjazd przez wrota prowadzące do stodoły był utrudniony. Wnuki postanowiły ją usunąć, dwóch chłopaków zbliżyło się do jabłonki z piłą; ale dziadek był pierwszy objął drzewo ramionami, przytulił się do niego.

– Nie róbcie tego, niech się starzeje razem ze mną, duże i dobre jabłka jeszcze daje, lubię ją, smutny byłby sad bez niej. A te duże fury tak często tu nie wjeżdżają.

Dziadek swoje i wnuki swoje, piła oparta o płot błyszczą w słońcu. W końcu ugoda, odpiłuje się kilka gałęzi, takich które najbardziej zawadzają furze. Pędzę wciąż w tył czasu, jestem coraz młodszy, pędzę już bosą i w cągowych portkach, jestem już chłopakiem, wybiegam z sadu, zarżała kobyłka, przeciągłym jakby śpiewnych, ale znudzonym beknięciem odezwała się krowa, zakwiczało wesoło prosiątko. Minąłem budynki gospodarskie, zapał kogut i do brotliwym lecz nieco zatroskanym gdakaniem odezwała się kwoka zwołując pod skrzydła rozbiegane kurczęta.

Dobiegłem już do siebie, dziecka. Już blisko furka niskiego płotu ogradzającego dom, widzę już matkę, zbliża się do furki, ma na głowie wzorzystą chustkę turecką zawiązaną pod brodą.

– Dopiąłeś swego – mówię do siebie z radością – dzięki pamięci i wyobraźni doszedłeś tam dokąd chciałeś. Rozgościsz się w dzieciństwie i w wieku chłopięcym. Czego się nie napatrzysz, ile blasków, ile kolorów, nie zliczysz, ile zdarzeń, ile wysiłków nieraz pozornie drobnych a jakże ciekawych i pięknych.

Co ta pamięć i wyobraźnia ze mną wyrabiają. Wiedzą co robią, gdy każą mi na początek iść pod słomiany okap, który jest przedłużeniem obory i stajni.

Nic wielkiego się tam nie dzieje, czy naprawdę nic wielkiego, jaskółki budują a może powiedziec, lepią gniazdo z gliny. Ile trudu, ile zabiegów rozmaitych. Najpierw wybór miejsca, gdzie będzie ono ukryte. Przylepią je na styku wykřetka i krokwi. Ptasia para, a może powiedziec, ptasie małżeństwo oczekujące na potomstwo, nie szczędzi sił, żeby ten domek był piękny i wygodny. Przyszła matka wykonuje pracę lżejszą, wyszukuje najlepszy budulec,

bryłki kleistej gliny, a on, przysły ojciec, przynosi po cząsteczce na miejsce budowy, którą prowadzą wspólnie.

Ta para zgrabnych śmigłych ptaszków krząta się jak może, pragnie jak najszybciej zbudować dom. Jednak przerywają na chwilę robotę, patrzą na siebie i coś podćwierkują. Wiem, uzgadniają kształt domku-gniazda. Ma być taki jaki budowali przodkowie, okrągławy, wbity ciasno między krokiew a strzechę u styku krokwi z łątą, małe nigdy nie zamykane okienko do wlotu i wylotu, i do wystawiania łebka w czasie wysiadania jaj na miękkim puchu w dolnej części domku. Uwijają się, uwijają, wnet skończą robotę.

Tak się zaczął ten powrót, ta przeprowadzka ze starości do dzieciństwa. Już nie chcę iść do przodu, chcę iść do tyłu, chcę na stałe rozgościć się w dzieciństwie. Pamięć i wyobraźnia strzegą mnie przed pójściem do przodu, w starość.

Była bieda ale i serce.
Była bieda ale i dobroć.
Była bieda ale i miłość.
Była bieda ale i łąki złociste
od kaczeńców i jaskrów



O sile i wymiarach poetyckiej dojrzałości

Zarówno **Helena Gordziej** jak i **Anna Kajtochowa** obchodzą w tym roku osiemdziesiąte urodziny i od 50. lat pracują na niwie pisarskiej. Mają w swoim dorobku ponad 20 publikacji książkowych, głównie poetyckich, które ożywiają prawie przez pół wieku polską literaturę. Warto w tym miejscu złożyć im serdeczne życzenia urodzinowe, ale i podziękować za ogrom przeżyć natury estetycznej, których dostarczyły i dostarczają swą twórczości poetycką. W związku z jubileuszem dostojnych matron poezji polskiej ukazały się ich tomiki, w których dzielą się poniekąd swoim doświadczeniem pisarskim z czytelnikiem, ale również prezentują znakomite utwory dające wiele do myślenia. Cały czas bowiem powraca w nich problem własnej tożsamości artystycznej i kulturowej w kontekście zmian, jakie dokonały się i dokonują na ich oczach w świecie i kulturze w XX i na początku XXI wieku. Cechą wspólną twórczości obydwóch autorek, bardzo zresztą ważną w tego typu komunikacji artystycznej, jest przede wszystkim to, że otwierają się i piszą dla ludzi prostych, dążąc do budowania z nimi wspólnoty begzystencjalnej w oparciu u uniwersalny i bardzo humanistyczny system wartości. Ożywiają więc publikowanymi wierszami nie tylko mowę ojczystą, ale rewitalizują wartości, których kultywowanie czyni każdego człowiekiem w pełnym sensie tego słowa. Przestrzegają przed negatywnymi przejawami przemian cywilizacyjnych, bo jako istoty nader wrażliwe, doświadczone i pamiętające, wiedzą dużo więcej i bardziej przeżywają zachodzące przemiany od przeciętnego człowieka, a troska o jego przyszłość stała się dla nich najważniejsza.

Helena Gordziej w tomiku *Wernisaż pamięci* opisuje szereg sytuacji egzystencjalnych, pojawiających się z wiekiem, brutalnie modyfikujących jej doświadczenie osobiste świata, polegających na tym, że ciągle coś obcego, jakiś intruz, próbuje wejść do jej wnętrza i prowadzi ją ku horyzontom świata już kiedyś rozpoznanego, nad którym władzę trzymało jak zawsze słońce, dyscyplinujące kolejny dzień istnienia. Obecny świat ukazuje się artystce jednak jako wiecznie niespełniony mit, a wła-

ściwie zimny projekt rozumu na usługach techniki i cywilizacji. W takim świecie słowa tworzące go na sposób ludzki stają się coraz bardziej słabe, by go utrzymać w istnieniu, co w konsekwencji budzi szereg trosk o sens jego przyszłego bytowania. W związku z tym również wysiłek twórczy poetki sprawia jej ból, bo nie umie już zwinnie manewrować pomiędzy fenomenami dobra i zła w swym otoczeniu. Szuka więc sensu swojego życia, który z latami staje się coraz bardziej

wątpliwy, a nawet próbuje go odnajdywać w logice kosmosu, bo i tam poszukuje źródła własnej ludzkiej tożsamości. W wierszu pt. „Mało kto wie” czytamy więc, że (...)Wszystko ma sens/trzeba tylko uważnie/wsłuchiwać się w głos Natury/pokornie zawierzyć jej wyższości/nad człowieczą pychą”. Skrupulatnie dokonuje obrachunku ze stworzonym przez siebie poetyckim światem uczuć i wartości, obecnie tracącymi na znaczeniu, uważając się poniekąd wdową po umarłym świecie młodości, który kształtował jej charakter i dawał moce kreowania siebie i sensownej obecności właśnie w tamtym świecie. Zadając sobie pytanie o sens istnienia ludzi, który ciągle na jej oczach ulega zmianom, odkrywa ostatecznie zręby własnej tożsamości w przysłowiowym „głosie Natury”, który w jej wierszach oznajmia, że miłość, śmierć, nienawiść, przyjaźń – same z siebie stają się przemijającymi formami każdego życia, dążącymi ostatecznie do jego unicestwienia, a więc morał wynika z tego taki, że trzeba się z tym pogodzić. To, co po nim zostaje, łączy się jedynie z żarliwą „logiką serca”, która choć na pewien czas wstrzymuje ów kosmiczno-metafizyczny mechanizm przemijalności, czyli owo „panta rei”. Także sama tożsamość człowieka, jego twórczości i kreowane w jej ramach światy, pozostają w silnym związku z tą żarliwą logiką serca, a więc emocjami nadającymi istnieniu następujące po sobie jego znaczenia. Kiedy jednak śmierć zagląda w oczy, a wątpliwości nie mogą już być w życiu przetestowane, to wtedy pewne mistyczne zjednoczenie z „prawem Natury” uzasadnia sens tego, co już przeminęło, jak i tego, co określa choćby w zarysie człowieczeństwo każdego z ludzi zarówno dzisiaj, ale i może w przeszłości. „Logika serca” – pod-

kreśla poetka – nie żąda bowiem zapłaty za życzliwość, lecz podpowiada potrzebę bezinteresownego obowiązku i służebności względem ludzi oraz kultywowania wspólnego z nimi naszego świata życia.

Gordziej znakomicie czyta w grze praw natury, ale i ich społecznej wersji, przebłycki fenomenu piękna, bez którego żadna wartość nie może stać się celem i sensem działania człowieka. Przy okazji jej słuch muzyczny nieustannie skazany jest na tortury zmaszynizowanej cywilizacji, bo w żaden sposób nie harmonizuje ona z symfonią przyrody, która *notabene* dla współczesnego człowieka jest właściwie już niesłyszalna. W wierszu pt. „Ścięcie drzewa” kreuje wstrząsający obraz, którego dzisiaj większość ludzi nie postrzega, a opisuje to tak: „ (...) drzewo które żyło/rozstaje się z ziemią/zimową porą/kiedy brzydotę świata/okrywa śniegowa zasłona// (...) Zorza co barwy opierała/na korzeniach drzewa/podaża za wozem/oświetla ostatnią drogę kłody//Koleiny pełne czerwieni/jakby ktoś krwi utoczył/z serdecznego palca”. Utwór ten znakomicie obnaża dynamikę zmiany sensu istnienia istoty żywej, kiedy z utratą własnej tożsamości bytowej, zostaje wciągnięta w mechanizmy świata, przetwarzającego jej sens istnienia, co nie wyklucza, że odnajduje w swym przeznaczeniu jakiś uniwersalny sens bytowy, który jakby ostatecznie dopełnia jej przypadek istnienia, choć przecież drzewo i kłoda znakomicie metaforyzują sens życia człowieka, zawsze kończącego się „zwłokami jego bytowania”. Wizja ta – rzecz jasna – ma sens egzystencjalny, bo świadomość tożsamości każdego z ludzi powinna być jakoś konstruktywnie doprecyzowana przez fakt świadomości nieuchronnej śmierci i życia jako procesu umierania. Nieprzypadkowo

więc w utworach poznańskiej poetki pojawia się gorycz, smutek, ale i słowa, które wstrząsają wyobraźnią czytelnika.

Doświadczenie artystyczne i życiowe Gordziej często skierowuje ją ku samej istocie poezji, która staje się dla niej „szaloną nocą”, potrafiącą pętać duszę i nawet uniemożliwiać tworzenie, odsyłać w przygodność świata, co jest wyrazem powstających wątpliwości, które pojawiają się w procesie nieustannego destabilizowania własnej tożsamości osobowej i równoczesnej chęci jej obrony przed agresywnymi naciskami cywilizacji, ciągle domagającej się od twórcy coraz to nowszego projektowania znaczeń w przestrzeni języka oraz wyobraźni. Na starość jednak doświadczenie poetyckie – konstatuje artystka – wzmacnia mimo wszystko człowieka, bo staje się bardziej dojrzały, łatwiej mu zatem znośić wyroki losu i wykorzystywać w tworzeniu zdobyte doświadczenie życiowe, korzystając przy tym z pokładów pamięci ożywianej tłącą się jeszcze w człowieku „siłą życia”. To, co wtedy jest istotne, to przyływ pozytywnych emocji, o które z wiekiem coraz trudniej, ale również pogodzenie się z „prawem natury” pozwala bronić swojej jedności i niepowtarzalności w porządku istnienia. Świat panoszących się „ludzkich blokowisk” może budzić odrazę, bo współczesność „nawet komarowi nie oszczędzi upokorzenia”, ale wtedy ziemia jak zastygła krew matki może stać się fundamentem wszelkich możliwych odniesień człowieka do siebie i świata. W wierszu pt. „Lawa”, kiedy poetka wpatruje się w grudkę zimie trzymaną w palcach, pisze: „Można mnie posądzić o sentymentalizm/bo kiedy się wpatruję w czarny/bezkształt odczuwam wzruszenie/przecież to zastygła krew mojej matki/Ziemi”.

Wiara religijna stanowi dla poetki jakiś azyl i formę wygody metafizycznej, ale przede wszystkim jej istotę pojmuje jako apel o uszanowanie drugiego człowieka i przypomnienie mu o przyrodniczej, ale i duchowej podstawie istnienia, by nie doprowadził do samozagłady własnego gatunku, najpierw na płaszczyźnie metafizycznej, a następnie fizycznej. Bóg – podobnie jak w myśli Henryka Skolimowskiego – sytuowany jest tu w „przestrzeniach Natury”, bo świątynie wznoszone przez ludzi stają się miejscem kultur obłudnego i grzesznego, sprowadzanego najczęściej do pewnej formy, biznesu ze Stwórcą. Adekwatnym miejscem Jego kultu w odczuciu poetki jest więc sama przyroda, na łonie której „kościelna cisza” porządkuje życie i tu najwyraźniej słychać „mowę Boga”, nadającą całościowy sens światu oraz człowiekowi. Pomimo że jest on nieokiełznanym, krnąbrnym dzieckiem przyrody, „nawet Bogu próbuje skoczyć do oczu”. W wierszu pt. „Bóg” dowiadujemy się bowiem, że (...) Mowy Boga nie wolno przerywać/nawet głośniejszym oddechem/bo słowa jego można zakłócić/nawet szeptem dmuchawca/Mowa Boga jest sekretna/żywna jak kłosy pełne ziaren/Waga słów delikatna a mocna/Położony na szali pyłek/może przeważyć każdą myśl/o ciężarze zwielokrotnionych/ złorzeczeń”. Kiedy jednak nie jest ona słyszana w zgiełku cywilizacji kultywującej nieprzejednany egoizm jednostkowy, człowieka – oznajmia Gordziej – czeka ostatecznie bolesna dolegliwość polegająca na uświadomieniu sobie pełnej samotności w tłumie jemu podobnych, której nieodłącznym towarzyszem jest nękający każdego dnia „sęp lęku”.

Gordziej przez wzgląd na swoje doświadczenie i wiek stara się przy pomo-

cy poezji zachowywać jak przysłowiowa szamanka, zaklinająca otaczającą ją rzeczywistość, a jej wróżebny dyskurs ma na celu uświadomienie człowiekowi, by powrócił do siebie i drugiego człowieka. W utworze pt. „W podeszłym wieku” pisze: (...) „Poezja jest moją autoterapią//Czysta kartka papieru/mózg jeszcze trzeźwo oceniający/realia/i nieustająca troska/o drugiego człowieka/najważniejszy wers świata”. Cóż zatem – czy w świecie bez ludzi może zaistnieć kwestia mojej, twojej, naszej, waszej tożsamości i jakiegokolwiek sensu istnienia? Pytanie, które się tutaj nasuwa, skierowuje uwagę podążającego za głosem poetki na podstawę bytową, na której ujawnia się chyba najsilniej problem jednostkowej tożsamości. Pojmowana jest ona przez poetkę z upływem lat w coraz szerszym horyzoncie istnienia, stając się bardziej zrozumiałą, ale i dokuczliwą kwestią osobistą, bo prócz jej jednostkowego wymiaru autorka zwraca uwagę na szerokie jej konteksty zarówno przyrodnicze, ale i kulturowe, na przecięciu których wyrasta i odradza się. Każda bowiem forma i poziom rozumienia tożsamości zakłada milcząco istnienie innych jej form oraz poziomów, na których jest ona wstępnie ustanawiana. Troska poetki o człowieka i jego jednostkowy byt łączy się obecnie również z obserwowanym upadaniem innych rodzajów tożsamości w świecie społecznym oraz autorytetów, które stanowiły zawsze układ odniesienia dla każdej jednostkowej świadomości konstytuującej własną „samość” w obrębie tych większych całości.

Jeśli idzie o tomik **Anny Kajtochowej**, stanowiący przekrój przez jej twórczość poetycką z lat 1983-2007, zatytułowany *Rosa przedświt*, to dostarcza on znakomitych przykładów autoanalizy wła-

snej osobowości twórczej autorki. Tłem, na którym poeta dokonuje wglądu we własną tożsamość kulturową i artystyczną, są niewątpliwie: podłoże przyrodnicze oraz kulturowe wzory i wartości generujące jej emocje, systematycznie kształtujące osobowości. Głównym źródłem przeżyć zwartych w wierszach staje się pamięć, ale i zmiany kulturowe, powodujące, że autorka z ogromną melancholią odnosi się do świata, który odszedł na zawsze. W pamięci bowiem jeszcze trwają „tamte dni”, „miejsca rodzinne, dawno spustoszone”, czego wspomnienie z wiekiem powoduje wzmaganie się poczucia „bezradności trwania”. Pozostając w nostalgii, ale i w niepewności, poetka buduje własny autoportret emocjonalny, zza którego wyglądają te wartości, które już dzisiaj nie mają większego znaczenia, bo zaginął ich kontekst kulturowy oraz świat życie, w którym były mocno zakorzenione. W jednym z wierszy z cyklu „Sytuacje” (III), Kajtochowa przyznaje: „Wciąż trwają we mnie tamte dni/Mieszają wszystkie poplątane sprawy/Koszmarem męczą niewyśnione sny/Kosy ścinają pulsujące trawy/ (...). Martwiej księżyc/dalej wrze burza”.

Świat staje się zatem dla poetki coraz bardziej podobny do snu, w którym przeplatają się obrazy z przeszłości i teraźniejszości, a te z dzieciństwa jakby stanowią ramy nadające i dzisiaj kształt tożsamości poetki. Kiedy dociera do tego podłoża, jakby odżywa w niej energia twórcza, a w tedy w wierszu „bez tytułu” jest w stanie wyrzucić siebie takie oto wersy: „Jest we mnie cisza/wiosennego lasu i skwar południa/dojrzałego lata/niepokój świtu/i niepewność nocy/ (...) Jest we mnie wulkan/który nie wybucha/i pełna bólu/niestygnąca/lawa”. Poetka stara się równole-

gle zrozumieć ewolucję emocjonalną własnej osoby, zachodzącą pod wpływem zmian ról społecznych, które jako kobieta podejmowała, będąc młodą dziewczyną, żoną, matką, babcią, a obecnie starszą panią. Doświadczenia z tym związane prowadzą ją do pogodzenia się z bezwzględną zmiennością tkwiącą u podstaw swojego jednostkowego istnienia, która nie tylko niesie człowieka przez życie, ale coraz bardziej z wiekiem go pochłania, nadwątlając podłoże kulturowego jego tożsamościowych odniesień, skazując na poszukiwania ich w coraz odleglejszej przeszłości. Doświadczenia traumatyczne związane z chorobami podeszłego wieku wydobywają z wnętrza pamięci poetki szereg wątpliwości, co do prawdziwości cudzych myśli, ale równocześnie bezboleśnie wtapiają w nurt zmieniającej się rzeczywistości wstrząsanej przeciwstawnymi żywiołami. Kajtochowa ujawnia przy tym pewną dialektykę życia, polegającą na tym, że w młodości „świat ciebie rzeźbi”, zaś kiedy dojrzejesz i próbujesz formować siebie i swoje otoczenie, wtedy już „starzejesz się” i dążysz, by zostawić po sobie „trwały ślad”. I wtedy pojawia się świadomość, że kolejne fazy twojego istnienia skazane były na destabilizowanie własnej tożsamości, by wkomponować się w otoczenie, co jednak miało i dobrą stronę, bo pozwalało poszerzyć osobiste odniesienia do świata. Stwarzało to również możliwość szerszego oglądu oraz wnikliwszego jego widzenia, a więc wspomagało wrażliwość twórczą i ułatwiało sam proces tworzenia, by w wieku dojrzałym stać się dla autorki normą życiową. Nauczyło ją nie tylko zostawiać ślady własnego istnienia, ale i czytać ślady pozostawione przez innych twórców i ludzi, postrzegając je jako pewną całość społeczną,

które jednak – w opinii krakowskiej poetki – najbardziej są widoczne, kiedy odczytuje się je w kontekście naturalnego piękna przyrody. W utworze bez tytułu autorka konstatuje: „Rysowałam miłość/patykiem na piasku/nim się odwróciłam/ślady rozwiął wiatr/(...)/Teraz rzeźbię/twarde bruzdy/w żywej tkance/może pozostanie twardszy ślad”.

Kajtochowa była i jest wrażliwa na życie społeczne ludzi. We wszystkich swoich wcześniejszych publikacjach ze szczególną uwagą przyglądała się patologiom społecznym, upatrując ich źródła w formach sprawowania władzy przez ludzi. W „Sytuacji” (XXXIX) dowiadujemy się, gdzie znajdują się ich źródła, kiedy pisze: „Schizofrenia:/jedni rządzą/drudzy mają władzę”. Również i stosunek do wiary oraz religii staje się motywem wielu jej utworów, a w „Sytuacji” (LXVIII) prostolinijnie oznajmia, że „Marzenie maksymalisty: mieć Boga/na swoją miarę”, co również wskazuje, gdzie rodzi się owa patologia władzy w życiu społecznym, kiedy byt boży redukuje się do własnych potrzeb i interesów natury np. politycznej. By tak trafnie pokazać te uniwersalne źródła podkopujące zbiorowe istnienie ludzi potrzebna jest – w jej opinii – wiedza nabyta przez lata doświadczeń. Religia i wiara o tyle ma znaczenie zarówno sensotwórcze, ale i tożsamościoporodne, o ile pomaga stawać się człowiekiem, czyli uczy umiejętności samoorganizowania się emocjonalnego oraz racjonalnego i skutecznego wpływania na żywioły miotające życiem ludzi. Najcenniejszą wartością religii jest oczywiście pokora, która pozwala człowiekowi „starać się być człowiekiem”. Uczy również postrzegania prawdy na sposób ludzki, właściwego gospodarowania czasem i umie-

jętności bycia „bytem niepodległym”. Taka wiedza wynikająca z doświadczenia religijnego pozwala także na bardziej obiektywne oceny procesów dziejowych i odsłania śmieszny, a nawet karykaturalny charakter ich historycznych interpretacji, które, jak jasno widać, nie są w stanie oprzeć się upływowi czasu. Kontemplacja dzieł sztuki jest natomiast dla poetki dobrym wskaźnikiem sensu dziejów człowieka, ale i źródłem ironicznej krytyki pojmowania przez niego własnej wolności. Nieocenionym źródłem dla życia człowieka jest oczywiście wiedza, która z wiekiem pozwala mu zrozumieć, że ból, miłość, rozpacz, nadzieje – to przejawy ludzkiej egzystencji tworzące każde konkretne ludzkie istnienie i należące do natury człowieka, a więc stanowiące poniekąd ośnowę jego gatunkowej tożsamości. Choć trudno jej zrozumieć „oczywistość śmierci”, a poezjowanie postrzega jako osobiste obcowanie twórcy z bólem i lękiem egzystencjalnym, to jednak niesie ono z sobą zawsze nadzieję na lepszą przyszłość. Zawsze bliska duszy przyrody, w której upatruje nawet źródło metafizycznej pociechy człowieka, popychana nadzieją, tak oto ukazuje logikę śmierci w niej obowiązującą. W utworze pt. „Na śmierć tuberozy” spotykamy taką jej wizję: „Umiera tuberoza/płatki całunem/pokrywają zmierzch/dusza zapachem/ulatuje w niebo/Pięknie umierają kwiaty/płynnie zmieniają/byt w niebyt/albo przechodzą/z bytu w byt/jako rzeczy/metafizyka”. Ta animistyczna synteza estetycznego doświadczenia przyrody w pełni rozkwitu, której przejawy często odnajdujemy w poezji Kajtochowej, ujawnia pewną prawidłowość, występującą u wielu poetów. Przy całej złożoności problematyki nieustannej destabilizacji tożsamości, po-

eci mogą zawsze identyfikować się jako byty nieustannie transcendujące, dotykające nieskończoności i próbujące wglądać w najskrytsze tajemnice świata oraz swego życia, z pozycji pierwotnie danego w rozwoju osobowości środowiska przyrodniczego. Ono to bowiem jest dla nich najbardziej stabilnym podłożem, ostoją, matecznikiem, ale i horyzontem, w przestrzeniach którego dokonała się i ciągle się dokonuje ich kulturowa formacja.

Widać więc, że u obydwu doświadczonych i dojrzałych poetek istnieje wiele podobieństw tematycznych w publikowanych wierszach i że ich zawartość dowodzi, iż przez całe życie były poniekąd skazane na destabilizowanie własnej tożsamości. Takie procesy destabilizacyjne mogły być powodowane od zewnątrz, a więc od ich środowiska życia, ale i również od wewnątrz, co skutkowało szeregiem powstających wierszy. Ich twórczość jest również dowodem na to, że poeci podejmują problemy zawsze obecne w indywidualnej egzystencji każdego z ludzi, zaś artysta tym się od nich różni, że w oparciu o nie umie przełożyć tego typu procesy destabilizacji na akty tworzenia, pomnażające wymiary duchowe naszego świata ludzkiego. □

H. Gordziej, *Wernisaż pamięci*, Seria Wydawnicza LI-BRA nr 1. Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, Poznań 2008, s.56 i A. Kajtochowa, *Rosa przed-świu. Wiersze z lat 1983–2007*, Wybór i opracowanie Marcin Kania, Wydawnictwo Naukowe DWN, Kraków 2007, s. 64.

HELENA GORDZIEJ

Wstydzę się patrzeć

na pola zmęczone
brutalizmem maszyny

do kasztanowców
dobrał się szkodnik
rdza poraziła liście

stara droga
wstydliwie przykryła chwastami
przepuklinę bruku

Czas wystawił nam
słony rachunek
za chłopski trud
kroplami potu podpisany
na cyrografie przemijania

ANNA KAJTOCHOWA

* * *

Oprócz prawd wiecznych
poświadczonych doświadczeniem
pokoleń

istnieją okresowe
Wtedy te pierwsze
zwie się banalnymi

12 II 1994

* * *

Jedyną oczywistością
której tak do końca
nie sposób pojąć
jest śmierć



STANISŁAW FRAN CZAK

Falsyfikat

Zdzisławowi Słowikowi

Na początku Stwórca
wziął do ręki pędzel
i namalował świat

potem oprawił go w ramy
i powiesił w swej sypialni

lecz diabeł był za drzwiami
i wykradł nocą dzieło
zostawiając falsyfikat

którym zachwycają się
nieświadome chóry anielskie

* * *

Jerzemu Ochmanowi

Na Kazimierzu cień Estery
zaczepia przechodniów
opowiada wyjście Izraela

W bożnicy zamknięty płacz
mąci spokój cmentarza
gdzie przechowuje się pamięć
o świętym przymierzu

Tylko kamienie milczą
odliczają czas na
klepsydrze murów

Tylko kamienie jak łzy

Pożegnanie Olega Błochina

Janowi Nowakowi

Z chmur spada
złocista piłka na gorący stadion
który tańczy kozaka
i z nieba lądują sędziowie
na spadochronach z kwiatów
już naprzeciw siebie dyszą drużyny
i Oleg wjeżdża na rumaku
całym w cieniu sławy

która rośnie do słońca
huczy stadion jak ocean
fale uderzają o nieboskłony
gdy Oleg strzela bramki
jeszcze jedna dla historii
jeszcze dla was
krzyk gwizdka przecina czas
na dwie połowy
na murawie trzepoce się
sukienka córeczki która
podaje ojcu serce
na małej dłoni
a on chowa na pamiątkę
przeźroczystą kroplę łzy

Kijów 1988

Czas i przestrzeń

Jestem małą kroplą
w której odbijają się
moje sny i przeszłość

jestem cały przeźroczysty
jak czyste powietrze

czy istnieję czy
to tylko bezczas

w bezsłowniu?

Narodziny

Żonie

Kiedy moje wiersze
spłoną na popiół
z miłości
i spłowieją zdjęcia
i pamięć zblednie
wtedy
nad moim grobem
zapal znicz

i wyrosną nowe wiersze
jak Feniks
z popiołów

Utwory pochodzą z tomu: *Wybór wierszy 1998-2008*, Mazowiecka Oficyna Wydawnicza, 2008.

Neoautentyzm sztuką prawdy



Stanisław Franczak od ponad ćwierćwiecza corocznie wydaje jakąś nową książkę. Obecnie wydał „Wybór wierszy 1998-2008” w Mazowieckiej Oficynie Wydawniczej. To płodny, znany, ale i aktywny organizator na wielu płaszczyznach życia społeczno-kulturalnego, twórca. Nie gra w grupach wzajemnej adoracji, nie ma poparcia politycznego czy mecenasa kulturowego. Nie tworzy w grupie, nie poddaje się modom i układom. Jest natomiast mecenasem i wydawcą dla innych pisarzy i artystów, szczególnie zrzeszonych w ogólnopolskim Stowarzyszeniu Twórczym Artystyczno-Literackim, gdzie jest od lat prezesem. Jest też członkiem Kapituły Nagrody im. Włodzimierza Tetmajera, wspomaga Instytut im. Władysława Orkana, opiekuje się nestorem polskiej literatury – Julianem Kawalcem. Czas właściwego uznania dla Franczaka – poety, pisarza i wydawcy – nadejdzie. Jest przecież dojrzałym twórcą, jakże płodnym i interesującym, sięgającym, co dziś jest rzadkością – do swych ludowych korzeni. O wielkim wpływie biografii Stanisława Franczaka na jego twórczość w całym jego bogatym dorobku przekonują wiersze i proza.

Nazywa się go często autentystą, podkreślając jednocześnie obecne w jego twórczości wątki autobiograficzne. Bezradna krytyka usiłuje podchwycić niektóre wątki poetyckiej twórczości, nazwać je, określić. Twórca ten należy bowiem do tej kategorii pisarzy, których trudno jednoznacznie zakwalifikować do grupy artystycznej czy też jakiegoś modnego kierunku literackiego. Wciąż znajduje w sobie siły do pisania poezji i prozy o motywach autentycznych (autentystycznych). Jest odrębny, a przez to oryginalny. Czerpie z dorobku pokoleń, od intelektualnego antyku, po współczesne doświadczenia twórczości ludowej. Od archetypów jungowskiej proweniencji po wierzenia ludów i społecz-

ności znane już tylko z antropologii kulturowej. Sam zresztą czuje i wierzy, ale też stosuje miarę „szkiełka i oka”. Słowem czerpie z wielu źródeł i korzysta z wielu wątków filozofii i kultury.

Znany poezje Stanisława Franczaka z jego „Wyboru wierszy” wydanych w Krakowie w 1996 roku oraz „Wyboru utworów” zawierającego poezje i prozę (Kraków 1998). Popularnością cieszyła się swego czasu powieść „Czerwony scyzoryk” (Kraków 1997), opracowana nawet w wersji gotowego scenariusza filmowego (wspólnie z Witoldem Leszczyńskim) dla TVP SA, a także opowiadania pt. „Charakternik” (Kraków 1998) i powieść „Horyzonty” (Kraków 2002), a także „Skarbonka

snów” – powieść dla młodzieży (Kraków 2006). Odrębnym gatunkiem jest pamiętnik literacki „Znieczulenie” wydany w 2003 roku czy „7 legend o Bieńkówce” (Kraków 2007). Utwory te dopełniają gamę artystycznych możliwości Stanisława Franczaka, a nazbierało się już ponad 40 książek tego autora, którego książki przetłumaczono na wiele języków.

Podstawowym wspólnym elementem utworów Stanisława Franczaka jest to, co Jacques Maritain nazwał „swobodną twórczością ducha”. Wielki filozof pisał: „Twórczość jest jakby związana z jakimś szczególnym celem, którym jest zaspokojenie jakiejś szczególnej potrzeby. W poezji jest to twórczość swobodna, gdyż dąży ona jedynie do tego, by zrodzić piękno, które jest pojęciem transcendentnym i wiąże się z nieskończoną liczbą możliwych realizacji, możliwych wyborów”.

Autentyzm stał się kierunkiem znów niezwykle interesującym i twórczym. Rozchwianie ideowe i estetyczne, jakie pojawiło się na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku, doprowadziło do powstania naturalnej potrzeby poszukiwania prawdziwych wartości. Nie muszą to być nowe wartości. Na powrót pojawiła się tęsknota do liryki (refleksyjnej, społecznej), chęć czerpania tematów z autentycznych przeżyć. „Poezja autentystów – konkluduje M. Kisiel – byłaby sztuką prawdy: rzeczywistość ludzka pokazana jest w niej bowiem otwarcie, bez kamuflażu”. Andrzej Żmuda, dostrzegając to samo zjawisko, pisze, że współczesny autentyzm, „który wzbudzał i wzbudza tyle kontrowersji, jest reakcją na literaturę skażoną”. (...) Pozornie wygląda to na utopijną ideę. Jest to jednak, jedna z nielicznych już, najprawdziwszych odpowiedzi na problemy naszych cza-

sów. Jedyne światło w sensie dosłownym i w przenośni, foton w bezustannym biegu, fala, która ostatecznie była i jest w człowieku. Sądzę, że dla wielu spośród najmłodszych roczników poetyckich tego typu rozpoznawanie jest aktualne” – kończy legendarny redaktor naczelny miesięcznika „Okolice”, wydawanego niegdyś dla tzw. ruchu młodoliterackiego.

Podobne konstatacje znajdujemy u cytowanego już Leszka Żulińskiego, krytyka literackiego, niezwykle wnikliwego obserwatora całej współczesnej literatury polskiej. W odniesieniu do poezji Franczakowej pisze: „Jakaś autentyczna wiara w jedność człowieka z prawami Natury rodzi siłę tych tekstów. Ale harmonia jest tu tylko postulatem i mocną nadzieją, na pierwszym planie dzieją się sceny niepokoju moralnego, lęku, szamotaniny, walki. I zawsze, czy są to wiersze przypominające niemal reporterski zapis jakiejś sytuacji, czy wiersze sięgające do odwiecznej symboliki i mitologii – ta Orfeuszowa pogoń za Eurydyką ma dzisiejszy smak, stale konfrontowany z pytaniami dotyczącymi przeszłości i przyszłości. To moja zasadnicza teza: poetę we Franczaku zrodził szok kulturowej konwersji, ewolucja pierwotnego ładu w destrukcyjny, obolały kształt dorosłości, otoczonej wszelkimi możliwymi zagrożeniami cywilizacyjnymi. Franczak zagrożenia te widzi w sposób drastyczny. Potrafi dobitnie i przejmująco je nazwać. Napisał te swoje półbaśnie, nie wyrzekł się ich w wielkim mieście, odtwarzał i wartościował swe aktualne miejsce na ziemi”.

Leszek Żuliński dostrzegł też swoistą dwunurtowość poezji autora „Całopalenia”, tradycję niejako ludowej proveniencji oraz dzisiejszy dzień współczesnej ludzkiej egzystencji. Przywołuje on krytyka

Jalu Kurka jako protoplastę tej dwunurto-
wości, przywołuje poetów autentystów.

Twórczość autora „Bezsenne ptaka”
przynależy, jak chce wielu krytyków, do
współczesnego neoautentyzmu, intrower-
tyzmu. Twórczo realizuje i wzbogaca do-
konania literackie Jalu Kurka, Stanisława
Piętaka, Jana Bolesława Ożoga. Nicobca
jest też tej poezji troska społeczna Włady-
sława Orkana czy fascynacje kulturą ro-
dzimą obecne w twórczości poety Kazimierza
Przerwy-Tetmajera oraz malarza i ludowe-
go działacza społecznego Włodzimierza
Tetmajera. W niektórych utworach poja-
wiają się echa arcyzmu Jana Kasprowicza,
aż dziw bierze, że dotąd nie wykorzystano
Franczakowej liryki w pieśniach, że czeka
on wciąż na swojego Karola Szymanow-
skiego... □

Fragmenty „Postłowia” Tadeusza Skoczka z *Wy-
boru wierszy 1998-2008* Stanisława Franczaka,
Wyd. Mazowiecka Oficyna Wydawnicza, 2008.

Tadeusz Skoczek – krytyk literacki, publicysta.

RYSZARD „SIDOR” SIDORKIEWICZ

Zaduszki

pod kamieniami zaduszni
ja na kamieniach
dusza krtań uwiera
świczki nagrobne świecą
a na grobach moje nazwisko

do bliskich coraz dalej
do dalekich blisko



JÓZEF KABAJ

(Za)ćmienie

Oto przykład z wywiadu w „Przeglądzie” nr 30 z 27.07.2008 r. z Elim Zborowskim, wiceprezesem Światowej Federacji Żydów Polskich a zarazem przewodniczącym International Society for Yad Vashem, z którym rozmawiał w Nowym Yorku Waldemar Piasecki po śmierci Bronisława Geremka. Zborowski: „Chcę zwrócić uwagę na pewną koincydencję. Bronisław Geremek odszedł do Wszechmogącego dokładnie w rocznicę śmierci swego (i mego) przyjaciela Jana Karskiego, który też zmarł 13 lipca, tyle że 2000 r. Nawet godzina śmierci była podobna.”

Nasuwają mi się dwa pytania: jakie ta zbieżność może mieć znaczenie (poza rachunkiem prawdopodobieństwa) oraz dla kogo może ona mieć istotne znaczenie?

Jako wprawny pytacz dzielę się z innymi swoimi kwestiami zwykle wówczas, kiedy dysponuję jakimiś przemyśleniami, czyli gdy mam jakieś hipotezy pozwalające formułować propozycje odpowiedzi na stawiane pytania. Tak jest właśnie w danym przypadku, to jest w kwestii zasadności zwracania uwagi na tego rodzaju koincydencje. Przypuszczam mianowicie, że postępowanie tego rodzaju ma sens religijny. To znaczy, że wiąże się jakoś z popularnymi formami powstawania i tworzenia oraz upowszechniania przeświadczeń i przekonań o tajemniczej głębi nawet najprostszyc zjawisk i procesów. Należy do nich z jednej strony prawdopodobieństwo określonych zdarzeń. Do tego typu zjawisk należy na przykład trafienie szóstki na 6 rzutów kostką.

Z drugiej zaś strony umieranie, tj. stopniowa destrukcja procesów życiowych, tak fizycznych jak psychicznych, oraz dekompozycja, czyli rozkład. Dla postawy religijnej jest bowiem typowe takie oto podejście, że „przecież tak nie może być, aby wszystko się nagle kończyło i żeby nie było czegoś jeszcze”. Rozwijając nieco tę myśl mówi się: człowiek się tyle napracował i nacierpiał, po czym ma tak ot, po prostu, zgnić? Bez jakiegokolwiek dalszego ciągu? Uważa się przy tym za oczywiste, że po śmierci, czyli po zakończeniu życia, powinno ono trwać nadal. Podobnie zresztą jest z pytaniem o to, co było przed początkiem wszystkiego, czyli co było wówczas, kiedy niczego nie było.

Charakterystyczne, że w tym podejściu ignoruje się pewien wymiar rzeczywistości, mianowicie realną przestrzeń życia duchowego, w którym zmarły miał, ma i nadal będzie miał taki czy inny udział w związku z osobistym do niej wkładem. Prof. Geremek jest tu dobrym przykładem. Horacy napisał: *non omnis moriar*

multaque pars mei vitabit Libitinam, czyli: nie cały umrę i poważna część mnie uniknie pogrzebu (dosłownie: Libityny, tj. bogini pogrzebów – przekład własny). Tutaj mamy jednak do czynienia z tendencyjnym upraszczaniem, sprowadzającym kwestię do alternatywy rozłącznej albo-albo: albo jest tak, że cały człowiek obumiera do końca, tzn. że nic po nim nie zostaje, albo tak, że cały będzie żył wiecznie (przy czym najpierw zostaje zachowane to co istotne, czyli dusza, kiedyś zaś ciało też ma do niej powrócić w dorodnym kształcie i postaci nie do zużycia). Ale któż by się liczył ze słowami epikurejskiego poety sprzed 2 tysięcy lat! Lepiej przecież wierzyć w to, co nieprawdopodobne. Na tym właśnie polega wiara.

W tym świetle również odpowiedź na drugie pytanie nie będzie zbyt trudna. Ujmę ją posiłkując się formułą celowości. Jest taki wycinek przyrody, w odniesieniu do którego owa reguła dotycząca następstw zdarzeń jest przydatna. Pytanie o celowość uważam mianowicie za stosowne, gdy mamy na myśli coś zrobić, czy też gdy kierujemy je do kogoś, kto coś robi rozmyślnie, jak mniemamy. Choć zazwyczaj nie widać tu szansy uzyskania precyzyjnej – choćby tylko w miarę – odpowiedzi, a tym bardziej, by była to odpowiedź ostateczna, jak to się nieraz oczekuje w ramach określonej formacji kulturowej.

Tak też i ja również będę miał trudność z dokładnym wskazaniem, komu zależy na formułowaniu tego typu uwag, co cytowana na początku, oraz na rozpowszechnianiu tego rodzaju przekonań, że ktoś się udał do Wszechmogącego, i to „dokładnie” (choć nie podano minut

i sekund) w rocznicę podobnej wyprawy kogoś innego, także powszechnie znanego i poważanego. Nasuwa się tu porównanie z jeszcze dokładniejszą datą rozpoczęcia procesu stwarzania, podawaną przez kreacjonistów. Bodajże była to godzina dziewiąta rano – mimo że nie było jeszcze słońca, a może nawet i czasu. Za to miejsca było w nadmiarze, gdyż nie było jeszcze niczego. Przychodzą mi także tutaj na myśl jakże liczne zastępy oraz nader wpływowe ugrupowania astrologów, kabalistów (zwanych się obecnie dla niepoznaki numerologami) oraz innych wróżów, których Władysław Witwicki obejmował mianem wieszczków – trafnym, choć dziś rzadko używanym, albo i wcale. On się na tym znał bardzo dobrze. Podobnie jak Ryszard Gansiniec, do którego też warto zaglądać, jeśli kogoś interesuje historia magii czy religii, albo zabiera się głos na te tematy (dajmy na to spirytyzmu, satanizmu czy sektantstwa) mając w tym zakresie poważne braki. W szczególności zaś do artykułów tego drugiego w dziele o wartości naukowej nie do przecenienia mimo upływu wieku od jego powstania, jakim jest *Realenzyklopaedie der klassischen Alterthumswissenschaft* (wyd. Pauly-Wissowa).

Być też i może, iż wprowadzenie nauczania religii, to jest katechizmu i form kultu obowiązujących w tradycji kościelnej jednego praktycznie wyznania (parę innych też formalnie do tego dopuszczonych w szkołach właściwie nie widać) do placówek wszystkich niemal szczebli kształcenia, z przedszkolami i szpitalami, w których są szkoły, ale bez – jak na razie – uczelni wyższych, zamiast filozofii z elementami akonfesyjnego religioznawstwa bądź religioznawstwa z pod-

stawami historii filozofii, było uwieńczeniem celowej akcji podnoszenia wrażliwości laicyzującego się mimo wszystko społeczeństwa na wartości i dobra „nadprzyrodzone” i „wieczne”, których zwykle nauki nie notują. Polityka ta, jak się zdaje, nie przyniosła zwyżki standardów moralnych, proporcjonalnej choćby do wkładu genialnego i świętego przewodnika setek milionów wiernych, którym był i jest papież Jan Paweł II (Karol Wojtyła).

Coś jednak przyniosła. Od lat siedemdziesiątych obserwuję mianowicie triumfalny powrót metafizyki w miejsce ontologii, od lat osiemdziesiątych zaś restaurację dawnych i tworzenie nowych katedr teologii na wyższych uczelniach, a nawet takowych wydziałów. Być może niebawem zostaną erygowane takie katedry na uczelniach technicznych, medycznych i ekonomicznych. Można się spodziewać takich kierunków studiów jak teologia kopalnictwa i hutnictwa, teologia agronomii i zootechniki, teologia medycyny i leczenia, teologia zarządzania i gospodarowania, etc. Studenci oraz doktoranci będą mogli pisać oczekiwane prace np. o wpływie kaplic przydrożnych na bezpieczeństwo ruchu drogowego, określonych modlitw na działanie układów hamulcowych poszczególnych marek aut (ze szczególnym uwzględnieniem ABS i poduszek powietrznych), na remisję chorób czy działanie poszczególnych leków. A także – z powrotem – o dobroczynnym wpływie gromnic w przypadku trąb powietrznych czy zwykłych piorunów (instalatorzy prymitywnych odgromień drutowych zbankrutują). Wykorzystując przy tym, rzecz jasna, najnowsze zdobycze techniczne i badawcze

technologie. O egzorcyzmach, różdżkarstwie, energoterapii itp. paranaukowych praktykach zdaje się już pisać na wybranych uczelniach.

Takie wydziały i kierunki przygotowywałyby także kadry dla redakcji środków masowego przekazu, w których już teraz obserwujemy istny zalew artykułów, audycji i filmów paradokumentalnych o tematyce religijnej, spirytystycznej, mantycznej i magicznej, gdzie fantazję łączy się z rzeczywistością w sposób nieraz niezauważalny dla przeciętnego odbiorcy, w odróżnieniu od łatwo rozpoznawalnych zwykłych bajek dla dzieci. Powstają też i są emitowane w najpopularniejszych kablówkach, obok kanałów *stricte* religijnych, także i takie jak odrębny kanał *Ezo* (np. w UPC), w którym wyklada się karty, a nawet leczy na odległość - czym się zajmował nie tak dawno niejaki Kaszpirowski. Niczym na nowo *lux ex Oriente*. Widać ludzie to kupią, wraz z reklamami. Teorię ewolucji Darwina zaś odstawi się wraz z Dawkinsem, niczym Miczurina z Łysenką – jak to się dzieje w słynnym Pasie Biblijnym obejmującym swym zasięgiem kilka południowych stanów USA, skąd się wywodzi prezydent G.W. Bush, organizujący w Białym Domu zbiorowe czytania Biblii. Podobne pasy biblijne istnieją zresztą także w paru innych państwach, np. w Kanadzie, a nawet w nie tak bardzo odległych od nas krajach jak Holandia (pomiędzy Zelandią a Overijssel), Niemcy (południowa Bawaria, Szwabia) i Szwecja (okolice miasta Jönköping).

Tymczasem zaś przygotowuje się grunt – w czym przoduje publiczna telewizja, jeśli pominąć w pełni konfesyjne Radio Maryja oraz telewizje Trwam czy

Puls – poprzez zwiększanie liczby programów czysto religijnych w rodzaju transmisji mszy i innych obrzędów religijnych, obszerne relacje z pielgrzymek z komentarzami o ich zbawiennej roli, a także filmów „dokumentalnych” o świętych miejscach i pożytkach z ich odwiedzenia (np. o Lourdes czy Fatimie), w których ludzie doznają cudownych uzdrowień na ciele, gdy lekarze z akademickimi dyplomami przyznają się do bezradności. Robi to na koszt wszystkich, wierzących i sceptyków, bo z budżetu. Nie tak dawno oglądałem film jakoby dokumentalny o niemieckiej dziewczynce, która parędziesiąt lat temu przeszła procedurę egzorcyzmowania, po czym zmarła. Współcześni nam komentatorzy, katolicycy duchowni, przedstawili rzecz tak, że była opętana, zmarła zaś dlatego, że sama się złożyła w ofierze. Warto było posłuchać nagranych na taśmę głosu szatana, jakoby wychodzącego (mowa o głosie) z jej ust. Takiego ryku nie jest w stanie wytworzyć aparat głosowy kilkunastoletniej dziewczynki. Z łatwością natomiast mógł już w tamtych latach przygotować taką audycję ktoś obeznany z techniką studium wokalnego, dysponujący odpowiednim sprzętem (zwolnienie i zgłoszenie).

Zauważmy na marginesie, że przy takim i na takim zalewie cudów i dziwów na antenach oraz w życiu już nie tylko odświętnym zyskują niemało również rozmaici znachorzy, do których masowo udają się ci, co nie czują się dostatecznie godni cudu oraz ci, którzy ze względu na stan zdrowia czy na brak oszczędności nie mogą sobie pozwolić na dalszą wyprawę. Terapeuci bez patentów zaś działają już na co drugiej niemal ulicy większych miast i w co czwartej niemal

wsi. Prawie wszyscy z nich posługują się przy swoich zabiegach bogatym asortymentem religijnych emblematów, symboli oraz tradycyjnych formuł modlitewnych. Podobnie „jasnowidzący” (którzy mimo to na dźwięk dzwonka u drzwi pytają „kto tam”) i inni wróżbici (tu szczególnie liczą się kobiety z kartami).

Tak więc miejsce dla trzeźwych programów kurczy się coraz bardziej – zarówno w publicznych jak niepublicznych stacjach. Również w życiu publicznym najwyższego szczebla obserwujemy nawrót do zbiorowych praktyk religijnych w publicznych intencjach. Za Sejmem i Rządem to samo czynią urzędy niższych szczebli. W końcu rolnik „ubezpiecza” swoje domostwo, gospodarstwo z maszynami, zasiewy, rośliny okopowe, plony, bydło i trzodę nie w zwykłych instytucjach gwarantujących wypłatę przewidzianej polisą sumy w razie nieurodzaju, pomoru, pożogi, huraganu czy powodzi, lecz powierza się Bogu. Zamiast comiesięcznych lub rocznych składek ubezpieczeniowych, relatywnie zresztą niskich dla rolników w porównaniu ze stawkami dla innych grup zawodowych czy nie będących rolnikami właścicieli posesji, łożą oni na utrzymanie duchownych i zakonnych, na wyposażenie kościołów i kaplic. Wraz z resztą społeczeństwa, składającą się solidarnie, poza tymi dwoma uprzywilejowanymi pod względem podatków stanami rolników i szeroko pojętego duchowieństwa, na budżet hojnie dotujący kościoły i ich instytucjonalne organy za sprawą polityki Państwa wobec Innego Państwa w tymże Państwie.

Jeżeli to wszystko nie jest zupełnym zaciemieniem czy efektem odurzenia lub

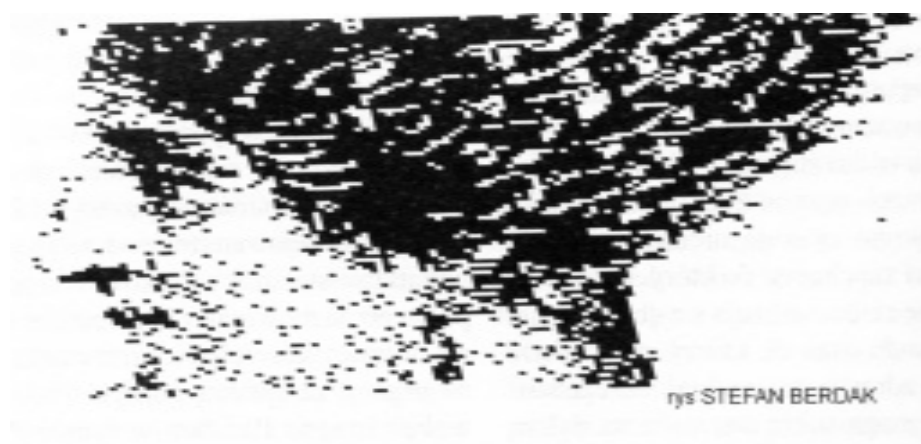
upojenia, nie jest też z pewnością ustrojem i postępowaniem zrozumiałym czy zgodnym ze zdrowym rozsądkiem. Po co zatem uczyć rozsądku dzieci i młodzież, w domu i w szkole, jeśli rzeczywistość dookoła tych instytucji, którymi są dom i szkoła, jest do tego stopnia irracjonalna i co za tym idzie nieprzewidywalna? Jest zaś taką i taką będzie, ponieważ jak dotąd nierozumność bierze górę i ta właśnie tendencja się potęguje na naszych oczach. Naturalnie używam tutaj skrótu myślowego, gdyż mowa u tendencji tworzonej przez jednych ludzi dla drugich, na korzyść rzecz jasna tych zręczniejszych. O tendencji do preferowania innych wartości niż elementarna choćby kompetencja czy tym bardziej fachowa wiedza, jak to widzimy niejednokrotnie u ministrów, ba, u wicepremierów, a nawet jeszcze wyżej. Na co państwu uczenie młodzieży rozumności i poważne badania, skoro mogą i potrafią – w swoim przeważnie mniemaniu – kierować nim

ludzie o tak słabym, albo i żadnym przygotowaniu do tego? Nawet zwykła logika okazuje się zbędna („Jestem za, a nawet przeciw” itp., aż po „nie ma złego, co by na dobre nie wyszło”).

Powracają natomiast średniowieczne hasła w rodzaju *ignoramus et ignorabimus* (po polsku: nie wiemy i nie będziemy wiedzieć), *crede ut intelligas* (uwierz, abyś zrozumiał), „wiem, że niczego nie wiem” itp. Coraz więcej uczonych i uczonek skupia się więc na „badaniu” cudów w świetle objawienia, na parapsychologii, UFO itd. Dorobek myśli oświeceniowej coraz częściej i głośniejszy bywa oceniany negatywnie, z politowaniem lub pogardą.

Prof. Tadeusz Kotarbiński, którego znam z audycji radiowych i publikacji, powiedziałby raz jeszcze, gdyby żył, tak jak to mówił i pisał przed II wojną: „Nie mogę dłużej nie krzyknąć!” □

Józef Kabaj – felietonista, dr filozofii.



Tak naprawdę

Skąd się to wzięło, że niemal wszyscy używamy tego zastrzeżenia? A ma ono moc iście zniewalającą. Kto je raz usłyszał, natychmiast zaczyna stosować. Z dnia na dzień coraz częściej. Aż do co drugiego zdania. We mnie budzi to poważny niepokój.

Skąd? Przypuszczam, że z upowszechnienia i stałego wzmacniania poglądu o istnienie dwu prawd: słabszej i silniejszej. Uczeni mówią np., że ze śmiercią mózgową kończy się życie osobowe. To jest prawda cieniutka, prawie żadna. Bo „tak naprawdę” ono się dopiero zaczyna. Chodzi nam przede wszystkim o to właściwe życie, czyli wieczne, o którym nauka nie ma pojęcia. I to już jest najprawdziwsza prawda, o której należy pisać wielkimi literami.

Inny przykład. Małżonkowie przeżyli ze sobą 40 lub 50 lat w miłości. Ale „tak naprawdę” to wojowali ze sobą parędziesiąt lat co najmniej. Tu już miałbym wątpliwości, którą z dwu prawd pisać dużą literą. Chyba żadnej z nich bym specjalnie nie honorował. W ogóle bym wolał, żeby używać tylko jednej prawdy dla każdej rzeczy i zjawiska. Z zaznaczeniem każdorazowo, czyja to prawda i z jakiego „okna” widziana.

Kiedyś był charakterystyczny wypadek na ul. Franciszkańskiej, na samym przystanku po stronie kościoła dominikanów. Krzyk, że tramwaj przejechał człowieka. Wezwano pogotowie, lekarz położył się na ziemi, sięgnął ręką pod tramwaj, po czym podniósł się i dał oczekującym

wyniku badania wymowny znak, który zrozumieli jako „to koniec”. Ci z obecnych, którym było pilno, ponieśli do domów lub pracy wiadomość, że tramwaj przejechał człowieka na śmierć. Ci zaś, którym się nie spieszyło, albo byli ciekawi widoku ze szczegółami, poczekali do przyjazdu dźwięgu. Po podniesieniu wagonu „denat” wstał pomału, otrzepał ubranie, rozejrzał się, po czym z charakterystycznym szczękościakiem wskazującym na spożycie w znacznej ilości czegoś dającego odporność rzekł: – Co się tu k... wyrabia?

Wersja prawdy tych drugich o tym samym zdarzeniu musiała być zgoła inna.

Ale tu chodzi mi nie o takie powszednie przekłamania, gdzie można sprawdzić w końcu, która wersja jest prawdą, lecz o zasadniczą tendencję, wręcz wmawianie ludziom, że nic nie jest tym, czym jest, lub takim, jakim jest. Filozofia ma na to określenie: ludzka skłonność do mistyfikowania rzeczywistości. Jesteśmy w to wdrażani od dzieciństwa. Mówi się np. dziewczynce, że lalka czy pies lub kot to jej przyjaciele, tak jakby mieli w sobie coś więcej, niż mają. Nieraz też sami to „odkrywamy”, ponieważ mamy taką potrzebę. Chłopcy częściej wytwarzają inne, też

zastępcze, byty wirtualne. Zabawkowe autko staje się dla nich samochodem, a batalistyczne gry komputerowe zastępuje im emocje prawdziwej walki.

Takie sztuczne podwojenie rzeczywistości utrwała się i poczucie realności fikcji pozostaje nam na całe życie. Nieraz nawet nie chcemy pytać, jak jest naprawdę. Co istnieje tylko w mieście lub sztuce, w wyobraźni lub marzeniach, a co także poza nimi. Zwrotowi „tak naprawdę” towarzyszy bowiem drugi: „tak jakby”. Nie w swoim właściwym i tradycyjnym sensie porównawczym, lecz w roli „intelektualnego” przerywnika, dającego również czas do namysłu nad tym, co się chce powiedzieć albo ukryć. Mówi się więc już nie tylko „tak jakby”, lecz – i to znacznie częściej – „jak gdyby” oraz „do pewnego stopnia” (w znaczeniu: poniekąd). To zaś właściwie zawieszają wypowiedzany sąd lub tezę. Zwróciła na to celnie uwagę nasza koleżanka z zakładu logiki. W sposób brutalny zażądała, aby na radzie wydziału nie wyrażać się w ten sposób, gdyż ona nie wie, czy ktoś coś twierdzi rzeczywiście, albo jedynie poniekąd. Odwołała się przy tym do takiego oto argumentu: Jak państwo przyjęlibyście np. moje wyznanie i czego byście się z niego dowiedzieli, gdybym powiedziała, że jestem poniekąd dziewczicą? Lub jak gdyby? Była wówczas mężatką od parędziesiąt lat.

O co więc chodzi z tym „tak naprawdę”? Co to znaczy? Czy to np., że wprawdzie jesteśmy wspaniali i piękni, ale tak naprawdę – nędzni i odrażający? Albo na odwrót? Lepiej więc mówić, że „jak gdyby” lub „poniekąd” jesteśmy tacy, mając na myśli: a „poniekąd” owacy?

Ale przecież nie można dopuszczać takiego potocznego sposobu mówienia

w sprawach i dziedzinach powszechnie uznawanych za ważne, gdyż rzutuje to na dalsze myślenie. Mówiąc potocznie – rzuca się na mózg. Może dojść do tego, że o kłamstwie, kradzieży, gwałcie czy zabójstwie też będzie się mówiło w trybie „jak gdyby”. Gdy słucham wystąpień czołowych przedstawicieli polityki czy władzy, odnoszę wrażenie, że już nam do tego niedaleko. I obawiam się, że wkrótce usłyszymy, że hitlerowskie Niemcy „jak gdyby” chciały unicestwić kilka narodów, że od roku 1945 Armia Czerwona „jak gdyby” okupowała Polskę, czy że w latach 89/90 nasz kraj „poniekąd” odzyskał swoją suwerenność. Choć dla ludzi trzeźwo śledzących wydarzenia jest faktem niepodważalnym, że w celu eksterminacyjnym wybito, zagazowano i spalono kilka milionów ludzi. Następnie, sam pamiętam, jak się czułem będąc przejazdem w Legnicy i Brzegu w latach 60, 70 i 80 – za żadne pieniądze czy inne ekstra warunki nie chciałbym tam wtedy pracować czy mieszkać, oglądając codziennie butnych czerwonoarmistów i słuchając na ulicach pięknej zresztą mowy rosyjskiej. Nazbyt by mi się to kojarzyło – i to niemiłe – z próbami rusyfikacji i wynarodowienia w końcówce lat 40 i w pierwszej połowie lat 50, podejmowanymi wobec nas i na szczęście niezrealizowanymi, jak to się stało w paru ościennych krajach. Nie „jak gdyby”, lecz w znacznej mierze doszło do tego na Białorusi oraz na Ukrainie (zwłaszcza Wschodniej). Co się tyczy zaś naszej suwerenności po przełomie 80/90, to po pierwsze jednostki rosyjskie już nie stacjonują w Polsce, a po drugie nasi rządzący nie musieli pytać Kremla o zgodę na nasze przyłączenie się do NATO czy na wstąpienie do UE. Zrzeczenie się części politycznej i gospodarczej niezależności na

rzecz udziału w organizacjach i wspólnotach ponadnarodowych różni się bowiem znacząco od sytuacji, kiedy każdy minister, a nawet wojewoda, musi konsultować swoje decyzje z „doradcą” będącym funkcjonariuszem ościennego mocarstwa traktującego dany kraj jako swoje dominium (zresztą nie po raz pierwszy w wypadku znacznej części naszego kraju).

Tymczasem u nas wielu polityków tzw. prawicy – obecnego prezydenta nie wyłączając – mówi głośno, że „tak naprawdę” suwerenne państwo mieliśmy jedynie przez 2 lata, mianowicie od jesieni 2005 do jesieni 2006, i że teraz znowu jesteśmy nie-suwerenni. Trudno tylko sprecyzować, pod czym butem jęczymy. A naród, jak zwykle biedny i poniekąd otumaniony, ciągle nie wie, jak jest naprawdę. Skąd ma wiedzieć? Gdy większość jego przewodników przemawia w trybie jak gdyby i tylko na nielicznych rodakach sprawia wrażenie zaledwie poniekąd wiedzących, co mówią. Tak jak dla niektórych z nas jeden z drugim był jedynie poniekąd wicepremierem, a nawet premierem – by już o kompetencjach byłych ministrów oświaty i sprawiedliwości się nie rozwodzić. Widoczna od wielu lat indolencja władz w najważniejszych dla narodu sprawach gospodarki, ochrony zdrowia czy oświaty i nauki jest tego niezbitym dowodem. Następstwem zaś jest ucieczka nadal tumanionej części społeczeństwa jak zwykle do religii, przesądów i magii, propagowanych dzień po dniu, w świątek i piątek, przez środki masowego przekazu, w których aż roi się od duchów i „kontaktów” z lepszą (choć nie dla wszystkich ponoć) rzeczywistością. To jest zrozumiałe, jeśli chodzi o media prywatne, jako że popyt na takie dziwy generuje realne zyski. A co jest motywem ta-

kiego doboru artykułów, programów i filmów w przypadku mediów publicznych? Tu też chyba byt określa świadomość, jak to kiedyś głosił pewien niepopularny dzisiaj u nas myśliciel. □



KRZYSZTOF STREICH

Sacrum Adama Zielińskiego w Wiedniu

Trudno już dzisiaj powiedzieć: co jest ważniejsze w Wiedniu czy Burgtheater czy Kawiarnia Landmanna? W każdym razie aktorzy jednego z najlepszych teatrów w Europie przed i po spektaklu zachodzą na wspaniałą małą czarną do równie sławnego lokalu. I właściwie cóż w tym niezwykłego? Właściwie drobiazg.

Otóż od pięciu lat plac pomiędzy tymi dwiema instytucjami staje się raz w roku przez dwa dni miejscem, gdzie następuje misterium łączenia sacrum i profanum, czyli słowa pisanego i publiczności. Prezentacja owa w języku niemieckim zwi się „Rund um die Burg. Die 24 Stunden der Literatur in Wien 2008”, co po polsku

znaczy – „Wokół Zamku. 24 godziny literatury w Wiedniu 2008”.

Miejsce to jednakże szczególne staje się również między innymi dzięki białym namiotom pnącym się niczym pałace, gdzie hostesy roznoszą bajeczne słodczyce, kanapki i zapraszają na kawę ze śmietanką. A wszystko to gratis. Są także budki z ser-



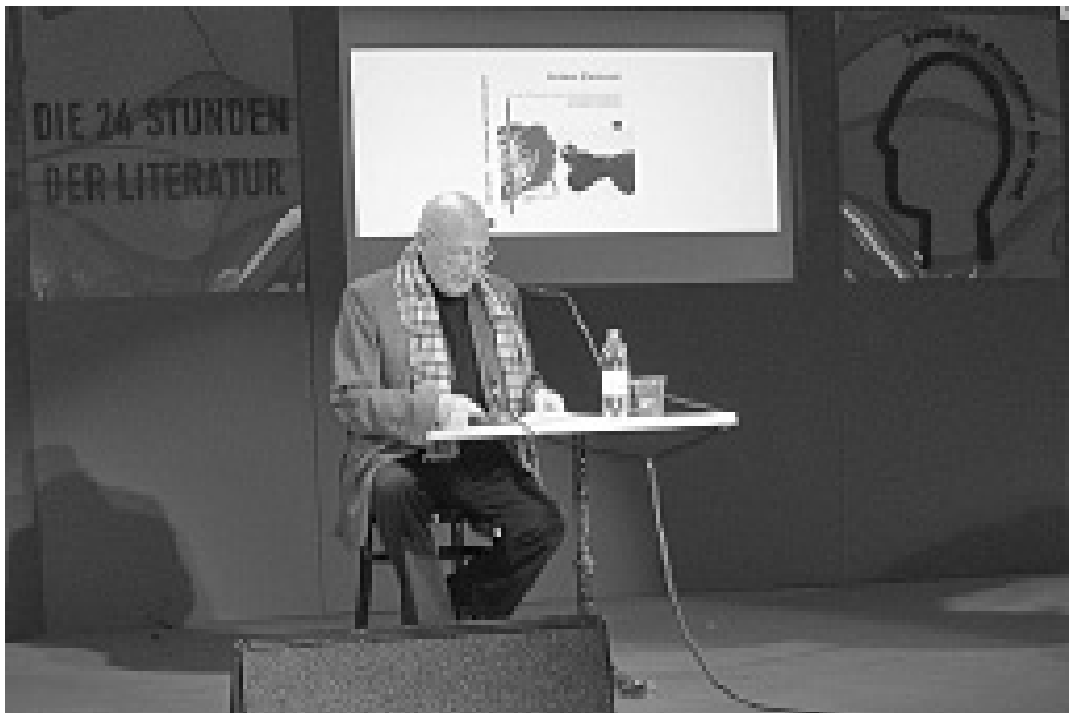
duszkami i czujni „gawrosze”, którzy zapatrzą cię we wszystkie informacje o literaturze zawarte w „Kurierze” oraz „Informatkach”, czytanych właściwie równie dobrze nie tylko w miejscach ulgi.

Nie ma już chyba w całej Europie tak urokliwych spotkań z literaturą, gdzie w ciągu dwóch dni i jednej nocy chce posłuchać doskonałej prozy czy poezji co najmniej 3,5 tysiąca ludzi, a profani w liczbie 300 czytelników (przeważnie młodych) chcą uczestniczyć w czytaniu na żywo opowiadaniu choćby „Morza Kaspijskiego” Adama Zielińskiego, który czytał ów utwór niezmiennie ze swadą i ekspresją zawodowego aktora.

24 godziny na dobę z czytana literaturą to nie jest hasło, ale rzeczywistość. Co prawda Adam Zieliński przedstawiał swój utwór 19 września o godzinie 17. 30, ale o godzinie 0. 30 w nocy robiła to samo

Eva Rossmann, a o 7.30 rano Gerhard Jelinek. Czy sacrum wytrzymuje taką próbę czasu? Proszę sobie wyobrazić, że – tak. Jest zatem kraj i miasto umieszczone w rankingach najwspanialszych stolic jako pierwsze, gdzie ludzie chcą posłuchać poezji i prozy na żywo z taką samą przyjemnością, jakby oglądali mecz Rapid Wiedeń z Realem Madryt. To się rzeczywiście w głowie nie mieści! Szczególnie, gdy w Warszawie na Starym Mieście w klubie księgarzy czy w Krakowie w Śródmiejskim Ośrodku Kultury do udanych spotkań z literaturą należą te, gdzie przyjdzie 20 słuchaczy.

Tempo prezentacji utworów przez poszczególnych artystów było zaiste ogromne, ale dyscyplina w utrzymaniu reżimu czasu jeszcze bardziej imponująca. Każdy z autorów miał swoje grono czytelników i słuchaczy, tak że publika wymie-



niała się niemal co pół godziny. Rzecz również niebywała, bo świadczy to również o tym, że gusta czytelnicze Austriaków są wysmakowane. Ludzie po prostu czytają książki, by w sprzyjających okolicznościach poszukać bezpośredniego kontaktu ze swoim ulubionym autorem.

Co zatem się działo po przeczytaniu opowiadania „Morze Kaspijskie” przez Adama Zielińskiego i po jego zejściu ze sceny? Oczywiście – oklaski. Publika chciała, by autor wrócił do stolika i przeczytał kolejne opowiadanie, ale ochroniarze pilnowali, by każdy pisarz miał równe szanse. Czytelnicy więc biegli na zaplecze namiotu i tam dopadali autora, by zadać mu tych swoich kilka osobistych pytań i wziąć autografy bądź zapisywane na jego książkach, bądź bodaj na marginesie trzymanego w rękę „Kurier”. Tu też dziennikarze radiowi robili szybkie wywiady, a telewizyjni tzw. prasowe konferencje. Z pewnym zaciekawieniem tedy należy odnotować fakt, że telewizja polska znalazła się pośród tego grona kronikarzy.

Proza Adama Zielińskiego nie jest łatwa: stawia kłopotliwe pytania odnoszące się do dramatycznych chwil naszej historii, gdzie konflikt rodzi konflikt, gdzie ofiara niekiedy staje się sędzią, a kat wchodzi w rolę usłużnego sąsiada, który pomaga w zakupach żonie swojego kozła ofiarnego. Odpowiedzi na tak stawiane pytania należą również u Zielińskiego do kontrowersyjnych, bo autor usiłuje się wpisać w czarno białą ocenę wartościowań etycznych.

Owemu festiwalowi literatury jaki miał miejsce m.in. 19 sierpnia 2008 roku towarzyszył najnowszy tom opowiadań

autora „Powrotów” wydany przez jedną z najlepszych oficyn w Austrii Wiesera. Książka nie jest znana polskiemu czytelnikowi, choć dwa z zawartych w tomie opowiadań zostało przetłumaczonych z języka niemieckiego i opublikowanych na łamach pisma „Midrasz”.

Tak się złożyło, że znam większość z tych opowiadań Adama Zielińskiego, jakie zawarł on w swojej ostatniej książce, dlatego też byłem ciekaw reakcji czytelnika austriackiego. Na widowni spotkałem krytyka prozy autora „Wiedeńczyków” Remberta Schleichera, który już w kulturalnych „pałacu sztuki” powiedział: „Ten Adam Zieliński jest wiecznie naszym chodzącym wyrzutem sumienia. To prawdziwy cud, że tylu ludzi chce go słuchać, a później wali się w piersi w poczuciu winy. A już całkiem niezrozumiałe jest dla mnie to, że tylu czytelników jest zakochanych w jego prozie”.

Co tu jeszcze można do tego dodać? W „Rund um die Burg. Die 24 Stunden der Literatur in Wien 2008”, brało udział 30 najlepszych pisarzy Austrii. Jeśli każdy z nich uznany został przez grono krytyków za wybitnego autora, to muszę powiedzieć z pewną zazdrością, że piękny kraj nad modrym Dunajem ma wyjątkowe szczęście. Pozazdrościć można również Austriakom, że miasto Wiedeń objęło patronat nad dniami literatury, a sponsorzy poczynając od bankowców, a kończąc na prasie i restauratorach nie szczędzili pieniędzy, by oprawa tegoż wydarzenia była godna i szczodra, co prócz względów merkantylnych świadczy i o tym, że w literaturę warto inwestować.

□

Mario del Monaco i górale*

Urokiem Wenecji najlepiej rozkoszować się zamieszkawszy w hotelu Cipriani, albo w Palazzo Vendramin na Giudecca, wyspie położonej *vis-à-vis* Placu św. Marka. Bardzo polubiliśmy ten hotel i zawsze kiedy tylko czas nam na to pozwalał, jeździliśmy tam „podładować akumulatory”.

Latem 1979 spotkałem tam Mario del Monaco, słynnego tenora i niezapomnianego Torreadora z „Carmen”.

Kiedy w 1956 roku, jeszcze jako turysta, przyjechałem po raz pierwszy do Wiednia moja kieszeń pozwalała mi jedynie na miejsce stojące w operze. Wtedy właśnie usłyszałem del Monaco w słynnej roli Torreadora. Towarzyszyła mu Renata Tebaldi. Tego wieczoru dowiedziałem się co oznacza określenie „niekończąca się *standing ovation*”: wszyscy krzyczęliśmy jak opętani: „Mario del Monaco!”

Swój największy sukces odniósł Mario del Monaco tytułową rolą w „Otellu” Verdiego. Śpiewał ją blisko 250 razy. Kiedy zmarł 16 października 1982 roku w Wenecji-Mestre, pochowano go w kostiumie Otella.

W 1979 roku od tamtego niezapomnianego dla mnie wieczoru w wiedeńskiej operze minęło prawie ćwierć wieku. Del Monaco mocno się postarzał, a może nam się tylko tak wydało, ponieważ towarzyszyła mu młodziutka dziewczyna. Mimo podeszłego wieku słynny tenor przesadnie podkreślał swoją rzeźkość zachowaniem i młodzieżowym strojem, co go niestety

ośmieszało. Jego młoda towarzyszka najwyraźniej nie darzyła go szczególnym szacunkiem. W sumie stanowili oni godną pożałowania parę. *Sic gloria transit!*

W tym samym hotelu przeżyłem także inne ciekawe doświadczenie: pewnego razu kupiliśmy w centrum miasta buty i poleciliśmy dostarczyć je do hotelu. Wsiadając kilka godzin później do łodzi, która stale kursowała między *Harry's Bar* i naszym hotelem spostrzegliśmy, że znajduje się w niej torba z naszymi nowymi butami. Zaraz obok siedziała starsza para. On miał rozpiętą aż po pępek koszulę i pomięte spodnie sięgające ledwie kostek, ona ubrana była w tanią sukienkę. Oboje byli boso i niezupełnie trzeźwi. Moja żona zasugerowała, że może powinniśmy przysunąć naszą torbę z butami, bo „nigdy nic nie wiadomo”. Kiedy dopłynęliśmy do hotelu niezłe się zdumiałem widząc jak personel usłużnie traktuje tę dziwną parę obdartusów. Ale nasze zaskoczenie doszło do zenitu kiedy dopowiedzieliśmy się, że było to małżeństwo Guinness, właściciele największego irlandzkiego browaru, zarazem przedstawiciele jednej z najbogatszych rodzin tego kraju.

Warto zapamiętać: kto ocenia ludzi po ich stroju, albo swobodnym zachowaniu, może się łatwo pomylić!

Pewnego razu spędzaliśmy z Zofią święta wielkanocne w Portugalii, na wybrzeżu Algarve. Był akurat Wielki Piątek i postanowiliśmy zająć się obserwacją miejscowych zwyczajów. Taksówką udaliśmy się w głąb ładu, aż przed wieczorem dotarliśmy do małej wioski, w której centrum stał ładny, biały, schludny kościółek. Na kamiennych płytach leniwie polegiwały psy i koty, wśród nich bawiły się dzieci, ciągnąc je za ogony.

Msza wieczorna dobiegała właśnie końca. Naraz wierni zaintonowali melodię która brzmiała dokładnie tak samo jak stara polska pieśń emigrancka. Od drugiej połowy XIX wieku górale emigrowali masowo do Ameryki jak to mówiono „za chlebem“. Mało który z nich powrócił. Emigrantów dręczyła nieopisana nostalgia, zwłaszcza, że z reguły nie uczyli się oni angielskiego. Ich kontakt z Amerykanami sprowadzał się *volens volens* głównie do krótkich poleceń na temat roboty, która była do wykonania. Górale marzyli o powrocie w Karpaty i przygotowywali się nań śląc rodzinie regularnie dolary na odnowienie lub pobudowanie nowych domów. Przesyłki pieniężne odgrywały ważną rolę w pielęgnowaniu kontaktów z rodziną w kraju.

Dla tych biednych, dręczonych tęsknotą emigrantów powstała pieśń (oparta na wierszu Michała Bałuckiego „Za chlebem“), która wkrótce zdobyła ogromną popularność: „Góralu, czy ci nie żal? Góralu wracaj do hal“. Z czasem pieśń ta stała się hymnem wszystkich emigrantów, a potem także zaczęto ją z upodobaniem śpiewać do kielicha i z dowolnej przyczyny, a więc nie tylko na obczyźnie, ale i w kraju.

I niestety im częściej ją śpiewano, tym bardziej zdobywała sobie reputację pieśni ciężkich, beznadziejnych pijaków.

Ale jak mogła ta pieśń trafić do Portugalii? Czemu śpiewano ją jako pieśń kościelną? Chcieliśmy to koniecznie wyjaśnić, ale proboszcz nie znał obcych języków, a młody kapłan, jego pomocnik twierdził wprawdzie, że mówi po angielsku, ale jego koślawa angielszczyzna była dla nas kompletnie niezrozumiała. Sprawa wyglądała na beznadziejną, na szczęście nasz taksówkarz podjął się roli tłumacza. W ten sposób dowiedzieliśmy się wszystkiego: przed laty przebywał w tej wsi młody kapłan z Krakowa. Jego zadaniem było poprowadzenie pielgrzymki okolicznych pobożnych chrześcijan do Rzymu, do polskiego Papieża. Ksiądz ten pomyślał, że papieżowi sprawi tym radość, gdy portugalscy pielgrzymi zaśpiewają mu „Góralu, czy ci nie żal“. I rzeczywiście: gdy Karol Wojtyła ich usłyszał, bardzo się wzruszył. Każdemu z nich z osobna podał w rozrzewnieniu rękę. Portugalczykom z kolei spodobало się to tak bardzo, że powróciwszy do swych stron włączyli polską pieśń do codziennego repertuaru kościelnego. I tak to „hymn pijanych górali“ zdobył w dalekiej Portugalii wielką sławę. Niezbadane są drogi boskie. □

Fragment pochodzi z książki Adama Zielińskiego Pt. FOTOPLASTIKON, Stryj, Lwów, Kraków, Wiedeń i omal cały pozostały świat, przygotowanej do druku przez wrocławskie wydawnictwo ATUT.

Mój pobyt w „Bushlandzie”

W tym roku wykonałem skok za wielką wodę, by znaleźć się w kurorcie Wildwood nad Atlantykiem w południowej części stanu New Jersey. Wildwood, jak wyjaśnia mój przyjaciel Jan Abramowicz otrzymało swą nazwę pod koniec XIX wieku dzięki niezwyklej, dzięki scenarii miejsca. Pono rosły tu ogromne, pokryte pnączami stare drzewa, ale z tym wszystkim uporali się szybko biali Amerykanie, wycinając co było do cna i zakładając osadę, mającą w niedalekiej przyszłości zamienić się w modny kurort dla bogaczy spragnionych morskich kąpiel.

Dziś Wildwood to mrowisko hoteli i moteli, placów zabaw, wesołych miasteczek i dziesiątek restauracji. Wiosną, na razie trwa tu senna cisza. Z rzadka przejeżdżają samochody, zapewne należące do właścicieli obiektów, teraz pieczołowicie przygotowywanych do sezonu. Bo sezon rozpoczyna się z nadejściem Memorial Day (Dnia Narodowej Pamięci – 26 maja), a bezapelacyjnie skończy się z wrześniowym Labor Day („Dniem Pracy” z pierwszego tygodnia września – jak widać, nie mającym nic wspólnego z światowym 1 Maja!). Siedzę sobie tedy w motelu Viking i delektując się czystym nadoceanicznym powietrzem zażywam słodkiego lenistwa.

Filadelfię, Manhattan, Statue Wolności i te wszystkie atrakcje wschodniego wybrzeża Atlantyku mam już za sobą. Tym razem wolę eksplorować pobliskie Atlantic City pod którym mieszka Andrzej Wala, absolutnie inny od tutejszych rodaków. Wcale nie przesadzam. Ten rodak, o którym już wcześniej nieco napisałem, pozwa-

la sobie na luksus tworzenia w prozie i poezji, jest wydawcą popularno-naukowych artykułów Towarzystwa Etnograficznego, a wszystko to robi społecznie, płaci też składki członkowskie na rzecz krakowskiego Stowarzyszenia Twórczego Artystyczno-Literackiego (STA-L)! Gdyby „polska Ameryka” miała więcej takich idealistów życie kulturalne Polonii zyskałoby trochę wyższą rangę.

Zaraz po serdecznym przywitaniu z Andrzejem Walą wręczyłem mu list od Bogusława Nowalińskiego, sekretarza STA-L, w którym z uznaniem wypowiada się on o jego książce „Z Atlantic City mówi do państwa...” – zbiorze felietonów radiowych. Jak zwykle nie wiedział, co ma na to powiedzieć, ale pokraśniał, więc pewnie się ucieszył!

Z miasteczka Ventnor jedziemy z Andrzejem do kasyna „Tropicana”. Wypatrzyłem tam przelotnie inną cudaczność amerykańską: W nowo zbudowanym skrzydle pod nazwą „Quarter” mieści się „Red Square” – Plac Czerwony..., a przy nim stoi

sobie, jakby nigdy nic, Włodzimierz Iljicz Lenin! – Statua jest potężna, ma przeszło trzy metry wysokości, wykonana jest z brązu. W lewą dłoń wodza bolszewików dowiecipni amerykańskie włożyli kieliszek do koktajli wódczanych a tuż obok jest „właz” do recepcji restauracji, gdzie nad kontuarem wisi duży olejny portret wodza rewolucji, a dywanik ścielący się pod nogami, ozdobiony jest sierpem i młotem.



I następne zaskoczenia: zaraz „za miedzą” mieści się restauracja „Cuba Libre”, co oznacza „Wolna Kuba” i choć jest to nazwa *drinku*, to trudno nie domyślić się aluzji do politycznego statusu uchodźców, którzy w Miami stworzyli sobie namiastkę kapitalistycznej „wolnej” Kuby... A jednak obie knajpy egzystują obok siebie w najlepszej zgodzie, bomb nawzajem nie podkładają, a amerykańscy klienci też nie dostają niestrawności na widok Iljicza! Ale może to wynik kiepskiej orientacji w historii i geografii politycznej... Kto wie?

Robimy sobie z Andrzejem parę zdjęć z posągiem Lenina, a potem z jego portretem i na dywaniku. Z za kontuaru wychodzi uśmiechnięta czarnowłosa ślicznotka i proponuje że nam „strzeli” wspólne ujęcie. No, czemu nie – *thank you we appreciate this* itd. powiedziałem – a że mój akcent zabrzmiał nietypowo, panienka pyta skąd jesteśmy? Okazało się, że ona jest Bułgarka. – Oj jak przyjemnie; tak, jakby nagle pojawiły się żywe elementy niegdyśjszego Układu Warszawskiego, tu w sercu Atlantic City!

Kasyna w tym mieście (jest ich 12) to ogromne kombinaty hazardu. One dają najwyższe dochody ich właścicielom. Przyznam się, że zaryzykowałem 10\$ i oczywiście odszedłem ze „zmoczonym kuperkiem”. Ot, okazuje się że mam pewnie więcej szczęścia w miłości niż w grze!

Do autobusu wiezie mnie Andrzej, bo jednak za utratę 10\$ nie dają limuzyny, a stoi tych dziwolągów pod kasynami całe stado. Wyglądają jak czarne wydłużone jamniki.

Pytam przyjaciela jak to się prowadzi? Odpowiada, że „byczo”, tylko musisz uważać na zakrętach i sprawdzać w bocznych lusterkach gdzie masz „tyłek”, żebyś np: nie ściał hydrantu!

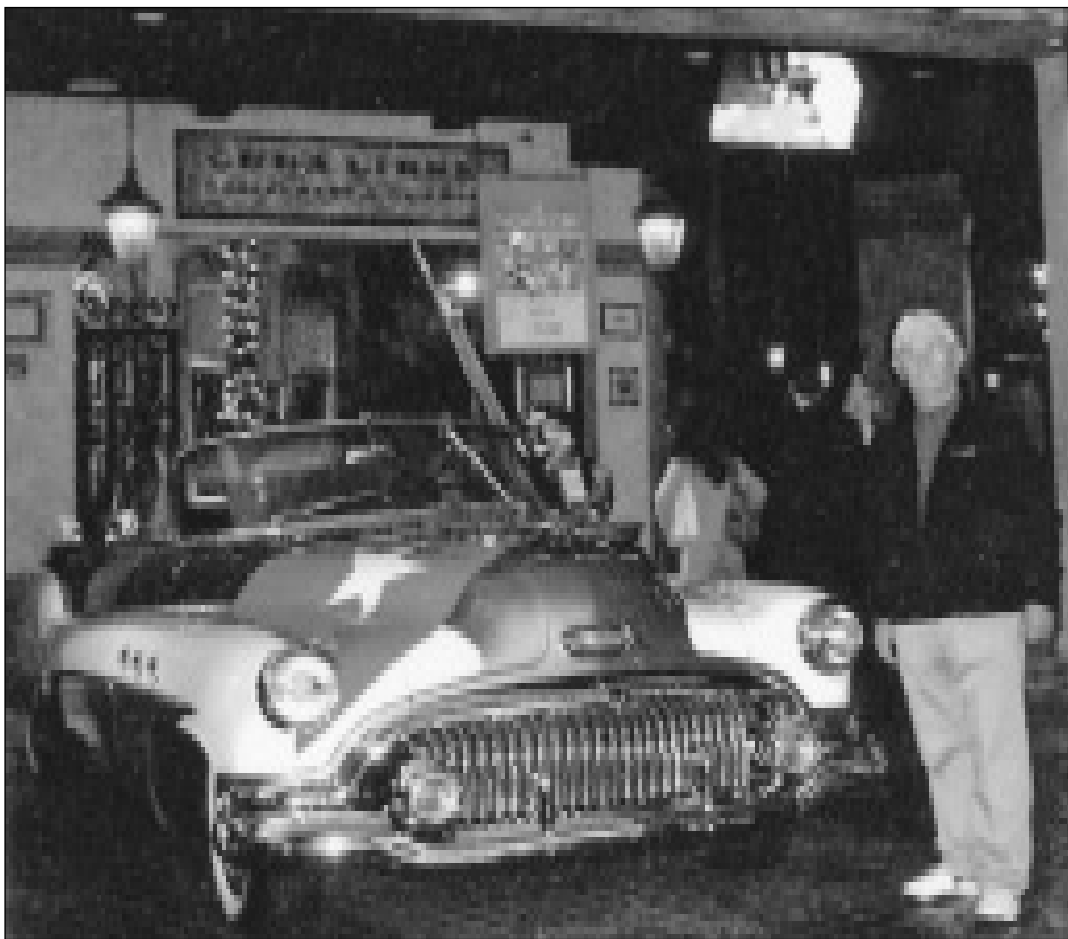
No cóż, przegrałem „dychę”, ale to teraz w Ameryce jest drobiazg. Ceny rosną w górę potwornie, a benzyna w cenie prawie takiej jak w Polsce!

Parę dni temu zrobiliśmy w Atlantyk City zdjęcie parafii rzymsko-katolickiej pod nazwą „Our Lady of the Sea” (Naszej Pani Mórz). Wala dowcipnie: – „Powiedz no mnie – widzisz ten kompleks? To jest moim zdaniem typowy przykład: Oddaj co boskie, Bogu – a co księżę, księdzu”... i tu szelmowsko chichocze! Patrząc, a tam cudna plebania z kamienia, a obok kościółek skromniutki, drewniany!

Pono z powołaniami w Stanach krucho. Co rusz to jakaś parafia jest zamykana na amen. W samym New Jersey zamknięto ich w ostatnich dwóch miesiącach 76. W prawdzie ostatnio przybył do USA Benedykt XVI, żeby tchnąć nieco animuszu w wiernych, ale na ile to pomoże trudno orzec. To już jest oddzielny temat!

Dobrze jest pobyc trochę na obczyźnie

„Bushland” skończy się na jesieni i wybiorą... kto to może wiedzieć kogo? Ale



najważniejsze, powiadają Amerykanie, że już żaden wąskonosy nie będzie psuł Ameryki. Hilary jest doświadczoną, przebiegłą damą, ale większość wyborców woli bardziej radykalnego Baracka.

Przebywając w kilku miastach Stanu New Jersey przez kilkanaście tygodni, odwiedzając różne agencje turystyczne, a także duże hotele itp. z zaskoczeniem i przyjemnością natykałem się na foldery reklamowe m.in. mojej ulubionej krakowskiej restauracji i kawiarni mieszczącej się przy Rynku Głównym – „Pod krzyżkiem”. Poczułem się sympatycznie i ciepło, bo gdzie Polska – Kraków, a gdzie ... Ameryka? Pobyt, choć przyjemny muszę niestety kończyć. Wracam do kraju i oto w porcie lotniczym w Newarku spotyka mnie bardzo miła i fachowa pomoc ze strony Biura Obsługi Pasażerów „LOT-u”. Zapamiętałem kilka imion tych pracowników – Katarzyna, Karolina i Paweł.

Na pokładzie samolotu Boeing 767 przywitali nas, pasażerów – kpt. Berger Edward wraz z szefową pokładu, panią Dorotą Brydacką – życząc przyjemnego lotu. Podczas całej podróży towarzyszyła nam miła serdeczna atmosfera tworzona przez stewardessę, blondyneczkę – panią Iwonę.

Ta podróż przekonała mnie, że oglądane reklamy tej firmy są prawdziwe. Jestem pełen uznania za podróż i pracę obsługi samolotu oraz biura tej linii. Zachęcam rodaków do korzystania z jej usług.

I teraz, oto stoję na płycie lotniska Kraków-Balice ciesząc się z bezpiecznego powrotu do mojego miasta, domu i bliskich z walizką pełną wspomnień i upominków. □

IGNACY S. FIUT

Pirat

brodaty czerwienią jarzębiny
smukły szarą zielenią jesioną
nękany krągłymi pośladkami
i wzdętymi piersiami kobiet
w zapoconym wagonie
tramwaju
koczuję jak przyczajony pirat
z moim statkiem-widmem
wypchanym łupami
na plecach i dryfujemy tak
po ulicach Krakowa nad
głowami gęstych ławic
przechodniów

i tylko ta żebrząca staruszka
ten bezpański chudy pies
wołają o pomstę do nieba
tam jednak nikt nie słucha
nawet aniołowie poszli
na pielgrzymkę poza
granice wieczności

Kraków, 29 sierpnia 2008 r.



JERZY ZAGÓRZAŃSKI

Nieznani ludzie, których warto poznać

Przypadek sprawił, że podczas jednego ze swych pobytów w Stanach Zjednoczonych poznałem Andrzeja Wałę. Od tamtej, komercyjnie zorganizowanej, wycieczki do Baltimore staliśmy się przyjaciółmi.

Co zaciekało mnie już na początku znajomości, to fakt, że Andrzej po wieloletnim pobycie w USA, zachował nie tylko dobry język polski, ale też mentalność nie skażoną zdziwiałym kultem pieniądza i tą – znaną nam już w Polsce – „konsumpcyjnością”.

Dowiedziałem się, że jest szefem organizacji o ambicjach naukowych, stowarzyszenia pn. The Polish-American Ethnological Society i że prowadzi ją od 1976 roku! Dowiedziałem się też, że sam, aby przeżyć, powozi limuzyną dla kasyna gry (Andrzej mieszka pod Atlantic City), a jego działalność w stowarzyszeniu nie przynosi żadnego zysku, dając zaledwie poczucie, „iż można, jeśli się bardzo chce, nie wyjałowić umysłowo w Ameryce”.

Mimo że o Andrzeju pisałem już parokrotnie, m. in. chwając jego felietony radiowe dla filadelfijskich rozgłośni polonijnych, uznałem wreszcie, że po kilku latach sprawdzonej przyjaźni, powinienem jeszcze lepiej przybliżyć odbiorcy w kraju ów „szczególny przypadek polonijny”, np. przez wywiad z człowiekiem, który po 35-ciu latach na obczyźnie jest nadal Polakiem, niezdemoralizowanym przez kapitalizm, myślącym, empatycznym, uprawiającym mądrą, nie ślepą, miłość do polskości.

JH: Jak to się stało, że znalazłeś się w USA?

AW: Choć bezbożnikowi nie wypada tego przyznawać, jestem fatalistą. Po prostu tak się jakoś stało i jest! Ale zaraz wytłumaczę bardziej serio. W 1971 roku zmarł mój ojciec. W tym całym ambarasie nie poinformowano średniej córki, Wandy, która od lat 1960-tych siedziała w Stanach, bo rodzinie – niezmiernie pragmatycznie – wydawało się, że nie należy fatygować „dobrodziejki z USA” i narażać na koszt. Nie wiem, czy moja amerykańska siostra bardzo boleśnie przeżyła ów „spisek”, ale postanowiła (być może z wdzięczności za oszczędności emocjonalne i materialne?) zaprosić mamę-wdowę. Wdowa odpisała córce, że uczyni szlachetniej zapraszając młodszego brata.

Na miejscu okazało się, że moja wiza opiewa na dwa miesiące i Wanda złożyła natychmiast wnioski o przedłużenie. Tymczasem urząd imigracyjny wypiął się na jej prośbę i nakazał mi powrót pod koniec stycznia 1973, czyli po niecałych 2. miesiącach. Na takie dictum siostrzyczka wpadła w furję, bo ostatecznie decyzja ta torpedowała plan materialnego urządzenia

brata, a jej, obywatelce Stanów, dawała prztyczek w nos. Zawyrokowała więc, że skoro tak, to ona występuje o mój pobyt stały. I rzeczywiście, po 8. miesiącach otrzymałem „zieloną kartę” – stały pobyt...

A co na to twoja żona, że wtrączę się niedyskretnie?

Moja żona wykazała się równie świetną praktycznością życiową. „Czy wiesz, że gdybyś wrócił – pisała – mogą zabrać ci paszport i po roku, czy dwóch karta straci ważność. Siedź tam, a ja spróbuję jakoś do ciebie dołączyć”. Słyszając to, postanowiłem siedzieć na miejscu i czekać na jakieś „samorozwiązanie”.

Byłeś człowiekiem z wyższym wykształceniem, absolwentem historii, zapytam więc, jak odbierałeś nową rzeczywistość, inną mentalność i np. tę osławioną pogoń za pieniądzem?

To złożona sprawa. Wprawdzie angielskiego uczyłem się w liceum, ale na studiach miałem lektoraty z niemieckiego czy łaciny i angielski praktycznie wywietrzył mi ze łba. Mówię o tym, bo przez to na początku mogłem żyć tylko wśród rodaków. A ci rodacy to była, niestety, grupa chorobliwych opluwaczy „komunistycznej” Polski. I możesz sobie wyobrazić, że wkrótce musiałem zyskać wśród nich opinię „kryptokomunisty”, lecz że z natury nie jestem awanturnikiem, to jakoś nie oberwałem za swą „różowość” po mordzie. Niemniej, przebywanie w tym gronie było duchową gehenną. Wolałem siedzieć w domu i np. czytać niż uganiać się po polonijnych zabawach czy barach.

A co do tego, jak odbierałem Amerykę? Była mi wtedy całkowicie nienawistna. Krytykowałem wszystko na oślep. Zresztą te nuty pobrzmiwają jeszcze w moich felietonach radiowych, pisanych przecież w 25 lat później! I, jak powiadam, zamykałem się w swym własnym świecie.

Wstąpiłem do chóru „Aria” w miasteczku Wallington. Świadomość robienia czegoś dla kultury polonijnej dawała mi sporo satysfakcji. Szczególnie, gdy dyrygent, śp.dr Bolek Serban, odkrywszy we mnie aktora, wymógł moją współpracę w opracowaniu scenicznym „śpiewogry” Alicji Kozłowskiej (i chyba Woy-Wojciechowskiego) o nostalgicznym tytule „Droga do domu”.

Premiera tego przedstawienia w Felician College w Lodi, New Jersey, zgromadziła niesłychaną, bo 900-osobową audiencję i była wielkim sukcesem. Poczulem wtedy radość i dumę, i to był początek mojego zaangażowania w życie polonijne. Nie przypuszczałem, że coś takiego może mnie tak ucieszyć!

Kiedy to wszystko miało miejsce?

4 maja 1974. Przedstawienie pokazano jeszcze kilka razy, ale z mizernym sukcesem kasowym, bo późna wiosna jest okresem tzw. *graduations*, tj. zakończenia roku szkolnego i ludziska są tym zajęci, jak i przygotowaniem godziwych wakacji dla swoich wymęczonych sztabą pociech.

Interesuje mnie twoja postawa wobec rodaków w Stanach. Przed chwilą nie wypowiadałeś się o nich zbyt entuzjastycznie. A tu nagle słyszę, że zacząłeś się wciągać w życie polonijne...

Widzisz, nie dokończyłem ci mówić o tym, że po otrzymaniu prawa stałego pobytu i grzęznąc w Amerykę, musiałem wyprowadzić się od siostry i szwagra, znaleźć pracę i stanąć na własnych nogach. To właśnie rzuciło mnie w środowisko, o którym do tej pory nie mam najlepszej opinii. Nie idzie o to, że to byli ludzie niewykształceni! Gdyby tacy zachowywali pewną skromność, świadomość swej pozycji na drabinie umysłowej, to życie z nimi byłoby całkowicie znośne. Ale Ameryka swoją

osławioną „wolnością” „podbechtywała” tych prostaczków. Mniemali, iż teraz są równi „panom doktorom, nauczycielom i profesorom”, mało tego, intuicyjnie czuli, że „jajogłowi” nie cieszą się tu szacunkiem. A wg mnie najgorszym gatunkiem głupoty jest ta agresywna, udająca mądrość. Moja pierwsza praca za biurkiem ciągle jeszcze narażała mnie na konflikty z rodakami, ale tym razem to była tzw. inteligencja techniczna.

O inteligencji technicznej – jak ją nazywałeś – też nie masz najlepszego zdania...

O, przepraszam! Nie o całej. Jest wielu techników czy inżynierów, którym humaniści pozazdrościć mogą odczytania, głębokich zainteresowań, ba, pewnej poetyckości myślenia.

No dobrze, ale powiedz mi więcej o tym swoim zaangażowaniu w życie polonijne.

Wiesz, zastanawiam się, czy to „coś jest genetycznie zakodowaną we mnie empatią, czy też nauczyłem się „miłości bliźniego” z obserwowanych przykładów. Może, „salomonowym sądem”, to jest jedno i drugie?

Kiedy wyprowadziłem się od siostry i szwagra znalazło się wtedy paru ludzi, którzy serdecznie i bezinteresownie mi pomogli. Nieżyjący już, Andrzej Szatyński, taki „przyszły” kuzyn, stał się moim amerykańskim guru. Nauczył mnie Ameryki. Dzięki niemu odzyskałem wiarę w sens brania się za bary z tym dziwnym krajem. Nawet moje zainteresowanie Indianami, z konieczności wrzucone na przechowanie w jakąś kieszonkę mózgu, odżyło dzięki niemu!

Dopóki nie poczyniłem postępów w angielskim, praca dla Polonii ograniczała się do chóru „Aria”, do występu na festiwalu polonijnym, czy w wigilijnym programie telewizji polonijnej, wreszcie, do pomagania rodakom.

A jak to było z Towarzystwem Etnograficznym. Przecież to najważniejszy aspekt twojej pracy dla Polonii?

W 1975 pojawił się w Stanach przyjaciel etnograf, dr Aleksander Posem-Zieliński. Powróciły na moment wspomnienia działań w krakowskim stowarzyszeniu Romy i Andrzeja Krzanowskich pn. Koło Zainteresowań Kulturą Indian, mój związek z Sekcją Amerykanistyczną Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego przy katedrze etnografii UAM (śp. prof. dr Marii Frankowskiej), czy udział w sympozjach amerykańskich w Poznaniu i w Warszawie. Zateśkniałem za tym boleśnie! I z tego bólu narodziła się myśl by stworzyć w Stanach filię Sekcji Amerykanistycznej PTL.

Ale towarzystwo nie jest filią tamtej organizacji? Czy mam rację?

Tak, masz. Ja, po prostu, nie znałem się na prawie amerykańskim i naiwnie sądziłem, że to nie jest żadna przeszkoda, a raczej znaczny plus. Że za pomysłem tym stoi naukowa powaga PTL i UAM!

W tym czasie miałem już grupkę przyjaciół – „inteligentów”, z którymi spotykałem się przy lampce wina i „wodziłem za łąby” na różne tematy. Dużo tam było sporów o historię, trochę spraw zahaczających o badania antropologiczne i archeologiczne itp. Kiedy przedstawiłem im swój projekt, nie odnieśli się do niego z entuzjazmem, ale i nie byli przeciwni. Wkrótce jednak okazało się, że ich status starających się o pobyt stały, czy obywatelstwo „wyklucza kontakty z «reżimowymi» organizacjami w Polsce”.

Nie rozumiem! Przecież Uniwersytet AM, czy PTL, to są organizacje naukowe, nie polityczne!

Mój drogi. Wystarczało, że mieszcza się „za żelazną kutyną”, że są w Polsce

Ludowej! Moim przyjaciółom to rzeczywiście mogło odbić się na wyniku starań o legalizację pobytu.

Ratując swoją „ideę”, zaproponowałem przyjaciółom stworzenie polonijnego towarzystwa naukowego pn. „Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Etnograficzne im. Bronisława Malinowskiego”. Ale oni, choć nigdy mi tego wprost nie mówili, uważali mnie za „wściekłego lewaka”, a może też po cichu uważali za „reżimową wtyczkę”? Bo kto, u licha, ma już po 8. miesiącach zieloną kartę i jeszcze pozwala sobie na lewicowe poglądy? Tylko jakiś mętny typ!

Tak więc i ten pomysł diabli wzięli. Tyle, że ja „poszedłem w zaparte”. Ruszyłem do adwokata, Edwarda Wolaka. Był to Amerykanin polskiego pochodzenia i niezwykle „propolski” człowiek. Poradził mi, co mam zrobić. Musiałem teraz znaleźć 15. znajomych, którzy są tu legalnie i mają do mnie zaufanie. Grupkę tę zebrałem nie bez pewnego wysiłku. Oczywiście, wykorzystałem Andrzeja Szatyńskiego i jego żonę Danutę, siostrę ze szwagrem, brata szwagra i jego dziewczynę, swoją „narzeczoną”, swoją *landlady* Basię Piotrowską z mężem Serbem, Zdravkiem Maljkovićem, i jeszcze sześć innych osób. Co było najzabawniejsze: część z nich w ogóle nie wiedziała, co to jest etnografia, czy etnologia...

To rzeczywiście zabawne. Ale dlaczego, jako historyk, nie utworzyłeś towarzystwa historycznego?

Z kilku powodów. Jeszcze w czasie studiów zorientowałem się, że polska amerykanistyka, czyli dziedzina, w której w Stanach widziałem sens działania, jest w rękach etnografów. Po drugie, wyniuchałem (na szczęście) na miejscu, że istnieje już PAHA – Polish American Historical Association. Więc nazwa zajęta! A po trze-

cie, potrzebowałem naukowego wsparcia etnograficznego ośrodka poznańskiego, któremu *nota bene* zawdzięczałem otrzymanie wizy amerykańskiej (dali mi polecający list do konsula). Rozwój towarzystwa nie byłby bez nich możliwy!

Teraz rozumiem. I co dalej?

Towarzystwo powstało między czerwcem a sierpniem 1976 roku, pod nową, bardziej czytelną w angielskim nazwą: „The Polish-American Ethnological Society”. W tytule polskim zostawiłem zaś etnografię nie dlatego, że nie odróżniałem jej od etnologii, ale że PATE, to już była historia moich starań, jakaś tradycja.

W roku 1981 przeniósłem się za moją drugą żoną do Atlantic City, a w kilkanaście miesięcy później poznałem etnografkę z Krakowa. Wydawało się, że kapryśny los próbuje mi wynagrodzić poprzednie rozczarowania kładąc mi na tacy prawdziwą etnografkę. Ale za szybko powiedziałem hop. Ta miła i piękna pani, mój pomysł wyszydziła. Sama wolała robienie maseczek starym babom w ekskluzywnym zakładzie i rozglądała się nerwowo za bogatym amerykańskim mężem. I znów uszło ze mnie powietrze...

Ale wkrótce, dzięki etnografce, poznałem innych młodych, postsolidarnościowych Krakusów. Marta, jej bratowa, była polonistką i, dziwne, złapała haczyk. Powoli zaczęło się coś ruszać. Musiały upłynąć jednak następne trzy lata, zanim towarzystwo odrodziło się, jak przysłowiowy feniks z popiołów...

Zaskakuje mnie twój upór. Czy nie miałeś dosyć tej orki na ugorze?

No, nie przesadzaj. W tamtym momencie wszystko potoczyło się, jakby wg przeznaczenia. Mój udział, to było zaledwie korzystanie z nowej koniunktury...

Rozumiem, że nie chcesz się chwalić, bo nie wypada. Ale mów, co było dalej.

W 1984 roku moje drugie małżeństwo załamało się. Choć żona była jednym z sygnatariuszy certyfikatu PAES – jak podejrzewam – uważała, że zaangażowanie w te mrzonki odciąga mnie od budowania naszego związku, że w rezultacie mnie straci.

Rozstaliśmy się. W tym czasie znałem już Basię, świeżą emigrantkę z Polski, a nasz flirt przerodził się szybko w nowy związek. Czułem, że dla Basi moje ambicje i dążenia są zrozumiałe. I miałem rację. Basia i Marta Bierska pomogły mi realizować wizję.

Do towarzystwa dołączył przyjaciel z pracy, młody socjolog, Timothy Mohan. Napisałem list do dr. Aleksandra Posern-Zielińskiego, donoszący o naszych planach. Aleksander zareagował bardzo pozytywnie. Bez wahania przyjął ofiarowaną mu funkcję dyrektora programu naukowego.

Nie posiadałem się ze szczęścia! To, co wydawało się całkowicie przegraną fantazją, stawało się realne, a dzięki Posern-Zielińskiemu zyskiwało naukową legitymację.

Czy mam rozumieć, że nie wystarczała twoja erudycja i oczywista zawodowość w przedmiocie?

Nie przesadzaj z tą zawodowością. Tego, że jestem historykiem, na czole wypisanego nie miałem. Zgoda na akces do towarzystwa ówczesnego szefa Pracowni Etnografii Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN w Poznaniu, była nieocenioną nobilitacją naszych wysiłków! I to natychmiast zaowocowało żywym zainteresowaniem przynależnością do tej organizacji. Rozpoczął się napływ członków. Wydrukowaliśmy *badges*, czyli legitymacje i statut PAES. Już

wkrótce zorientowałem się, że wielu pracujących na czarno turystów pragnie dołączyć do nas, by pozyskać *badge* ze zdjęciem, z wyciskaną i atramentową pieczętą, z napisami w obu językach. Dla tych ludzi, to był krok naprzód bo mogli przedkładać ten dokument w bankach i otwierać konta. Ten *badge* ułatwiał im życie w Ameryce.

Nie bardzo rozumiem. Do czego tacy ludzie mogli być przydatni w towarzystwie naukowym?

Mój drogi, to nie Polska. Polonia posiada, hermetyczną wręcz elitę intelektualną. Taki np. Polski Instytut Naukowy (PIN – PIASA) może sobie skupiać wyłącznie intelektualistów, bo ci są wykładowcami na *college`ach* i uniwersytetach. W przypadku „budującego się towarzystwa” potrzebni byli po prostu wszyscy zainteresowani. Stowarzyszenie nie mogło się opierać na dziesięciu ludziach! A z drugiej strony pojąłem nagle, że wydawanie legitymacji tym naszym bezradnym „turytom” jest najzwyczajniej dobrym uczynkiem! Wiem, wiem, to zahacza o nielegalność, bo ułatwiałem im omijanie przepisów. Tyle, że zawsze przedkładałem empatię nad zimne, czasem okrutne prawo.

Czy dajesz mi do zrozumienia, iż towarzystwo, równoległe z planowaną działalnością naukową, poczęło uprawiać pomoc społeczną?

Tak. W takim zakątku, jakim było kiedyś Atlantic City, nowa Polonia nie miała żadnej organizacji. Muszę dodać, że Amerykanie polskiego pochodzenia nie rozumieją potrzeb „nielegalnych” pobratymców. Jakkolwiek działanie ułatwiające „pracującym turystom” pozorną legalność nie mieściłoby się im w głowach. Będąc w ich mniemaniu pogwałceniem prawa stanowiłoby też zagrożenie ich statusu społecznego.

Ale ty zdawałeś sobie sprawę komu wystawiasz legitymację, prawda?

Oczywiście. Na zasadzie niemego porozumienia z zainteresowanymi, wydawałem *badges*, ponieważ czułem, że im pomagam. I czyniłem tak, czując jednocześnie, że po początkowym „przyhołubieniu się” w towarzystwie, oni – prędzej czy później – odejdą i pójdą swoją drogą.

A gdzie w tym wszystkim interes organizacji? Co z tego mieliście?

Poza moją osobistą satysfakcją istniało jeszcze to, że towarzystwo zyskiwało sporą popularność. Na nasze zebrania i na pierwsze seminaria przychodziło trochę ludzi. Pamiętałem np., że w czasach Polski Ludowej rozdawano w zakładach pracy bilety do teatru i że robotnicy walili tam całą hurmą, najpierw nic nie rozumiejąc, ale potem wciągając się i „łapiąc bakcyła sztuki”. Po trosze i tu liczyłem na taki skutek. I całkiem się nie przeliczyłem! W tym czasie nie było składek członkowskich i praktycznie byliśmy bez funduszy. Owszem, niekiedy wspierały nas dobrowolne datki. Za *badge*, ważny na cztery lata, pobieraliśmy 25 dolarów. To cieniutki „zastrzyk”! Wreszcie wybory w 1994 wprowadziły roczną, 50-dolarową składkę członkowską. Wtedy zaczęliśmy pobierać od zainteresowanych 25\$ za legitymację i 50\$ za składkę. Później, kiedy wpadałem czasem w złość i żal, bo po dwóch miesiącach np. posiadacz *badge`a* wypiął się na PAES, plułem sobie w brodę, że nie ściągałem składek za cztery lata ważności legitymacji. Ale co tam. Najważniejsze, że pomagaliśmy!

Opowiedz teraz krótko o działalności towarzystwa na polu etnografii.

W 1988 roku, dzięki Marcie Bierskiej, nawiązaliśmy kontakt z odrodzonym ple-

mieniem Indian Nanticoke Lenni-Lenape w hrabstwie Cumberland-South Jersey. Na początku zbierałem materiały etnohistoryczne, przeprowadziłem kilka rozmów-wywiadów z członkami NLL, dzięki czemu mogłem wystąpić z dwoma referatami na naszych seminariach antropologicznych, a także, dzięki zaproszeniu prof. Posern-Zielińskiego, na 50 Międzynarodowym Kongresie Amerykanistów w Warszawie (2000). W 1994 roku patronowaliśmy (po uzgodnieniu tego z Radą Plemienną NLL „badaniom terenowym” studentki etnografii UW, Joanny Trzcionkowskiej.

W podobny sposób w latach 2001-2003 pomogliśmy doktorantowi prof. Posern-Zielińskiego, obecnie już adiunktowi UW, dr. Bartoszowi Hlebowiczowi, w jego badaniach tej społeczności, co wraz z wywiadami u Indian Oneidów w stanie Nowy Jork, tworzyło temat pracy o odradzaniu się tożsamości indiańskiej na wschodzie Stanów.

W latach 1990-2000 zorganizowaliśmy dziewięć seminariów antropologicznych, z których 22 referaty ukazały się w zbiorze pt. „Referaty Seminariów Antropologicznych 1990-2000”, w polskiej oficynie wydawniczej T1PI (Atlantic City – Wielichowo 2001). Od 1999 roku współpracujemy z polskim kwartalnikiem „Tawacin”, poświęconym historii, etnografii i etnologii, a także współczesnej problematyce społecznej i politycznej Indian amerykańskich. Dzięki ofiarnej pracy redaktora naczelnego „Tawacinu”, Marka Maciołka, wydamy w tym roku następny tom naszych referatów za lata 2001-2006.

To rzeczywiście imponujące, zwążywszy, że nie dysponujecie odpowiednimi środkami materialnymi! Skąd bierzesz swoich „referentów”? Nie wspominałeś

do tej pory o „naukowym narybku” towarzysstwa.

Dzięki pomocy prof. Posern-Zielińskiego zdobyliśmy kontakty w Stanach z profesjonalistami. Dołączył do nas w 1990 roku Krzysztof Kopczyński, etnograf z Uniwersytetu Warszawskiego. Podobnie nieżyjący już, prof. Edmund Urbański, historyk-amerykanista. Jurek Kołakowski, brat mojej żony Basi, znalazł dla nas Ewę Dzurak, etnografkę z UW. Te kontakty rodziły nowe kontakty. Np. dzięki Krzysztofowi Kopczyńskiemu członkiem PAES/PATE stał się prof. antropologii z CUNY Brooklyn College John Beatty (co ciekawe pół-Polak, pół-Mohawk!).

Nasza b. skromna akcja pomocy dla polskich archeologów pracujących w Gwatemali przyniosła włączenie się do PAES/PATE dr. Jarosława Żrałki, który z mgr. Wiesławem Koszkulem dokonał, w sezonie 2006 w Nakum, rzadkiego dziś odkrycia grobowej komory majowskiego władcy. Marek Maciołek i Marek Nowocień z „Tawacinu” i wyd. TIPI są również naszymi cennymi „nabytkami”!

A poza nimi na miejscu są w towarzystwie: polonistka Krystyna Baliszewska, odpowiedzialna za redakcję naszych pism, jest biolog i „indianistka”, dr Anna Dobrowolska oraz wiernych pomocników, jak Basia Wala, Gienia Lichoń, Jurek Czyż, czy Stefan Saracen, Ela Schowgurow i miejscowa poetka Barbara Nazarkiewicz. Na nich zawsze można liczyć...

Bardzo cenię sobie twoją książkę „Z Atlantic City mówi do Państwa...”. Powiedz, czego jest ona owocem?

Jest ona zbiorem felietonów radiowych z lat 1998-2003. Prawdę mówiąc, dzięki towarzystwu i jego seminariom stałem się osobą publiczną dla Polonii regionu i pewnie dlatego zostałem zaproszony do współ-

pracy przez Walentynę Adamczyk do ówczesnego filadelfijskiego programu radiowego „Kalejdoskop”.

Cieszę się, że te wyznania „zażartego lewicowca”, ateisty i kulturowego dziwaka znajdują twoje uznanie...

Znalazły, nie tylko moje. Przecież – nie bez kozery – jesteś członkiem krakowskiego Stowarzyszenia Twórczego Artystyczno-Literackiego prowadzonego przez literata Stanisława Franczaka. Twoją książkę przeczytał znany pisarz Julian Kawalec i on także ma o niej pozytywną opinię...

No tak. Dzięki twojej rekomendacji zostałem w 2002 roku członkiem stowarzyszenia. Jestem z tego bardzo dumny. Nie wiem, czy jesteś w stanie spojrzeć na to od mojej strony, Polonusa, zasiedziałego na obczyźnie od 35 lat.

Dla mnie docenienie moich lokalnych wysiłków w ojczyźnie jest ogromną nobilitacją. Nawet nie wiesz, jak bardzo dodaje mi skrzydeł list pana Bogusława Nowalińskiego, sekretarza stowarzyszenia, chwalcę felietony radiowe. Ale np. przesyłane mi przez ciebie „Forum Myśli Wolnej” uzmysławia mi też, że cała moja „twórczość” posiada pewien, zaledwie partykularny charakter, że nie łatwo mi będzie sięgnąć do poziomu waszego pisma, twoich artykułów i innych publikujących!

Spróbuję teraz odwdziżyć się Stowarzyszeniu za zaufanie jakie mi okazało, pisząc trochę z Ameryki o miejscowych problemach, o Polonii i o tym wszystkim, czym jest zainteresowane. Mam nadzieję, że nie będę dla was blamażem...

Dziękuję ci za rozmowę. Czekamy na korespondencję. □

Jerzy Zagórzański – dziennikarz, publicysta.

Taki los

Kazimierz Abramowicz, to teść mojej córki Doroty. Przyjaźnimy się od szeregu lat i jego niezwykłą historię, mieszkańca dawnych kresów i tułacza po świecie, znam od dawna. Dziś wszakże uznałem, że powinienem ją przekazać potomności, jako jeszcze jeden przyczynek do dziejów Polaków na emigracji.

Oto jestem znów gościem w Cape May, New Jersey, gdzie mieszkają państwo Abramowiczowie. Kazimierz jest szczupłym, wysokim mężczyzną, któremu nikt nie przypisałby jego prawdziwego wieku. Wygląda wręcz młodzieńczo.

JH: Wiem z twoich opowiadań, że mieszkałeś niedaleko Brześcia nad Bugiem. Kiedy i jak doszło do waszej deportacji na Syberię?

KA: To było dokładnie pod Kobryniem, w połowie drogi między Kobryniem a Brześciem. Z mojego domu widać było rzekę i tory kolejowe. Zabrano nas z domu, saniami wywieziono na stację w Brześciu i załadowano do wagonów kolejowych.

JH: Kto to zrobił?

KA: Nie wiem, jacyś wojskowi. Może NKWD? Przeszukali wszystko i powiedzieli, że mamy godzinę na zabranie rzeczy. W tych wagonach były tylko cztery małe okienka i specjalne prycze, żeby zmieścić więcej ludzi. wycięta w podłodze dziura to był nasz ustęp... A ludzi było dużo.

JH: I co, powieźli was na Wschód?

KA: Pytaliśmy ich, dokąd nas wiozą? A oni odpowiadali: *pojedziesz, uwidzisz i strachat nie budiesz...* I tak jechaliśmy aż do Irkucka. Do jeziora Bajkał było na południe jakieś sto kilometrów.

HJ: Kogo z was zabrano?

KA: Całą rodzinę zabrali. Dowieźli nas do końca gdzie kończył się tor. W tym miejscu wycinali drzewa na progi kolejowe. Część z nas pracowała przy wycinaniu, inni przy obrabianiu pni. Spędziliśmy tam cały rok. Ja byłem młody, miałem 18 lat. Wreszcie raz zebrali nas do kupy i zaproponowali nam ruskie obywatelstwo, ale tak bardzo delikatnie, łagodnie. Nawet komendant mówił po ludzku.

Ale ludzie zaczęli gadać między sobą, że za tym coś się kryje. I jakieś 90% z nas nie podpisało tych papierów. Wtedy już zniesiono płoty z drutem kolczastym i właściwie byliśmy wolni. Doszły nas wieści o tworzeniu się armii Andersa. Więc załadowaliśmy się na pociągi do Kazachstanu. Na miejscu wojska nie było widać, więc zaczęliśmy pracować. A jak pokazało się polskie wojsko, to najpierw zbierali starszych ludzi, żeby ich wysłać przodem, a na koniec nas młodych dopiero wcielali do wojska i dali nam mundury. Czułem się prawie jak generał. Stamtąd wymaszerowaliśmy do Persji. Znaleźliśmy się w miejscowości Pahlevi, nad morzem (Kaspijskim, przyp. JH). Wszyscy cierpieliśmy głód.

Pamiętam, miałem taki stary aparat fotograficzny, taką skrzynkę, i sprzedałem go jednemu irańskiemu malcowi za tuzin jajek. Wziąłem te wszystkie jajka, usiadłem za

namiotem w słońcu i zjadłem je naraz. Potem próbowałem wstać, ale co wstanę, to się przewracam. Zobaczyli to inni żołnierze i zabrali mnie do lazaretu. No i tam wypompowali mi żołądek ze wszystkich jajek! Szkoda mi było tych jajek. Ale tak to z głodu człowiek nie wiedział, co robi.

JH: I co potem?

KA: Potem przenieśliśmy się trochę dalej i tam kazano nam zrzucić mundury, ogolono nas całkiem i wysmarowano jakimś smarem. Potem dano nam nowe mundury. Stamtąd przez Iran i Irak wyjechałem do Palestyny. Mój młodszy brat, z matką i ojcem, został wysłany do Afryki, do Rodezji. Drugi brat Robert był już chyba w tym czasie w Anglii.

W Palestynie siedzieliśmy przez rok. Chorowałem na malarię przywleczoną z Rosji. Byłem tam w wojskowej szkole, a było zapotrzebowanie do lotnictwa. A ja byłem wariat na tle lotnictwa. Akurat brali roczniki 1925-1926, a więc mój. Przeciw malarii zażywałem po parę pigułek które ukradłem sanitariuszowi i jakoś ataku nie dostałem. Może i klimat był dobry. I tak mogłem polecieć do Liverpoolu, gdzie była szkoła lotnicza. A ci, co zostali (cała moja klasa), zginęli pod Monte Casino...

JH: Który to był rok?

KA: To był chyba 1944. Tam, w Blackpool, w Anglii, mieszkaliśmy w hotelach, jedzenie było dobre i już się malaria nie powtórzyła. Któregoś dnia mówi mi jeden kolega, że ktoś mnie szuka. To był Robert, mój brat. Jakoś się dowiedział, nie wiem jak, ale mnie znalazł, złożyliśmy podanie, żeby być w tej samej bazie. Ale on był na południu, gdzie była wojna. Latały tam te latające bomby V1 i V2, te drugie, to przeważnie na Londyn. Sporo ich zestrzelivano, bo one zawsze miały ten sam tor lotu, stąd łatwo je było przechwycić. Na te trajektorie mówiliśmy: „wąskotorówki”.

Ciągle zmienialiśmy bazy. Najwięcej było takich polowych. Już wtedy były tam tzw. justangi. Ostatnia baza była w Norfolk. Tam już nic nie robiliśmy. Chodziliśmy w mundurach na ryby... Łóżka to mieliśmy z prześcieradeł.

Raz, pewien ksiądz, zabrał mnie do Londynu i prowadził mnie do restauracji, a ja się zaparłem, że nie, bo nie umiałem jeść inaczej, jak tylko z menażki, a przy stole to nie wiedziałem, co robić. A tu podali talerze, mnie się ręce trzęsą, nóż z widelcem dzwoni. Ksiądz się odwrócił, bo śmiech go złapał, ale potem mnie nauczył, jak się co je. On dla mnie naprawdę dużo zrobił. Nie wiem czy jeszcze żyje. Ostatni raz miałem o nim wiadomość, że był w Monako. Robert raz widział się z nim na zlocie lotników w Czyżynach.

JH. Wiem, że spędziłeś 10 lat w Argentynie...

KA: Anglicy dali nam propozycję kontraktu: Pół czasu na wyspie, a pół w koloniach. I ja byłem skłonny podpisać. Ale Robert mówi do mnie: „w wojsku to są tylko wariaci, lepiej w cywilu spokojnie sobie popracować”. I złożyliśmy w Londynie podanie o skierowanie do Kanady, Brazylii, Argentyny, Australii lub Nowej Zelandii. Wtedy do bazy przyjechał ambasador Argentyny i zaproponował nam kontrakt na dwa lata do fabryki samolotów w Cordobie. Podróż mieliśmy za darmo. I tak zaczęliśmy pracować. To była moja najlepsza praca. Argentyni, to najlepsi ludzie z jakimi pracowałem. Gorzej było z językiem, bo tego tylko trochę nauczyliśmy się na okręcie. Więc potem była gwałtowna nauka hiszpańskiego. W kontrakcie mieliśmy zapewniony transport do fabryki i do domu. Po dwóch latach pracy wyczytałem w gazecie, że przyjmują do linii lotniczych (Aerolinie) i to było to samo

ministerstwo. Trzeba było przejść przez egzamin, a tu widzę ludzi dużo i jedno miejsce do pracy. Myślę sobie, że szansy nie mam. Ale nic. Siedzi paru inżynierów, mają pytać, a ja tak się trzęsę, jak z tymi widelcami w restauracji. I pytają się o samolot Dakota, a ja ten samolot znałem bardzo dobrze. Więc co oni zapytają o jakąś część, to ja zaraz mówię gdzie i co, Na koniec oni wstają, podają mi rękę i mówią „jesteś przyjęty”!

JH: Dakota to był samolot transportowy...

KA: Tak, to był bardzo udany model i ja go znałem, jak swoją kieszeń. Dzięki tej pracy zwiedziłem całą Argentynę, bo jeździłem z wojskiem wszędzie, gdzie trzeba było coś w Dakocie naprawić. Na południu kraju jest bardzo zimno, to mi wojsko dało mundur oficerski, wszyscy mi salutowali, a mnie śmiech ogarniał...

Już na początku w tej pracy bardzo mi się spodobało. Były nas cztery zmiany po 6 godzin. A jak nie było żadnych defektów, to siedzieliśmy i graliśmy w szachy, czy karty. Raz pamiętam, przyjechał taki na koniu, a koledzy mówią: „Idź, spytaj, czy się nazywa Don Cabra?” („pan Koza”, ale także oszustwo w grze, przyp. JH). Ja czułem, że mnie nabierają, jednak poszedłem. Ale on się domyślił, że robią sobie ze mnie dowcipy i powiada: „Idź i powiedz tym durniom, że ja jestem Don Fernandez”. No i znowu było śmiechu, co niemiara. I tak z Argentyńczykami pracowałem 10 lat i byłem przez nich bardzo poważany. Mogłem brać sobie kiedy chciałem 6-dniowe wakacje na polowanie i latałem samolotem tych linii bezpłatnie. A w 1960 roku przyjechaliśmy do Stanów Zjednoczonych.

JH: Jeszcze w Argentynie ożeniłeś się z Polką...

KA: Tak, o tu właśnie stoi. Wtedy, myślę sobie, wezmę żonę i polecimy na wakacje do Stanów. I mówię bossowi: „Wiesz, ja tam pojedę, ale nie wiem czy

wrócę” i zostawiłem mu prośbę o zwolnienie. Na to on: „To ja będę trzymał podanie przez miesiąc, a jak nie wrócisz, to po miesiącu wyślę do bazy w Buenos Aires”. Porządny chłop!

I tak 5 maja 1960 roku zaczęło się moje amerykańskie życie. Tu w Stanach przeszedłem najcięższy egzamin kwalifikacyjny. Siedziałem zamknięty w pokoju ze stosem papierów z pytaniami.... ale to już osobna historia.

JH: Dziękuję ci za tę opowieść o życiu i losie wojennego emigranta.

BOGUSŁAW NOWALIŃSKI

Chleb

O kęs chleba, dodatkowe 200 gram
walczyli... tnąc kubiki drzew –
ciało ich przeszywał przenikliwy chłód,
mróz ścinał w żyłach nawet krew.

Hen w syberyjskich latach w wojnę
w gułagach i obozach pracy,
toczyli bój o własne życie
zwiezieni zewsząd tam rodacy.

Z transportów – nic niewinni ludzie,
z toporem w ręku w trudzie, znoju
marząc o czarnej kromce chleba
nadzieję pokładali w Bogu

Odpocząć, żyć, doczekać jutra,
mieć siły na kolejny dzień,
otrzymać ciepłą miskę stawy,
inaczej koniec. Bliska śmierć!

To ciągle rozważanie chleba
dla tych co wykonali normę
i głód dla słabych i cierpiących
powszedniość, zagrożenie ciągle!

Każdy okruszek chleba ważny,
kęs i obierka z warzyw
to iskra i nadzieja życia,
o tym bez przerwy człowiek marzył!

Dzisiaj chleb porzucony leży,
Nikt nie szanuje go jak wtedy,
gdy dawał szansę na przetrwanie –
chroniąc od śmierci, głodu, biedy!

IGNACY S. FIUT

Poeci w poszukiwaniu własnej tożsamości

Bez względu na wiek poeci zawsze zadają sobie pytania o własną tożsamość. Dzieje się tak dlatego, że nie zgadzają się z tym, jak się ich postrzega, ale również i z tym, kim sami są jako osobowości twórcze, a więc wrażliwe na inności oraz różnorodności tkwiące w świecie. Nie akceptują nigdy do końca kontekstu społecznego, w którym są intelektualnie i emocjonalnie jakby zanurzeni, nawet wtedy, gdy postrzega się ich jako jego apologetów. Podszyci strachem egzystencjalnym, jak przysłowio- we źdźbła na wietrze, drżą w okowach własnego istnienia i zostają w ten sposób skazani na wyglądania oraz transcendowanie poza horyzonty otaczającego ich porządku znaczeń. Sięgają także w obszary kulturowanych wizji metafizycznych, w których doszukują się zasad, upoważniających ich do budowania osobistych światów, o które wzbogacają wymiary naszego wspólnotowego istnienia na sposób typowo ludzki. Choć ich głos jest coraz mniej słyszalny, bo trudno im przekrzyczeć wrzask medialny wnikający we wszystkie dziedzi- ny życia ludzi, to jednak udaje im się tworzyć skromne wspólnoty z podobnie czu- jącymi i myślącymi twórcami, ale także i czytelnikami. Wspólnoty te jak na dłoni ukazują ów górnołotny wymiar natury ludzkiej, bez którego człowieczeństwo zupełnie ubożeje i traci wrażliwość na war-

tości, a szczególnie te wyższe, co w konse- kwencji powoduje utratę wyjątkowości człowieka w porządku istnienia świata. Trudno jest bowiem dzisiaj przekonać lu- dzi, że „człowiek, to brzmi dumnie”. Nasi- lenie procesów destabilizujących tożsa- mość człowieka w wyniku procesów globalizacji jeszcze bardziej wzmaga wśród poetów potrzebę zmierzenia się z kwestią własnej tożsamości, o którą muszą zabie- gać prawie każdego dnia. Prowadzą bo- wiem zawsze „podwójne życie”, bo z jed- nej strony przez fakt istnienia muszą uczestniczyć w rytmie i rutynie narzucanej im przez otoczenie, z drugiej zaś żyją w tym samym czasie również we własnych światach, które tworzą i próbują udostęp- nić innym w dyskursie wiersza. Spróbuj- my więc przyglądać się z tej perspekty- wy twórczości poetyckiej kilku generacjom poetów, by przekonać się jak istotna dla ich twórczości jest kwestia „bycia tożsamym”. Na ile pozostają w zgodzie ze sobą samym, ale i innym, jak również ze społeczeństwem lub środowiskiem, w których to światach poeci są zawsze jakoś zakorzenieni, ale z własnej woli ulegają również wyobcowa- niu z nich.

W najnowszym swym tomiku do- świadczony poeta **Wojciech Kawiński** żarliwie powraca do bezpośredniego do- świadczenia świata, ale i tych przywoły-

wanych doświadczeń sprzed lat, zmagazynowanych we własnej duszy. Owa bezpośredniość odniesienia do świata, ale i eksploatacja pamięci zaowocowały w jego biografii dwudziestoma tomami wierszy. Kolejny nosi tytuł *Obrót koła*, i wydaje się, że poeta jakby faktycznie dokonuje wglądu po kole we własne życie, nieustannie zmieniające się konteksty wpływającego świata, ale i zarazem toczącego koło losów ludzkich. Wiek i doświadczenie pisarskie, ale i pozycja outsidera, żal za minionymi światami, których sensory odchodzą w zapomnienie, powodują, że poeta właściwie obstaje przy jednym niekwestionowanym przekonaniu, iż poeta to dziecko, któremu z „latami wydłuża się wers”. Z aptekarską wręcz wnikliwością i dokładnością śledzi więc rozpad więzi między ludźmi, nawet tych najbliższych, odkrywając, że ich zanik mocno powiązany jest z upadkiem ich sił sensotwórczych, które przy pomocy słów wiązały ludzi, nawet w małżeństwie i w przyjaźni. Tak czy owak, jedyną, która w związku z tym nie odstępuje człowieka na krok, ale i poetę również, jest samotność, coraz bardziej przyklejająca się do każdego jednostkowego istnienia. Jej doświadczenie ma również zalety, bo wyostrza widzenie, wspomnienia, ale i przeżycia, a co grosza ukazuje bezwzględny mechanizm pamięci i historii, które brutalnie obchodzą się ze swymi byłymi bohaterami, bo dopełniają bezinteresownie dzieła zniszczenia. Człowiek pozostaje właściwie sam na sam z własną egzystencją i nawet jego ślady na piasku, na śniegu, szybko znikają. To głębokie, ale i bezpośrednio doświadczenie ogołacanego istnienia musi odsyłać do doświadczenia nicości, zwątpienia, a więc Kawiński dalej jest wierny zasadzie egzystencjalizmu myślo-

wego i estetycznego, a nawet z tej perspektyw bada los światów poetyckich przyjaciół i innych znanych sobie poetów, których śmierć zrujnowała budowany horyzont antycypowania znaczeń z przyszłości. Najczęściej pozostały po nich słowa już mało znaczące, zebrane w zbiory utworów, do których dostęp mają jedynie wtajemniczeni, zaś ogół ludzi już na nie dawno zobojętniał.

Jeśli bliżej spojrzeć na etapy egzystencjalnego penetrowania świata przez Kawińskiego i stosowane przy tym techniki, to na pierwszy plan wysuwa się zdystansowanie i postawienie siebie obok przemijającego, ale i współczesnego świata. Próbuje się oddalać od przyzwyczajień, przypisanych symboli rzeczom, by odkrywać, że kontekst świata staje się „rozdartym tłem” i przekształca się w „szmateks codzienności”. Milczenie w świecie społecznym zbliża go do przyrody, która w wielu wypadkach przejmuje władzę nad jego osobistym światem poetyckim. W ten sposób odyskuje ukojenia, a wokół niego krąży karuzela słów i ich znaczeń. W wierszu pt. „Zbyło się. Bo było” odnajdujemy tę wizję: „(...) z biegiem lat/bunt zwrot/lęk i trup/oczy w sęp// (...) idzie się –/noc za dniem//z pola w dół/ w rytmie kół//śpiewająco/i pół drwiąco//szpaczy gwar/wielu par//setek er/milion zer –”. Pozbawiony złudzeń, pozostając sam na sam ze sobą, poeta buduje kolejne koła egzystencjalne, na których wiozą się coraz bardziej wątle słowa.

Kawiński również rozlicza się w duchu sentymentalnym i pełnym niepokoju ze światami poezji, które kiedyś były dla niego kierunkowskazami, adwersarzami w osobistych rozliczeniach z otaczającą go rzeczywistością, a tworzyli je jego przyja-

ciele, ale i kiedyś wielcy wieszcz. Odnajdujemy między nimi Czesława Miłosza, Juliana Przybosa, Mieczysława Jastruna, Mariana Grześczaka, Zbigniewa Herberta, Wisławę Szymborską, Witolda Wirpszę, Jana Kasprówicza, Tadeusza Różewicza, Jerzego Harasymowicza. To oni uczyli go zmysłowości i wrażliwości, ale i mistyfikacji i zaklinalnia rzeczywistości w słowie. Konstatacja jest jednak niepokojąca: pozostały te słowa zebrane w wiersze, ale ilu ludzi ich obecnie pamięta, rozpoznaje. Widać więc coraz bardziej jasno, że ta „dolina znaczeń” rozpada się powoli, a poecie pozostaje słuchanie „zaciśniętym okiem” i milczenie „zaciśniętym uchem”. Jasno jak na dłoni widać niespełnienie się kolejnych pokoleń, co musi rodzić żal i niedosyt. Świat jakby zmywa z siebie wysiłek sensotwórczy pokoleń poetów, stając się zupełnie przejrzysty, a słowa odrywają się od czynów, rzeczywistość ulega skostnieniu – taka wizja w kolejnych utworach wręcz obsesyjnie prześladowuje poetę. W wierszu pt. „Wbrew dawnemu sobie” – czytamy: „za-miejskie pola mrozą, z miejsc/gdzie tylko słupy elektryczne, znika/nasz ślad, krąży pamięć/nie-widocznymi płatkami/bieli, szarości/powtórzonej dla nas –”. Rówieśnikom natomiast przypomina, że (...) słowa zawiązują nam pętlę u szyi/biorą odwet;/ nie umiem tego prześnić, bo wszystko się myśli, w jawie nie-od-rodzonej-”.

Kawiński wchodzi również w spór ze współczesną poezją, jej eklektyzmem znaczeniowym, w którym wszystkiego jest po trochu, fragmentów śladów znaczenia wcześniejszych pokoleń, ale nie ma propozycji nowej całości znaczącej. Wytykając analityczny i wysoce subiektywny sposób budowy wierszy tym młodym autorom obawia się, że w ten właśnie sposób koń-

czy się typowo ludzkie rozumienie świata, w którym czynnie uczestniczyła poezja. Pesymizm ten podsyca jeszcze obecny sposób reprodukcji świata, który faktycznie jest „syntezą stali i krwi”, zaś towarzyszące mu spory słowne stają się gadaniem o „owym wszystkim, czyli o niczym”. Najbardziej jednak przeraża Kawińskiego toczące się po bezbronnych ciałach ludzkich „koło powrotów”, przemieniające świat w mozaikę, która już właściwie niczego nie znaczy, a nad nią „gaśnie widmowe światło wspólnoty”. Wynika to z tego, że pewna forma życia ludzi przeżyła się bezpowrotnie, ale pęd życia sam ją musi znieść, a więc sytuacja jest bez wyjścia. Poeta nie ma żadnego pomysłu, by zaradzić tej nawałnicy. W ten też sposób muszą zapadać się w zapomnieniu ludzkie światy, wypracowane w nich znaczenia, oswojone emocje, antycypacje przyszłości, bo nieznośny i agresywny wpływ czasu nie pozwala nawet mieć jakichkolwiek złudzeń.

W podglebiu tej poezji nieustannie pojawia się więc problem tożsamości poety, który, by stworzyć, musiał ją programowo destabilizować. Z jego doświadczenia i z obserwacji losu innych poetów widać jednak jasno, że nie oprze się ona nadchodzącemu światu, i że to, co kiedyś było tak ludzkie, dzisiaj może zamienić się rzeczywistość w nic, tonąc w odmętach zapomnienia. Problem zdaje się tkwić w języku, który przestaje pełnić swoje funkcje komunikacyjne, a słowa wypierane przez nowe techniki porozumiewania się spuszczały ze smyczy znaczenia, a w konsekwencji głęboki i humanistyczny kontekst ludzkiego istnienia rozkłada się na naszych oczach. Poecie przecież coraz trudniej przy pomocy słów złożyć i przekazać jakiś sensowny i dyskursywny obraz, wizję świata. Odry-

wa się więc od bycia tego świata, wpada w sen, który jednak topi się jak wiosenny śnieg, a spod niego wyrastają już niezależne światy, trudne do ujarzmienia słowem; do nadania im znaczenia. Dlatego poeta woła, że lepiej „krótko żyć i długo śnić”, dodając, iż „lepiej młodnieć w dzień, a starzeć się nocą”. W wierszu „Idziemy”, zdradzając słabe strony osobistej natury, syczy przez zęby: „gdybyś mógł, nie byłbyś. Takim, jakim jesteś. Pełnym czarnych przeżyć. Targanym przez dreszcze//ojciec patrzy już z góry. Na twoje zeznania./Uczysz się żyć znowu. I od nowa kłamać.”. Kawiński jednak nie rezygnuje i próbuje dyskontować sen o świecie w kilku wierszach, zamykających tomik, gdyż z osobistej artystycznej perspektywy dobrze rozumie nadchodzące realia i wie, że „wisła wpadnie do morza z tamizy nie wyskoczą ryby/znikną granice paszporty przemyt będzie na niby//trzeba pytać dociekać: skąd po co i na co/czy nas dobrze przyuczą i świetnie zapłacą//wariantów jest kilka jeden nas przetrzyma/jak ta jesień ulewna jak ta luta zima”. Ma więc pełną świadomość, że w jego wierszach jest wiele wydumanych obaw i wizji, które tylko dla niego i kilku przyjaciół mogą mieć znaczenie. Jako więc „wypasiony kot samotności” często chwytą się bluźnierczego dyskursu, ale z drugiej strony, kiedy nie ma w świecie jasnego znaczenia, to i pewnie wszystko staje się dozwolone, a nawet pisanie wierszy, „na kształt brudnych wstążek”. Zdaje sobie również dobrze sprawę, że milczenie poety, kiedy i tak jego tożsamość codziennie będzie wystawiana na próbę, może prowadzić do samobójstwa podmiotowego, a więc należy ją ciągle odbudowywać, choć konteksty świata i odniesienia do ludzi marnieją. Pisać więc trzeba, by zaspokoić nieustanną

tęsknotę nawet za „dniem, którego nie było” i potrzebę pisania o nim, „W dzisiejszości/wciąż myśleć o tobie/dniu/którego. nie było”. I tak kolejny już raz wychodzi z tej twórczości krakowskiego poety ten niepokój egzystencjalny, zbliżający go do tzw. „istoty rzeczy”, co poniekąd wyjaśnia zwrotka wiersza zamykającego tomik: „Co się tylko da. Lub więcej./Bo w życiu jest. Jak w piosence./Pieśń bez słów wyraża treść./Weź je z całą resztą. Weź.”. Może i to prośba do czytelnika, uwiedzionego i owładniętego współczesną kulturą, by jednak zwracał uwagę na słowa, bo to dzięki nim staliśmy się i jesteśmy ludźmi. Bez nich i zawartych w nich znaczeń może nas już nie być.

Klimaty poezji **Stanisławy Widomskiej** natomiast najlepiej oddaje chyba fragment wiersza bez tytułu, w którym oświadcza, że należy: (...) na przekór/całemu światu/wykrzyzczyć milczenie/na białej kartce/papieru. Wiersz ten pochodzi z trzeciego jej tomiku i nosi tytuł: *Nim zedrę zasłonę*. Ten rzucający się w oczy krzyk poetki jest jednak mocno stłumiony, bo okazuje się, że milczenie jawi się jej jako najlepszy sposób na życie i jednocześnie staje się znakomitą odskocznią do lirycznego wchodzenia w najbliższy sobie świat życia. Można zatem przyjąć, że ta deklaracja to również pewien wentyl bezpieczeństwa, dzięki któremu jej wiersz staje się możliwy. Krzyk ten jednak stopniowo zostaje wyciszony i przeradza się w liryczne zagadywanie świata, które z kolei przechodzi w obmacywanie go, ale i głaskanie prostymi wersami. W tym wtapieniu się w ów świat codzienny a autorka jest bardzo skrupulatna i wrażliwa na szczegóły i gesty, uzyskuje pewne nastrojenie własnej duszy, by ukazywać ów pogłębiony wymiar pod-

glebia codzienności, przepełnionego na przemian przygnębiającymi, ale i budującymi emocjami, choć niezgoda i krytycyzm wobec głupoty, chamstwo i absurd nie zostają tu w żaden sposób wytlumione.

Widomska nieustannie obserwuje obok siebie ludzi, przyrodę i ciągle się dziwi zadając natarczywie pytanie: „kim ja faktycznie jestem?”, „po co żyję?”, „czy ludzie obok mnie są z natury źli, czy dobrzy?”. Jasnym się więc staje, że kwestia osobistej tożsamości nurtuje ją wręcz obsesyjnie, bo ciągle odkrywa, że ludzie są inni niż przypuszczała i że sama również pod ich wpływem się zmienia. Wdaje się jej, że w ten sposób skazana zostaje na zmiany we własnej tożsamość, a nawet programowo musi ją destabilizować, by siebie na nowo rozumieć, nie tracąc związków z własnym otoczeniem oraz korzeniami kulturowymi. W tym głębokim powątpiewaniu i refleksji, w szczelinie pomiędzy tym, czym była, a tym, w czym się odnajduje, pojawiają się jej wiersze. Wyrzucone z siebie na papier jakby sankcjonują kolejne etapy przebudowy jej osobistego ja, szczególnie, jeśli idzie o rozumienie wartości, które rządzą życiem jej i jej najbliższych, a w rezultacie światem przez nią współtworzonym we wspólnocie rodzinnej, towarzyskiej i sąsiedzkiej. Owe problemy z tożsamością budzące w autorce autentyczny „poetycki zew”, sygnalizując również niedopasowanie do kontekstu społecznego, od ucisku którego poetka chce się wyzwolić przynajmniej w wierszu. Napotykać bariery w ludzkim rozumieniu, zauważ jak kiedyś egzystencjaliści, że w innym człowiek tkwi piekło, a samotność jest najbardziej wierna człowiekowi, ale i odkrywa, że zbliżenie się do przyrody koi rany duszy, co w konsekwencji powo-

duje, że swój metabolizm uczuciowy łączy z dynamiką życia w świecie przyrody, uzyskując w ten sposób doświadczenie wzniosłości oraz chwilowego ukojenia. Dzieje się to szczególnie wtedy, gdy odkrywa bezgraniczny urok świata roślin, zwierząt, ale i potęgę harmonii pojawiającą się na styku gór i nieba. Często z lubością ucieka w świat dzieciństwa, ale zdaje sobie sprawę, że piękno marzeń tam poczętych nie zawsze dobrze służy w dorosłym życiu, bo tamten idealizm w konfrontacji z rzeczywistością najczęściej jest bezsilny. Wie również, że cierpienie oczyszcza i buduje wytrwałość, ale i wtedy smak zyskuje każda chwila życia, dając mu siłę, by dzielnie stawiać kropkę nad przysłowiom „i”.

Poezja dla Widomskiej jest czymś nader ważnym dlatego, bo pomaga przezwycięzać nawroty strachu, samotności, wyobcowania oraz lęku przed śmiercią; pozwala równolegle zrozumieć ograniczony sens miłości, przyjaźni i nadziei. Poezja jest dla niej również sposobem wpisywania się w kulturę społeczności, w której wyrosła, a której deficyt pod ciśnieniem cywilizacji wyraźnie postrzega. W autorce budzi się również lęk wręcz metafizyczny związany z jej religijnością, bo obietnice wiary spychają ją na pastwę ślepego losu, jak przysłowia „siostrę-ważkę”, z którą się często identyfikuje. Odkrywa również i tę prawdę egzystencjalną, że każda forma strachu jest głównym i najcięższym grzechem człowieka, bo to on właśnie zabiera mu pewność osobistej tożsamości, a w konsekwencji szansę na skuteczne odnajdywanie sensu godziwego życia i skazuje na los „bycia ową ważką”. Również piękno uczucia miłości ma w jej poezji swoje uprzywilejowane miejsce, a poetka świetnie odkrywa odmienną istotę tego uczucia żywionego

zarówno przez kobietę, jaki mężczyznę, choć przez obojga inaczej. W wierszu pt. „Portret mężczyzny” pisze więc: mężczyzna musi wynieść/śmieci do śmietnika/ wyprowadzić psa z domu/i nakarmić dzieci/(...) musi mieć tyle nadziei/aby wystarczyło/i trochę zostało/i mocno wierzyć/że wszystko się spełni/czego zachce kobieta/on sam/jest mniej ważny/w spodniach podartych/nawet mu do twarzy/(...). Asymetrię tego uczucia dobrze demaskuje inny wiersz poetki pt. „Zakochani”, gdzie czytamy: ona/mdleje na samo/spojrzenie/odwraca głowę/myli go/z księżycem//on/myśli w rękaw wyciera/obgryza paznokcie/i zamiast w oczy/patrzy na jej nogi.

Nowy egzystencjalizm, polegający na oglądaniu siebie i świata od środka proponuje w swym drugim tomiku młody gdański poeta **Wojciech Boros**, tytułując zbiorek dość oryginalnie, mianowicie *Zle zamiary*. W głębi duszy zamierza rozbić otaczający go stan chronicznej alienacji w środowisku tzw. „Onych”. Rozbicie to nie ma na celu identyfikacji z jakąś grupą, ale zespolenie z nimi, lecz i zarazem odróżnienie się od nich. Niewątpliwie pojawiająca się tu programowo destabilizacja osobowa poety ma na celu poszerzenie pola widzenia na świat i ludzi. Technika ta polega głównie na tym, by wchodząc z nimi w bycie, żywić się ich emocjami, ponieważ funkcjonować jako przysłowiowy ich „złodziej”.

Wizja poetycka Borosa zakłada pewien surrealizm i ekspresjonizm w tematyzowaniu świata, by wyłuskać z niego chwile uchwycone w wolitywnym zjednoczeniu z bajecznie danym mu światem, wyjąć je z czasowego potoku zdarzeń i w postaci wersów jakoś je zobiektywizować. W wierszu bez tytułu czytamy więc: „wietrzę zdra-

dę –/zbrodnię przeciwko zimie/zginając wpół widokówkę okna/widzę:/zielone bagnety ostów/Najwyższy Trybunał Topoli/szare drelichy śniegu/błagające o litość//na biurku znaczki się liżą/listy do poczt odległych/które wysłę”. Poeta często operuje subiektywnie czasem, który czuje w duchu Henri Bergsona, ale i Marcela Prousta, kiedy np. opisuje znaną mu z przekazów medialnych wojnę przez pryzmat doświadczenia gabinetu figur woskowych, sytuując się zarazem w teraźniejszości, co pozwala zobaczyć bardziej radykalizowany obraz historii, ale momentami sztampowo śmieszny, pozbawiony starcia woli tamtych bohaterów, a wolitywnie okraszony przez współczesnych, bo jak pisze „z czarnej paszczy radia/wolno jak zaraza/płynie hymn i sztandar.”. Jedną z przyczyn takiego emocjonalnego usytuowania poety w świecie jest m.in. wizja otaczającego go technopolu, w którego okowach żyją obecnie ludzie, tłamszącego i formatującego ich emocje. Faktycznie zobiektywizowana medialnie historia, pozbawiona własnych emocji, w stosunku do aktualnego życia poety staje się obca, nierzadko karykaturalna. Artysta ukazuje więc jakby zresetowany świat, jako kalejdoskop kolorów, ludzi jako larw, gdzie artysta się jedynie przepoczwarza. Traci on wówczas układ odniesienia dla swojej tożsamości, a jej wcześniejsza destabilizacja nie wnosi do jego wierszy emocji budujących, ale raczej rozkładające i burzące. Ten stan zawieszenia ma niekiedy i dobre strony, bo konkretnej miłości nadaje wymiar kosmiczny. Boros tak dzieli się tego typu formą osobistego doświadczeniem: „wykreślasz nagle trajektorie śmiechu/przytulasz się chwileczkę by za buziak ruszyć/ niczym bosy meteor po orbicie spojrzeń/za ogoniastą kota mgławicą//w bajkowych pościelach znajduję Cię

wieczór/gaśniesz zniecka gdzieś na mlecznej drodze”.

Ogląd i bezpośrednio doświadczanie świata wiąże niewątpliwie od środka duszę poety, jednocząc ją z duszą dnia, miejsca, pory roku, a nawet świata. Pojawia się więc coś na kształt pełnego panpoetyzmu, upojenia światem, odurzenia „pianą piwa pitego każdego dnia”. W ten sposób wszystko w jego zasięgu ulega poetyzacji w takt dyskursu wiersza i gra swój osobisty sens, nie licząc się nawet z determinacją kulturową, choć ów sens właśnie ożywia świat, nadając zarazem pewną jedność emocjom autora. Widać to w jednym z wierszy bez tytułu, opisującym wieczór wigilijny w mieście, w którym czytamy: „nieliczni jak sople imają się przystanków/przymarzają do nocnych witryn z jadłem i napitkiem/patrioci slalomem wjeżdżają w zaspę/ostrożnie by nie potłuc tego co w siatce/zimne banknoty pozwalają wkładać/pod srebrne sukienki dłonie magnetyczne/siekiera snią o nieletnich choinkach/w czerwonej poświęcanej karp księżycyca zastygł...”. Autor uzyskuje tu bardzo ciekawy efekt artystyczny, bo każdy wers i całość utworu stają się totalnie metaforyczne, a tylko kilka słów lokalizuje jego sens, pokazując zarówno przyjemne, ale i nieprzyjemne strony opisywanej sytuacji w odniesieniach do wziętego pod uwagę pakietu znaczeń. I znów okazuje się, że ten wolitywny stosunek i odniesienie się do świata pozwalają wyakcentować inne, a często wzajemnie się wykluczające jego wymiary w pewnej dopełniającej się harmonii. Wszystko to ewokuje technika pisania i obrazowania, konsekwentnie stosowana przez autora, wprowadzająca bezboleśnie w tę przestrzeń znaczeń czytelnika. Technika ta zakłada nawet multiplikację metaforyki i budowanie

zagadkowych tropów poszukiwania tych znaczeń. Nie stroni on od ich kakofonicznych zestawień i zderzeń sensów, a chodzi mu o to, by łamać panujące nad mową i wyobraźnią ludzką dyskursy, np. dyskurs polityczny, religijny, wzmacniane przez media, głęboko przenikające życie osobiste ludzi, co dobrze ilustruje wiersz pt. „Gazeta Wyborcza”. Przy okazji znakomicie odsłania w stylu karykaturalnym komercyjne momenty w przekazie medialnym, np., blogów, śledczego nastawienia mediów, dążących do sprzedania wszystko, nawet: gwałtu, przemocy, zbrodni w aurze „komercyjnej świętości”. Klimat tych utworów dobrze oddaje fragment kolejnego wiersza bez tytułu: „to tylko kwestia 50 lat/tyle podobno brakuje nam do śmierci/na statystycznie przyzwoitym europoziomie/gdzie już drukują banknoty/z nowym logo – in Blog we trust //jeszcze żeby ten błąd starzec/przestał się ślinić na wizji/na Boga – mamy XXI wiek!”

Boros interesująco testuje historię, a właściwie jest koniunkturalne interpretacje polityczno-medialne, dochodząc do wniosku wyciąganego z osobistej autopsji, iż różnica polega na tym, że w tych miejscach historycznych zmieniła się jedynie forma konsumpcji, stając się bardziej wyrafinowaną i żarłoczną. Bawi go również ubóstwo świata ludzi poddanych praniu mózgowi przez media. Demaskuje więc celebrytkę tego typu życia, a w wierszu pt. „Z ogłoszenia” kreśli jej portret, pisząc, że „nie boi się wyzwań rynku. Jest elastyczna./Potrafi się dopasować. Ugiąć. By osiągnąć cel./Dyskretna aż do bólu. Przez jej ręce może przejść wszystko./Nie oczekuje spełnienia. Ale odczuwa coś na kształt satysfakcji”.

Bardzo interesujące w tym kontekście okazują się ciepłe wiesze, których podmiotami lirycznym są żona i córka poety. Przez nacechowane emocjonalnie słowa, gesty i odruchy, dyskretnie wchodzą do wierszy i budują wraz z autorem intymny świat, który jakby tworzy wyspę pozytywnych emocji, w świecie przypominającym rozszalałe morze, miotające żywiołami niczym nieskrępowanych egoistycznych emocji. Niemniej świat widziany z tej emocjonalnej, poszatowanej pojęciami perspektyw, poniekąd napawa poetę strachem. Chciałby, by był nieskończenie bajeczny, beztroski, ale nauczony przez życie wie, co oznajmia w przedostatnim wierszu zamieszczonym w tomiku pt. „Bajeczka”, gdzie ostrzega: „Nie wywołuj wiersza z serca. Bo Cię zje. Na zawsze.”. Wydaje się więc zrozumiałe przesłanie, towarzyszące kolejnym utworom Borasa, sugerujące, że w każdym momencie życia w świecie, nawet najbardziej ponurym i upiornym, „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Złe zamiary prowadzą często do dobrych rozwiązań, ale jest jeszcze pewien problem związany z miejscem człowieka w świecie, kiedy rozpad jego świadomości nawet przestaje gwarantować tożsamość własnej płci i funkcji społecznej, bo wtedy nie wie się, co faktycznie można jeszcze zrobić: kończy się więc bajeczna poezja, a zaczyna się brutalna proza życia, a wówczas można, parafrazując Borosa, powiedzieć również, że „nie ma tego dobrego, co by i na złe nie wyszło”.

Dojrzewanie osobowości i tożsamości twórczej poety zawsze stanowi proces złożony, często przybierający gwałtowne formy. Towarzyszy mu niejednokrotnie typowy stres egzystencjalny. Trudno bowiem oderwać się od wzorów kulturowej inter-

pretacji świata, hierarchii wartości wyniesionych z domu i wspólnoty lokalnej, która mimowolnie buduje fundament osobowości każdego człowieka. Widać to wyraźnie w trzecim już tomiku wierszy **Daniela Lizonia** pt. *Skupienie*. Zderzają się w nim żywiołowo światy, które mimowolnie stawiają przed autorem pytanie: kim właściwie jestem? oraz: w jakim ja świecie żyję? Poeta ciągle zastanawia się na ile zmienia się otoczenie aksjologiczne jego życia, dezawuuując znane mu wartości, przekonania i wiarę religijną, którymi dotychczas żył. Życie postrzega więc jako przysłowiowy rejs na żagłowiec i zarazem w samolocie, które rozmiękczają grunt pod stopami i jak jastrząb krążą nad rodzinnym domem, odsyłając w świat niepewny, choć wypełniony fascynującymi pokusami, oferującymi nowy smak miłości, seksu, pieniędzy, blichtru i kariery. Poeta zwraca się zatem ku fundamentowi własnej tożsamości, wyniesionej z „małej ojczyzny”, gdzie pozostali rodzice, przyjaciele, znajomi, krajobraz przyrodniczy i wspomnienia o dziadkach. W rezultacie tego zabiegu jak na dłoni ukazuje mu się inność świata miasta, czyli tego, co agresywnie próbuje omotać i zagospodarować jego życie. W wierszu pt. „Na Dąbrowskiej Górze” Lizon pisze wprost „z tego miejsca ponad jeziorem/krwawie do lasu i Kocham się z sobą?// z tego miejsca widać wszystko/co mnie zrodziło i wkrótce pochłonie?”. Odchodzenie dotąd najbliższych mu osób rodzi wzmożone poczucie samotności, ale i roztacza złowieszczy horyzont ograniczoności życia, który mówi – jak pisze poeta – że to, co „cię zrodziło, pochłonie cię również”. Przy tej okazji uświadamia sobie, że logika życia zmusza do porzucenia tego, co najbardziej się kocha i ceni. Odkryta perspektywa coraz wy-

rażniej wyjaśnia mu sens historii, która na przykładzie losu dziadka i babci odbiera złudzenia jego duszy, że stosunek ludzi do historii to żadna prawda, ale nienasycona melancholia.

Poeta w myślach coraz częściej powraca i wtapia się w metamorfozy rodzimej przyrody, docenia „płodzmian dnia i nocy”, by świadomie stać się aniołem stróżem własnej opatrności, gdyż życie osobiste w mieści burzy grunt pod jego stopami. Trudy codzienności stają się coraz bardziej czytelne, szczególnie wtedy, gdy ujmuje je bliskimi mu metaforami życia religijnego. W wierszu pt. „Czyściec” pisze sugestywnie: „(...) głowa pęka od pięt/i palców przepoconych skarpetek/pralka jest Chrystusem/prześcieradło zmartwychwstanie”.

Doświadczenie życia wielkomięjskiego, przepelnionego zgrzytami technologii i mediów, budzi u poety nieskrywaną odrazę porównywalną do „mechanicznej kosi śmierci”. W wierszu pt. „Trauma” czytamy: „(...) dla mediów była/trzydziestodzieciocioletnią kobietą/potrąconą śmiertelnie w miejscowości x/przez kierującego samochodem marki z//dla ciebie była wszystkim”. Lizoń uważa bowiem, że każda śmierć nadaje życiu poczucie sensu, które wzmacnia w człowieku powinność życia i to życia godnego. Napotykaną świat temu jednak zdecydowanie przeczy, bo przepelniony jest właśnie zmorą „śmierci bezsensownej”. Obserwacja ta rodzi w nim wiele dylematów związanych z sensem wiary, a w jego emocjonalnym doświadczeniu świat, głęboka wiara musi obecnie prowadzić do jej odmowy. W wierszu pt. „Modlitwa” wyjaśnia bezpośrednio stwórcy: „(...) nie gniewaj się/choć gorzko czynię/bo cóż to za wiara/gdy się czasem nie zwątpi”. Również miłość doczesna do ludzi,

która stanowi centralną dla niego wartością, dostarcza rozczarowań i dylematów, kwestionujących sens zbawienie i życia wiecznego, a w wierszu pt. „Niebo” tak to widzi: „(...)nawet ktoś kto popełnił/grzech śmiertelny jeśli był kochany/powinien zjawić się w niebie/tu jednak pojawia się gorzka refleksja/niebo jest niewyobrażalne”.

Penetrując zaułki i areny życia współczesnego świata zauważa z zażenowaniem, że przysłowiowy garnitur, modnie skrojony, zmienia diametralnie świat i człowieka, by go następnie beznamytnie porzucić. Ma wątpliwości czy „bycie człowiekiem” brzmi jeszcze dumnie. Widząc wołające o pomstę do nieba kontrasty między biedą i bogactwem, buntuje się i protestuje, by przypomnieć, że ślepy los rządzi życiem człowieka, zarówno biedaka i bogacza, a więc ta elementarna miłość i solidarność między ludźmi jest do życia koniecznie potrzebna. Przemoc i panosząca się deprawacja budzą w nim odrazę i nieskrywane oburzenie, a nawet skłaniają go do miotania przekleństwami. Choć ciągle się słyszy w mediach, że mogą przenosić przysłowiowe góry, poeta ma świadomość, że takie góry są zawsze okaleczone, zaś ewangelizatorzy i moralizatorzy o brudnych rękach budzą w nim głęboki niesmak, szczególnie wtedy, gdy nawołują do chorej tolerancji. W tym świecie, z cierpką ironią w słowach poeta odsłania fakt, że nawet miłość mężczyzny do kobiety staje się prawie lesbijska, gdyż przecież kocha się w niej to, co kobiece, a nie odwrotnie. W „Erotyku prawie homoseksualnym” Lizoń konstatuje: „(...) mógłbym napisać, że jestem gejem/żeby zyskać rozgłos/ale jestem lesbijką/bo lubię to co kobiece”.

Niewątpliwie, przyczyną rozrostu negatywnych stron w życiu naszego świata upa-

truje poeta w panującej ideologii komercjalizacji, dotyczącej kulturę i religię i tzw. „narodowy patriotyzm”, prowadzących w konsekwencji do zaniku różnicy pomiędzy tym, co jest ważne i rodzi poczucie powinności, a tym, co sprzedajne i wzbudza jedynie resentymentalną nienawiść, żywiącą się zawiścią. Bardzo więc boli poetę upadek kultury sacrum. W wierszu bez tytułu widzimy taką oto scenę: „wczoraj w nocy ksiądz Piotr/zwrócił uwagę młodej dziewczynie/która odpiwała się pod kościołem św. Marka//Jej chłopak zrobił mu śliwkę pod okiem//Kościół to pomniki kultury/i świadectwa historii//czy na rodziców szczacie”.

Wiersze Lizonia, choć pisane z głębokiej subiektywnej perspektywy, zorientowane są społecznie. Najczęściej wyrażają jego rozczarowania oraz buntu, przeplatane w tym tomiku kilkoma wspaniałymi lirykami, inspirowanymi głęboką więzią autora z przyrodą, wsią oraz miłością do kobiety. Tryska z nich potrzeba kreowania ciepła, naturalnych więzi między ludźmi, zwykłej prostoty życia i przyjaźni. Jednak owo rozdarcie między cywilizacją współczesnego miasta i życiem na łonie przyrody, którego echa słychać w wierszach Lizonia, a które było, ale i obecnie również jest źródłem jego poezji, coraz bardziej osłabiają jego twórcze siły i aspiracje. Właściwie staje na rozdrożu, postrzegając siebie jako outsidera. W wierszu pod tym samym tytułem dowiadujemy się: „będę magistrem/własnej samotności/(...)/dzielę świat/na dwie ciemności//wybieram drogę/która nie prowadzi”. Co by ta deklaracja miała oznaczać? Zejście ze ścieżki poezji? Jednak kilka stron dalej autor wyjaśnia, na jaką drogę pcha go dusza poety. Kocha bowiem, jak pisze ze szczerością, ale i nie-

klamana dozą ironii i humoru, ludzi, którzy „nad biedę przedkładają placki ziemniaczane”. Nowe *credo* jego poezji skierowuje się ku buntowniczności, która w zamiarze ma dążyć do obrony wartości tych, które czynią każdego człowiekiem. W wierszu pt. „W poszukiwaniu początku” tak oto wyjaśnia swój kolejny etap twórczości poetyckiej: „i wtedy właśnie Bóg zapytał/szczęście w miłości albo poezji/wstawiony wybrałem to drugie”. Podążając tą ścieżką „aksjologicznego rebelianta”, poeta odsłania przyszłą metodę uprawiania sztuki słowa, które, po pożegnaniu się z naiwnymi oczekiwaniami w stosunku do świata i epatowaniem się nim, raczej będzie polegać na jego prowokowaniu. Do tego będzie potrzebował programowej destabilizację własnej tożsamości, by mógł wrażliwie „czytać otaczającą go rzeczywistość” i odważnej metody żywienia do niego niczym nie skrępowanych uczuć pozbawionych elementu zażenowania, by ukazywać w swych wierszach to, co jest ludzkie, nawet w najbardziej upadłych jego przejawach. Taka zabawa artystyczna musi rodzić jednak w twórcy lęk i w wierszu pod takim samym tytułem mówi o tym: „dzisiaj/zamiast śmierci/chyba najbardziej/boję się/słów/jesteś fajny/ale”. Budowana więc przez Lizonia droga poetyckiego tworzenia wpisuje się w logikę wyborów artystycznych, stanowiących wyraźną formę buntu, a w jego przypadku m.in. przeciw pokoleniu, które wręcz obsesyjnie epatuje się własną subiektywnością i nie ma świadomości, że jest ofiarą otaczających ją jej zbiorowych ekspresji, często bardziej drastycznych, w porównaniu z którymi traci na znaczeniu, bo już wiele nie mówi o samym poecie, a tym bardziej o świecie i ludziach, do których on odwraca się plecami. Lizon protestuje również

przeciw idealizacji i medializacji miłości oraz solidarności między ludźmi, sądząc, że wykluczają one ich prawdziwie ludzkie urzeczywistnianie, a skazują je na sztuczność i nieautentyczność, które nie znają granic przyzwoitości. Z tej perspektywy poecie wydają się, że uzyskuje powtórna szansę na ekspresję swojego świata i na prowokowanie również nieograniczonych innymi jego ekspresji, które wzbogacają tę przestrzeń życia, gwarantującą ludziom przysłowiowe „bycie sobą” i niepopadanie w syndrom „bycia z innymi” za wszelką cenę.

Choć niewątpliwie obserwacje poety co do świata, ludzi i obecnie panujących form twórczości są trafne, trudno mu jednak będzie przekroczyć granice coraz sztywniejsze społecznej niemocy i nieprzyzwoitości, choć niewątpliwie ma szansę na budowanie wspólnot ludzi o podobnej wrażliwości i konsolidowanie ich wokół siebie.

Problematyka mierzenia się z własną tożsamością w środowiskach artystycznych od dawien dawna była istotna dla wszelkiego rodzaju twórców. Jednak dopiero w wieku XX, kiedy zaczęło się żywiłowo rozwijać społeczeństwo ponowoczesne pod wpływem coraz silniejszych procesów globalizacji, związanych z masowymi ruchami emigracyjnymi i migracyjnymi, pojawiły się silne procesy penetrujące podstawy zbiorowego i indywidualnego istnienia ludzi, a samo społeczeństwo stało się przestrzenią wzmagającego się ryzyka dla indywidualnych istnień ludzkich. Kwestie te nabrały kluczowego znaczenia w relacjach międzyludzkich nie tylko dla twórców, ale i dla każdego indywidualnego ludzkiego istnienia. Nie wnikając głębiej w te kwestie warto przytoczyć fragment

wyznań pisarza dzielącego się własnym doświadczeniem emigracyjnym Amina Maaloufa, autora książki „Zabójcza tożsamość”, który tak oto widzi tę kwestię z perspektywy własnego doświadczenia międzykulturowego: „W każdym człowieku stykają się liczne przynależności. Nie zawsze żyją one ze sobą w zgodzie i czasem zmuszają do dokonywania trudnych wyborów. Dla jednych ten fakt jest oczywisty, widoczny na pierwszy rzut oka, inni zaś muszą wyteńczyć wzrok, aby móc przyrzeć się tej kwestii z bliska. [...] Z racji chociażby tego położenia, którego zresztą nie śmiałybym nazwać „uprzywilejowanym”, jednostki te mają do odegrania pewną rolę, polegającą na utkaniu więzów, wyrównania różnic, naprawienia szkód, przywołania do rozsądku jednych, utemperowania drugich. ... Ich przeznaczeniem jest bycie łącznikiem, pomostem, mediatorem między różnymi społecznościami, różnymi kulturami. I chociażby dlatego ich dylemat jest bardzo wymowny: jeśli te osoby nie radzą sobie ze swymi licznymi przynależnościami, jeśli ustawicznie są zmuszane do opowiadania się po jednej ze stron, nawoływane do włączania się do szeregów, to mamy pełne prawo do niepokoju o losy tego świata”¹. □

W. Boros, *Złe zamiary*, Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, Gdańsk 2008. S. 46, W. Kawiński, *Obrót koła*, Wydawnictwo ASTRA, Łódź 2008. S. 84, D. Lizoń, *Skupienie*, Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2008. Redakcja i korekta: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, s. 80, S. Widomska, *Nim zedrę zastonę*, Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Piwnicznej Zdroju, Piwniczna Zdrój 2008, ss. 64.

1A. Maalouf, *Zabójcze tożsamości*, PIW, Warszawa 2002, s. 10-11.

Jan Józef Nowak ma już 80 lat

W dniu 14 sierpnia 2008 r. obchodził swoje urodziny Jan Józef Nowak, wybitny działacz ruchu laickiego, oświaty i sportu.

Urodzony w Ćwikowie na Powiślu dąbrowskim gimnazjum i liceum ogólnokształcące ukończył w Dąbrowie Tarnowskiej, a studia wyższe w Krakowie: historię na UJ i dziennikarstwo na WSNS. Pracował kolejno jako: nauczyciel w Technikum Łączności, Budowlanym i Hutniczym w Krakowie a następnie jako wicekurator i kurator Okręgu Szkolnego Krakowskiego w latach 1964-1979, wiceprezydent Miasta Krakowa w latach 1979-1990. Był też w latach 1996-2000 dyrektorem Szkoły Mistrzostwa Sportowego Piłki Nożnej, gdyż piłka nożna obok oświaty była głównym tematem jego życiowych zainteresowań, o czym także może świadczyć to, że był sędzią piłkarskim, prezesem KOZPN, prezesem MKS „KRAKUS” i przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego SZS oraz długoletnim działaczem klubu sportowego Hutnik-Kraków.

Praktycznie przez całe swoje życie uczestniczy w działalności społecznej. Od 40 lat jest działaczem Towarzystwa Kultury Świeckiej (poprzednio Towarzystwa Szkoły Świeckiej), pełniąc od lat funkcję wiceprezesa Zarządu Wojewódzkiego i członka Prezydium Rady Krajowej TKŚ (trzecia kadencja).



Wykorzystując swoje kwalifikacje dziennikarskie wiele publikuje, dawniej w „Tempie” i „Gazecie Krakowskiej” obecnie najczęściej w naszym kwartalniku „Forum Myśli Wolnej”, gdzie od lat zamieszcza w każdym numerze swoje artykuły na aktualne tematy polityczne, historyczne i światopoglądowe. Należy do członków-założycieli krakowskiej „Kuźnicy”, obecnie jest członkiem Rady Stowarzyszenia i wi-

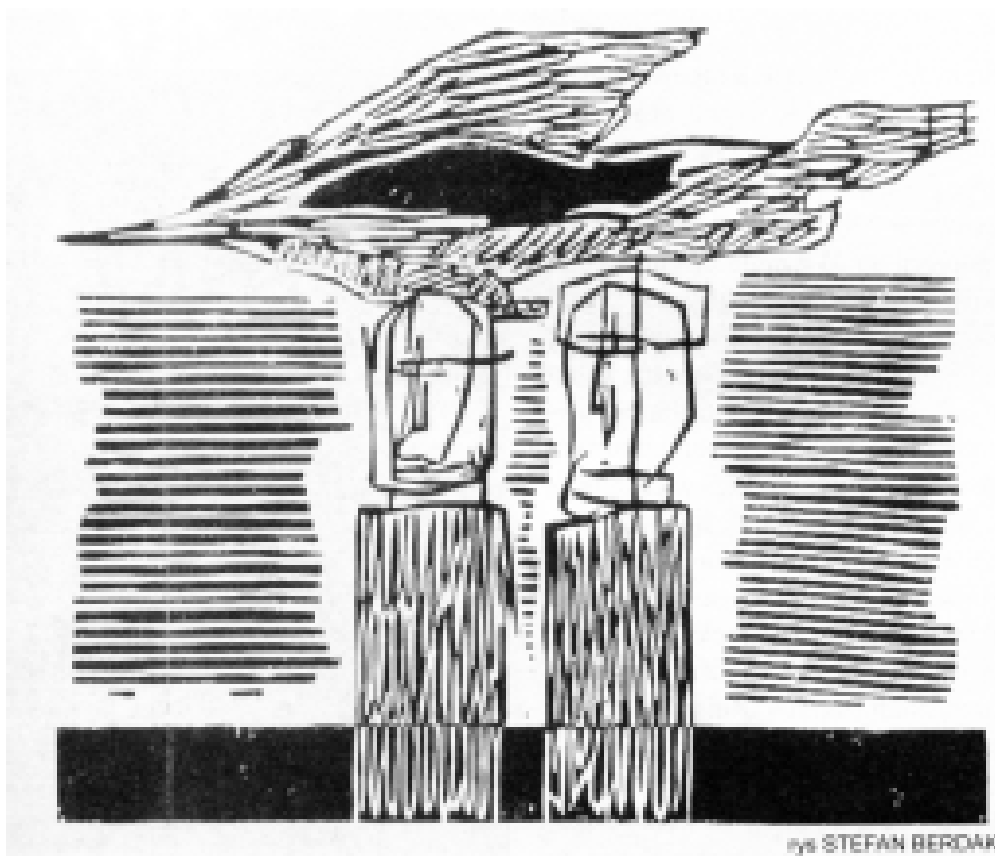
ceprezesem Zarządu Fundacji „Kuźnica”.

Nadal aktywnie działa w środowisku sportowym. Jest organizatorem i przewodniczącym Rady Seniorów Małopolskiego Związku Piłki Nożnej, skupiającej ponad 60 b. piłkarzy, sędziów, trenerów i działaczy piłkarskich.

Umie zmobilizować do działania innych ludzi poprzez własną aktywność i energię życiową, a równocześnie wobec ludzi i problemów zachowuje spokój, umiar i rozsądek. Cechuje Go optymizm pedagogiczny i wiara w człowieka.

□

*Drogiemu Jubilatowi,
w imieniu Redakcji i Rady Programowej „Forum Myśli Wolnej” życzymy
wiele satysfakcji ze swej bogatej działalności społecznej, zdrowia
i wszelkiej pomysłowości oraz dalszego aktywnego zmieniania świata.*



Uroczystość ku czci Tadeusza Boya-Żeleńskiego

Na Krakowskich Plantach tuż pod Wawelem w dniu 7.07.2008 roku w samo południe przy dźwiękach hejnału z Wieży Mariackiej w 67 rocznicę tragicznej śmierci Tadeusza Boya-Żeleńskiego zamordowanego 4.07.1941 roku we Lwowie przez hitlerowców zgromadziło się grono Jego sympatyków i kontynuatorów idei wolnej myśli laickiej.

Stało się tradycją w Krakowie, gdzie Tadeusz Boy-Żeleński został przez ZW TKŚ wybrany swoim Patronem z racji laickich poglądów wyznawanych przez Niego, iż zawsze w lipcu pochylamy się przed Jego popiersiem. Wiązanki kwiatów i ciepłe słowa wspomnień o Jego życiu i działalności, szczególnie literackiej, związanej mocno z młodopolskim Krakowem, kabe- retem „Zielony Balonik” i teatrami saty- rycznymi dostarczyły zgromadzonym członkom i sympatykom TKŚ wielu refleksji we wspólnocie celów i ciągłości histo- rycznej z wybitnym poprzednikiem.

Popiersie Tadeusza Boya-Żeleńskiego zostało odsłonięte w 1980 roku w barwnej scenerii Wawelu i zieleni Plant przy wtó- rze harcerskich werbli wśród dzieci w kra- kowskich strojach i dorosłych zdziwionych mieszkańców.

Uroczystość ta ożywiła serca krako- wian i gości, stając się zarazem okazją do wielu przemyśleń o słuszności i głębi idei laickich tego wybitnego humanisty i my-



śliciela. Pozostawił On bowiem bogaty dorobek krytyczno-literacki, wiele utworów scenicznych, satyrycznych, publicystycznych oraz przekładów z literatury francuskiej.

Szczególnie bliskie naszej działalności są jego nowatorskie hasła racjonalistyczne i laickie, wolne od zakłamania i klerykalizmu, hasła budujące wolnego człowieka, będące fundamentem programowym TKŚ.

Od kilku lat w rocznicę tragicznej śmierci naszego Patrona spotykamy się

przy Jego popiersiu w gronie członków i przyjaciół Towarzystwa Kultury Świeckiej, a ta uroczystość stała się trwałym elementem świeckiej obrzędowości w Krakowie.

Zapraszamy do lektury naszego wydawnictwa „Forum Myśli Wolnej”, gdzie znajduje się wiele ciekawych tekstów o wymowie filozoficznej i laickiej.

Spotkamy się znowu w przyszłym roku u stóp Wawelu przy popiersiu Boya.

Cześć Jego pamięci!



Jubileusz

Obchodzone są różne jubileusze, ale takiego, jaki odbył się 20 czerwca 2008 r. w Bronowicach Małych w Szkole Podstawowej nr 50, nie pamiętam. Niezwykłość tego spotkania polega na tym, że uczniowie chodzący do jednej z jej klas w latach 1951-1958 zorganizowali zjazd absolwentów. Myślę bowiem, że mało komu, przy normalnej wyobraźni, przychodzi do głowy, by po 50 latach od ukończenia szkoły spotkać się, zobaczyć siebie, popatrzeć, podzielić się wrażeniami, osiągnięciami, dokonaniem. Ile trudu musieli sobie zadać organizatorzy, by odszukać po tylu latach swoich nauczycieli i wychowawców? Trzeba było powołać komitet organizacyjny, podzielić zadania.

Tym wszystkim kierował i koordynował Pan Tadeusz Król, również absolwent. Odnaleziono niektórych nauczycieli, wielu już nie było wśród nas. Przybyła Pani Prusak, Pani Wilk z synem i wnuczką oraz ja, jako wychowawca klasy. Na ponad trzydziestu absolwentów rocznika, przybyło 26 osób, niektórzy z różnych stron Polski. Inni nie mogli, ze względu na stan zdrowia, a niektórych już wśród nas nie było.

Co to było za spotkanie, jaka atmosfera, jak oni do siebie mówili, ile rzeczy pamiętali, jak mówili o swojej drodze życia, o dorobku i o osiągnięciach...

Podniosłym momentem była uroczysta chwila ciszy za nieżyjących kolegów i nauczycieli, odczytanie dziennika lekcyjnego z roku 1958, wręczenie absolwentom jubileuszowych świadectw immatrykulacyjnych ukończenia szkoły, wpis do księgi pamiątkowej oraz przekazanie do izby regionalnej szkoły róż-

nego rodzaju eksponatów, zdjęć i gadżetów.

Jako wychowawca tej grupy młodzieży byłem bardzo wzruszony, że spotkaliśmy się po tylu latach. Zabierając głos wyraziłem podziw za zorganizowanie spotkania, pochylałem nisko głowę z szacunku do obecnych, że chcieli odnaleźć swojego wychowawcę, złożyłem gratulacje za ich osiągnięcia życiowe (z rocznika tylko 2 osoby zakończyły edukację na poziomie średnim, a inni na poziomie wyższym). To była wzruszająca sytuacja, dla wychowawcy czego chyba nie ma nigdzie w Polsce, by absolwenci klasy ósmej Szkoły Podstawowej nr 50 w Krakowie – Bronowicach Małych, prawie w całości ukończyli studia wyższe. Czy to nie była prawdziwa satysfakcja pracować z taką młodzieżą w bronowickiej szkole?

Na honorowych dyplomach ukończenia szkoły, wpisali sobie „Sorbona

Bronowicka” i słusznie, bo taką młodzieżą może poszczycić się szkoła i to nie jakaś tam, ale nr 50!

W miłej atmosferze, przyjaznej serdeczności, sympatii i wzruszeniu spotkanie o historycznym znaczeniu, dla dorobku szkoły i osiągnięć absolwentów, dobiegło końca.

Szkoła Podstawowa nr 50 w Bronowicach Małych promieniuje na środowisko. Młodzież uczestniczy w zawodach olimpijskich, konkursach, zdobywa nagrody. Posiada wysoko kwalifikowaną kadrę pedagogiczną, bardzo zaangażowaną i oddaną szkole dyrekcję.

To rokuje bardzo dobrze na przyszłość. □



ryś STEFAN BERDAK

MARIAN DZIWIŚZ

Nauczyciel

Ja – kamień w rzece Heraklita
trwam mimo naporu fali
i wciąż nowe ryby –
zatrzymuję na chwilę przy sobie,
ogrzewając je niekamiennym
sercem.

Uczę je trudnej sztuki –
rozumienia bycia w nurcie
rzeki kultury: symboli, myśli,
słowa.

Uczę je myślenia przed
mówieniem;
myślenia przed działaniem;
nie wchodzenia ponownie....
Ta i tamta ryba błyska łuską.

Ta i inna ryba chce tylko
przetrawić.
Tylko parę ryb korzysta
z tego czym mogę im służyć
Nim pojawią się nowe
odpływają, te które były.
Płyną w swoją dorosłość,
gdzieś....– daleko.....

Bywa – to się zdarza....
jakaś ryba wspomni kamień,
odezwie się z sobie znanej dali
z sobie znanej rzeki.

Niekiedy *Ludwiku*
ławicą na chwilę powrócą
by ogrzać znowu ogrzać
serca przy **KAMIENIU**.

(W świecie lirycznego słowa)

[Dialog pomiędzy Marianem Dziwiszem i jego uczennicą, z lat 1995-1999, Anną Kuklą]

M. Dziwisz:

Ani Kukli

Witaj w świecie lirycznego słowa
w którym gałązka lipy
srogi upał chłodzi
w którym „gałązka
z wiewiórki na wiewiórkę skacze”
W którym gwiazda się śmieje
w którym kamień płacze.

A. Kukła:

Marianowi Dziwiszowi

Witam w świecie lirycznego słowa
Witam w świecie,
W którym słowami rozwijają się kwiaty
duszy,
A ich płatki raz barwami nasycone,
A raz czarne,
Niekiedy w rosie weseleją,
Czasem płaczą wśród burzy.

Witam w świecie lirycznego słowa,
W którym gałązka lipy chłodzi,
A cień daje brzoza.

Weselej jest śmiać się z gwiazdami,
Ich blaskiem radość ozdobić.
Lżej płakać jest z kamieniami,
Ból swój ich płaczem odciążać.

M. Dziwisz:

Witaj w krainie, w której każde słowo
najpierw się waży w duszy
a później w myśleniu

aż dojrzeje, jak wino
jak pszeniczne ziarno
barwy miodu nabierze
- zamknie w sobie prawdę.

A. Kukła:

Witam w krainie,
W której dusza jest źródłem
Myśli strumienia,
Który szuka drogi dla siebie,
Krajobrazy zmienia
W krainie tej
Prawda jest zawarta w słowie,
Które narodziło się odczuciem,
Wykiełkowało myślą
I dojrzało w promieniach
Lirycznego Słońca.

M. Dziwisz:

Tak to jest Aniu w sztukach wyzwolonych
Uczeń przerasta mistrza
tworząc własne światy
i tylko czasem szlif słowa go zdradza
że jest z jego szkoły.
Mistrz, nie jest zmartwiony
choć być może – czas – już
by pióro odłożył.

A. Kukła:

Dopóki uśmiech na ustach,
I póki łaza kręci się w oku,
A po pięciolinii zmysłów
Przepląta niepokój,
Dopóki z nasion odczuć,

Rodzą się nieskrępowane myśli,
Dopóki słońce rano wstaje,
A z pól dalekich słychać szum brzozy,
Na pewno nie jest czas na to
By pióro odłożyć!

Przed Mistrzem chylę głowę,
Przerosnąć Go wszakże nie mogę,
W dłoni trzymam gałązkę lipy
Daną przez Mistrza na drogę.

M. Dziwisz:

Jakże to pięknie Przyjaciółko Moja
Kiedy prowadzisz w zakamarki ciszy
Jak ten młodzieniec, który wiódł Homera
Tam gdzie pszeniczny łąn oczy utrudzone
syci
Tam gdzie z zapachów poczujesz smak
ziela.

Jakże to piękne, gdy dzielą nas lata
A ty nie baczysz na ten włos siwy
I zmarszczki na twarzy, lecz szepcesz
słowa
I pozwalasz marzyć o chwilach
W których już czas się nie liczy.

A. Kukla:

Sekret róży

Stulone płatki róży
Skrrywają srebrną łzę,
Jak perłę z głębin morza,
Co przed światem się chowa.

Tak czule obejmują
Srebrno-perłowy skarb,
By całe niebo nie mogło dostrzec,
Jak wiele jest on wart.

Niekiedy tylko
Jej blask delikatnie się odsoni,
Gdy płatki róży po cichutku
Dobędą na chwilę pół skroni.

I czasem tylko,
Gdy nikt nie patrzy,
Po łodyżce drżąca łezka spływa,
Tak piękna, tęskna i szczęśliwa.

Rozmowa odbyła się na forum „POEZJA” portalu
„Nasza_Klasa” po umieszczeniu na nim pierwsze-
go wiersza Anny Kukli, we wrześniu 2008 r.



CZESŁAWA JOLANTA KOTARBA

● 13 lipca tego roku w wypadku samochodowym zginął prof. Bronisław Geremek: polityk, eurodeputowany, wybitny intelektualista, wyśmienity mówca, gorący patriota. Jako działacz polityczny był jednym z tych, którzy zapoczątkowali przemiany polityczne w Polsce. Był głównym doradcą „Solidarności” i uczestnikiem Okrągłego Stołu. W stanie wojennym internowany, a później aresztowany. Przewodniczył Komitetowi Obywatelskiemu, który przygotował projekt przemian politycznych w Polsce. Był kilkakrotnie posłem na Sejm z ramienia Unii Demokratycznej a potem Unii Wolności. W 2004 roku wybrany został na europosła z ramienia Unii Wolności. Jerzy Szmajdziński powiedział o nim m.in.: „w fazie tworzenia koalicji Lewicy i Demokratów była to dyskusja z kimś, kto przyjmował argumenty rozmówcy. Był człowiekiem wielkiej kultury, wielkiego umysłu. Jego odejście to wielka strata dla Polski i polskiej polityki zagranicznej”. Niespodziewana, tragiczna śmierć B. Geremka była wstrząsem dla wielu ludzi, głównie dla jego przyjaciół politycznych, ale także dla wszystkich tych, którzy cenią wartościowych ludzi.

Nie zauważyłam, by ta śmierć była szczególnym wstrząsem dla jego niektórych dawnych przyjaciół, towarzyszy walki. Być może czas zacierą, osłabia przyjaźnie, powoduje różnice w pojmowaniu świata, ludzi i zdarzeń.

● Tegoroczne lato już niedługo się skończy, chociaż nie rozpieszczało nas zbyt dobrze dobrą aurą, wręcz obfitowało w pogodowe anomalie przynoszące kataklizmy w rodzaju ulewnych, obfitych deszczów, trąb powietrznych, huraganów, to jednak żal. W wyniku kaprysów pogody najbardziej ucierpiały województwa: opolskie, łódzkie, śląskie, dolnośląskie, mazurskie i podlaskie. Wielu ludzi pozbawionych tam zostało całego dorobku swego życia. Trwa ciągle jeszcze szacowanie strat i naprawianie szkód po nawałnicach. Władza obiecała wydatną pomoc poszkodowanym, ale jak zwykle pomoc ta jest w dużej mierze wirtualna. Gdyby nie dobrosąsiedzka pomoc, mieszkańcy zniszczonych domostw do tej pory nie mieliby gdzie się schronić. Jesień również nie zapowiada się najlepiej. Będzie wprawdzie gorąco, ale nie z powodów atmosferycznych, lecz społecznych. Szykują się strajki i protesty ludzi pracy i nauczycieli, kolejarzy, górników, stoczniowców, sędziów, w sporze zbiorowym pozostają także NSZZ policjantów. 29 sierpnia NSZZ „Solidarność” rozpoczęła tę serię protestów. Przyjechali do stolicy z całej Polski, w liczbie kilkunastu tysięcy, by domagać się godnych płac i godnych emerytur. Gdy ulicami szli manifestanci, w telewizji dziennikarz pytał panią socjolog, jak ocenia ową manifestację. Pani profesor socjologii dostrzegła nową jakość w tym proteście wyrażającą się tym, że żada-

nia manifestantów skierowane były pod adresem pracodawców, a nie rządu. Widocznie p. profesor nie słyszała okrzyków: „Złodzieje – na Belweder i Kaczora”. Nie miała także okazji rozmawiać z manifestującymi. Szkoda, bo wtedy dowiedziałyby się, że: „Ten rząd jest jeszcze gorszy od komuchów”, że „Mieliśmy mieć cud w Polsce, a mamy gówno” itp. Każdy słyszy to, co chce lub to co woli słyszeć. Nie widzi także świateł dymnych, nie słyszy huku petard. Odebrałam tę wypowiedź jako próbę zapobieżenia ewentualnym dywagacjom, że rząd Tuska jest atakowany. Nie, ten rząd jest cacy.

● Instytut Pamięci Narodowej powołany został jak sama nazwa wskazuje, do badania i utrwalania w pamięci Polaków obiektywnego obrazu najnowszej historii naszej Ojczyzny, sięgającej od czasów II Rzeczypospolitej do chwili obecnej. Fakty, wydarzenia i ludzie przedstawione bez politycznego zaciętrzewienia, z dbałością o prawdę historyczną – to główny cel powołanego Instytutu. Ale niestety, cele w praktyce zostały generalnie przesunięte. Wspecjalizowano się głównie w opluwaniu czasów Polski Ludowej i ludzi w niej działających. „Instytut Pamięci Narodowej jest nie tylko specyficznym rodzajem policji politycznej PIS czy – szerzej – obozu lustracyjnego, ale w równym stopniu jest instytucją, która uprawia bezczelne marnotrawstwo środków publicznych. Jego działalność dokonuje się bez żadnego pożytku dla naszej samowiedzy historycznej i dla utrwalenia pamięci o ludziach i sprawach czasu Polski Ludowej, które rzeczywiście warto są utrwalenia. IPN sprowadza ciekawą, barwną, miejscami fascynującą, na pewno trudną, a nawet dramatyczną, czy tragiczną

historię PRL do aktywności Urzędu Bezpieczeństwa, do aktywności jej agentów i całej tej gry, która toczyła się przez lata na tym polu i z którą w końcu styczność miała tylko znikoma część społeczeństwa” – pisze na łamach „TRYBUNY” (T. nr 174) jej publicysta Krzysztof Lubczyński. Przeciwwstawia on jadowitym, tendencyjnym publikacjom IPN aktualnie wydawane książki z serii „TRIO” traktujące o czasach PRL. Ukazują one całe bogactwo PRL uwzględniając wszystko, co było w niej pozytywne i wszystko, co było złe. Rzetelność naukową tych publikacji gwarantują nazwiska wybitnych historyków będących członkami Komitetu Redakcyjnego wydawnictwa.

IPN nie tylko zaciemnia, fałszuje naszą niedawną przeszłość, ale niezwykle krzywdzi działających w niej ludzi. Przykładem jest były prezydent Rzeczypospolitej Lech Wałęsa. O panu Kurtyce i jego instytutowych kolegach, a także o wielu prawicowych działaczach historia zapomni, ale Lech Wałęsa, Wojciech Jaruzelski na zawsze w niej pozostaną.

● Zwykle w okresie rocznicy powstania PKWN pojawiają się w prasie zjadliwe publikacje na temat PRL. Przykro pisać, ale ludzie lewicy, mam szczególnie na uwadze partię SLD, nie mają odwagi, czy też woli głośno przeciwstawić się tym często jakże tendencyjnym, wręcz kłamliwym publikacjom. Niech mi zatem wolno będzie zarekomendować czytelnikom „Forum” lekturę książki p. Eleonory Salwa-Syzdek p.t. „Była taka Polska” (wydawnictwo Komando). Warto tę książkę przeczytać, bo stanowi ona odtrutkę na fobie, znakomicie poprawić może nasze samopoczucie. Autorka odważnie i przekonująco staje

w obronie dorobku PRL, co skutecznie pomoże czytelnikowi pozbyć się frustracji wywołanej działalnością IPN.

● Konflikt Rosja – Gruzja jest konfliktem związanym z aktualną budową świata po zimnej wojnie, jest walką o nowe strefy wpływów. Rosja broni strefy Kaukazu, która tradycyjnie, od czasów carskich, jest terenem jej wpływów. Gruzja zaś chce zmienić „patrona” i schronić się pod parasol NATO i USA. Osetia i Abchazja to tylko droga do realizacji celu. W wyniku konfliktu oczywiście ucierpią obydwa narody. Polska co najwyżej może pomóc w miarę możliwości cierpiącym ludziom, ale nie powinna być stroną w tym konflikcie. Śmieszny był prezydent L. Kaczyński wygrażający rosyjskiemu mocarstwu. Zignorowała go strona rosyjska, ale nasze i tak nie najlepsze relacje z Rosją stały się jeszcze gorsze, wręcz wrogie. Pewien rosyjski zwykły obywatel w sąsiedzkiej rozmowie z polskim korespondentem w Petersburgu nazwał ten „występ” naszego prezydenta zabawą z niebezpiecznym niedźwiedziem, który – gdy się zdenerwuje – może zrobić krzywdę. Rozumiem, choć nie akceptuję tego, że mocarstwa dzielą świat na swe strefy wpływów, tak czyni Rosja, tak czyni USA i Chiny także. Ogłoszenie niepodległości Osetii i Abchazji oburzyło inne kraje i rywalizujące z Rosją mocarstwa. Natomiast niepodległość Kosowa przyjęto z aplauzem. Nikt, przynajmniej oficjalnie, nie zaprotestował rzecz jasna z wyjątkiem Rosji. Kosowo przecież również było integralną częścią Serbii, kolebką jej kultury. Ale prawdopodobnie było to w interesie Ameryki i... my też ten fakt akceptowaliśmy. Na nadzwyczajnym szczycie Unii Europejskiej zwołanym w sprawie Rosji i

Gruzji Polska, a prezydent Lech Kaczyński – przy słabym poparciu Premiera – miał domagać się sankcji dla Rosji. Ale na szczęście ostygł w tych zamiarach, tym bardziej, że okazało się, iż zdecydowana większość uczestników wypowiedziała się przeciwko antyrosyjskim sankcjom. „Rosja jest olbrzymim, liczącym się krajem, mocarstwem, które zostało w pewnym sensie w ciągu ostatnich dwudziestu lat upokorzone (...) dlatego do UE należy znalezienie ścieżki dialogu” – powiedział premier Francji.

● Konflikt na Kaukazie przyspieszył polską i amerykańską decyzję budowy na terenie naszego kraju tarczy antyrakietowej. Większość Polaków zaniepokojona pyta: po co nam ta tarcza? Będzie nas to kosztowało drogo, w sensie finansów a może i ludzkiego życia. Rząd uspakaja, wskazuje na korzyści, ale oficjalnie narodu o zgodę nie pytał i nawet nie zamierza nadal, chociaż ludzie upominają się o referendum w tej sprawie. Taka to u nas demokracja.

● Wprawdzie Polska nie jest z żadnym państwem w stanie wojny, ale od dłuższego czasu jesteśmy świadkami nieustającej wojenki Prezydenta z Premierem. Obowiązkiem ich jest współpraca dla dobra kraju. Wie o tym świetnie A. Kwaśniewski, choć w jego przypadku kohabitacja była niezwykle trudna. Obecnie przecież Premier i Prezydent pochodzą z prawicowej opcji, różnią się przynależnością partyjną, i oczywiście poziomem cholesterolu. Ale ten ostatni nie decyduje o temperamencie, sprawności intelektualnej, o kulturze politycznej i kulturze zachowania itp. O cóż więc chodzi? O przyszłą prezydenturę. Trzeba zarabiać punkty na rzecz swego wizerunku. On jest ważniejszy od dobra

kraju i obywateli. Żenująca jest ta wojenka. Wnioski wyciągnie elektorat, oby nie fałszywe.

● Już wakacje się skończyły. W polskiej szkole szykuje się wiele zmian w tym, a szczególnie w przyszłym roku. Już w tym roku szkolnym wprowadza się w szkołach podstawowych, od najmłodszych klas, naukę obcego języka. Nowością jest także poszerzony dla kończących szkołę podstawową egzamin. Obejmie on, oprócz części humanistycznej i matematyczno-przyrodniczej, język obcy. Od września przyszłego roku decyzją MEN wprowadza się dla ucznia obowiązkowo naukę religii lub etyki. Ministerstwo zatwierdziło już na użytek szkół średnich „podręcznik” do nauki etyki. Jest nim zbiór pogadań z etyki autorstwa ks. prof. Andrzeja Szóstka pisanych na zlecenie katolickiego tygodnika „Niedziela” i tam publikowanych. W ten sposób MEN sprytnie na lekcje etyki wprowadza etykę katolicką. W myśl przysłowia: „nie kijem go, to pałką”. Prof. Magdalena Środa – etyk – oceniając ten fakt powiedziała: „podstawą nauczania etyki w szkołach powinien być podręcznik, w którym etyka przedstawiona jest jako dziedzina filozofii. Taki podręcznik powinien zostać napisany zgodnie ze standardami obiektywizmu, czyli powinien zawierać możliwie najszersze spektrum stanowisk etyki filozoficznej bez rozstrzygania, które stanowisko jest słuszne”. Dodała, że najbardziej boi się konformistycznej części nauczycieli, którzy przy wyborze podręcznika będą kierować się względami pozamerytorycznymi. Pojawiła się także zapowiedź SLD, że skieruje do Sejmu projekt ustawy o wychowaniu seksualnym w szkole w gimnazjach i liceach. Jest na to przyzwolenie społec-

ne. Z badań prof. Zbigniewa Izdebskiego wynika, że 92 procent Polaków aprobuje prowadzenie w szkołach edukacji seksualnej. Opowiadają się także za jej wprowadzeniem respondenci deklarujący się jako wierzący. Problem ten stał się „gorący” po nagłośnieniu przez media spraw ciąży nieletnich dziewcząt nierzadko będących wynikiem kazirodczych stosunków. Jak Sejm potraktuje słuszną inicjatywę SLD to wielka niewiadoma.

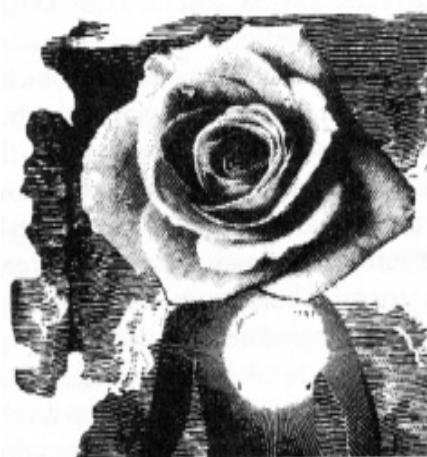
● Jak zwykle co roku 1 sierpnia, o godz. „W” odbyły się w Warszawie pod pomnikiem Gloria Victis uroczystości ku czci tych, którzy polegli w powstaniu. I jak zwykle nie obyło się bez skandalu. Część publiczności wygwizdała wystąpienie Premiera, a potem wygwizdała obecnego na uroczystości byłego powstańca Władysława Bartoszewskiego. W rocznicę porozumień sierpniowych w Gdańsku również nie obyło się bez gwizdów. Tym razem wygwizdano Bogdana Borusewicza – jednego z twórców „Solidarności”, aktualnego marszałka Senatu. Nie było na rocznicowych uroczystościach Lecha Wałęsy, w wystąpieniu Prezydenta nie wspomniano o jego zasługach dla ruchu solidarnościowego i przede wszystkim dla przemian politycznych w Polsce. Jakże to polskie: zawiść, małostkowość, mściwość – jak bardzo gawiedzi podoba się, że komuś dokopano, zwłaszcza jeśli ten pełnił lub pełni wysokie urzędy.

● Zakończyła się także Olimpiada w Pekinie – najważniejsza impreza sportowa czterolecia. Polska wysłała na nią liczną ekipę, najliczniejszą od czasów Olimpiady w Moskwie. W 23 dyscyplinach sportowych startowało 101 pań i 157 panów.

A rezultaty? Znacznie skromniejsze od oczekiwanych: 10 medali (tak samo jak w Atenach), ale tylko 3 z najcenniejszego kruszcu. Szkoda, bo te liczą się najbardziej w ogólnej punktacji. Kiedy wraz z innymi długo i z niepokojem oczekiwałam na dobre wieści z Pekinu, rozbawił mnie prasowy żart: jeden kibic pyta drugiego, co właściwie nasi sportowcy robią w Pekinie? – Zapytany odpowiada: „Bojkotują”. To oczywiście sarkastyczny dowcip nawiązujący do dyskusji, jaka przed Olimpiadą toczyła się w Polsce. Żarty żartami, ale coś z tym sportem trzeba w Polsce zrobić!

● Kiedy jestem w supermarkecie i widzę wyładowane towarem wózki klientów, to myślę optymistycznie: nie jest tak źle w Polsce. Lecz gdy widzę ludzi kupujących w osiedlowych sklepach, to ich zakupy często są więcej niż skromne. To już jest inna klientela, w większości jeśli nie uboga, to bardzo licząca się z każdym groszem. Na ulicach, przed sklepami stojących, kościołami tak wiele jest ludzi nieśmiało i z zażenowaniem proszących o wsparcie (nie piszę o lumpach i pijakach – tych się natychmiast rozpoznaje). Zsypy w blokowiskach odwiezane są każdego dnia przez zbieraczy puszek, złomu, makulatury lub innych „skarbów”. Wiem, że tak jest w wielu miejscach na świecie, ale w Polsce w czasach tego „wrednego” PRL-u tak nie było, więc ta bieda tym bardziej boli. Boli także dlatego, że u nas najbiedniejsze są dzieci i starzy, schorowani ludzie. Statystyki w tym względzie nie kłamią i są wręcz porażające. Wiedzą o tym najlepiej nauczyciele w szkołach, pracownicy opieki społecznej. Myślę i piszę o biedzie niezawinionej, głównie wynikającej z niskich zarobków, głodowych rent zasiłków, niesprawności,

różnorodnych chorób, opuszczenia przez bliskich i innych losowych zdarzeń. Wstydlivym problemem jest złe traktowanie starzych i chorych ludzi. Długie kolejki po zdrowie zarówno w niepublicznych jak i prywatnych klinikach i przychodniach, czekanie miesiącami a nawet latami na miejsce w zakładzie opieki zdrowotnej, coraz częściej zdarzające się selekcjonowanie do leczenia wg wieku, kosztów i zasobności portfela. Prof. Ludwik Stomma w korespondencji z Paryża (T. 27 sierpnia) pisze o bulwersującej go informacji z Polski: „Ostatnio dowiedziałem się, że w Polsce nie płaci się za leczenie chorych na raka mózgu, bo to się nie opłaca. Ktoś wymyślił, że kuracja kosztuje 200-300 tys. zł, więc wstrzymuje się leczenie, czyli skazuje się tych ludzi na śmierć. Życie dziecka poczętego jest bezcennym skarbem, takiemu płodowi gwarantuje się pełnię praw. Równocześnie odmawia się ich 60-latkowi z tumorem mózgu. Gdzie tu logika oraz moralność? O opiece zdrowotnej, reformie służby zdrowia wiele się w Polsce mówi... i to wszystko. □



rys STEFAN BERDAK

POEZJA ZAGRANICZNA

ANDRZEJ WALA

Ból przemijania

Okiem, zastygłym w zdumieniu radosnym,
ujrzałem nagle obraz mojej wiosny
zakłęty w zielonej kępce.
Schylony nad nią w niskim, kornym skłonie,
z bijącym sercem, drżące niosę dłonie
by tylko dotknąć, nic więcej...

Tutaj, przede mną, w rozpulchnionej ziemi,
krzaczek marunki żywo się zieleni
jak dawniej. Pół wieku temu.
I naraz mózgiem i piersią się toczy
żał jakiś ciężki, pęcznieją oczy
łzą słońca, nie wiedzieć czemu!

Ach wiedzieć, wiedzieć, tak się tu rozżalam,
że mi do końca przeważa się szala
i takim już przyśniedziały...
Bo, lata temu, zdobny w loki złote,
tu wyprawiałem, na com miał ochotę,
ja, Aniuś „Indianin” mały.

Żal

Siedzimy naprzeciw siebie
odgrodeni czystą niewidoczną szybą
nieistniejącą
a jednak...
Moje słowa układają się
w uprzejmy bezsens
choć chciałbym wykrzyczeć
prawdę
pragnienie
radość
Patrzę ci w oczy

i widzę że się boisz
boisz się że powiem za dużo
a ty nie będziesz wiedziała co z tym począc
Twój strach
jest najboleśniejczy
pęka we mnie coś...
to wybuchł żal
żał że myślisz
że ja
ten meteoryt
zniszczy ci
twój codzienny byt
matki i żony
Nie bój się
chciałem tylko
być na chwilę w tobie
zobaczyć cię
przypomnieć sobie
smak twoich ust
Żal że nie zrozumiesz

ZBIGNIEW BUDEK

Szczęśliwe podwórko

*Kraj lat dziecinnych! On zawsze zostanie
Święty i czysty jak pierwsze kochanie...
(Pan Tadeusz. Epilog A. Mickiewicz)*

pamiętam czasy ich drobne pieniążki
przeliczaliśmy je na landrynki

we wtorki i piątki
poranek kończył się na targowisku
z pustą po konwaliach
emaliowaną miską

po drodze znowu landrynki
reszta drobnych za cerowane dziury
w skarpetkach – była dla mamy

babcia pod piecem przez grube okulary
czarowała serwetkowe kwiatki

wspominała że gdyby nie ten dym
nad Warszawą
dziadek też by tu siedział
dzieląc dla nas jabłko
małym nożykiem

a my szczęśliwi po kolacji
obiecaliśmy aniołowi stróżowi
że jutro też weźmiemy go
na nasze podwórko
żeby jak dzisiaj się z nami bawił

wieszcz poszukiwany

nieważne gdzie się patrzy
wszędzie są przeżycia nasze
spojrzysz i już masz
to są takie małe sprawy

zbiornik śmieci
obok dzieci wiadro puste
podrapana w słońcu fasada
bez obrazka ramka
a w niej tylko cisza

coś co fascynuje
przedstawia się historią
bez notesu

łapane uczucia
drobiazgów
które mają odżyć
w zmysłach

jak rozbrojony radością
wolny
obraz na wiersz
co swojego wieszczą
szuka

JERZY CZYŻ

Taka chwila...

Jak niebiańsko bym się cieszył gdyby oczy
chciały pokonać
serce...

Z Gwiazdą Rozpaczy zgaszoną po
Zaiskrzeniu Chwili Nadziei,
Jak Magellan z sekstanssem pod falą wody
nieznania
Chciałbym wiedzieć – dlaczego dryfuję...
wciąż pływam...
nie wiem dlaczego i dokąd...

Gdzie mnie podmuchy i prądy nieznane
pchają
Czym się nagradzam lub gdzie coś gubię
Zbrodni popełnić nie chcę –
Bo coś widzę... i coś umie... (ale).

Dziwne jest życie człowieka... (i moje),
Chciałbym to wszystko szanować –
. Drzewo mi ręki nie poda
. Skowronek nie zaśpiewa
. Żabka zakumka smutnie
. Gwiazdka nie spadnie z Nieba...

Erotyk Męski

Dotknięcia są jak niewiadome...
... i błądzą parami...
... parami, bo jak piersi i uda kobiece...
... czarują Rajami...

obrazem swym obiecując rozkosz...
... dotykają zmysłowo świadomości
... świadomie mówiąc o zmysłowości
... szukają twej ułomności.

Dotknięcia są kobiece,
świadomość jest męska
przyjemność albo rozkosz musi być twym targiem
... z rachunkiem twej świadomości
... z podniecią przyjemności...
... Albo Klęski i Potknięcia

*Pani Natalii Hojny
właścicielce restauracji „Pod Krzyżykiem”
wiersz ten dedykuję*

**„Pod Krzyżykiem”
– Pod Konikiem – Kraków, Rynek Główny 39**

*Zamyślony, zadumany w krześle rozsiadł się Matejko,
Ubrał kostium błazna króla. – Stańczyk wita gości zewsząd.*

*„Pod Konikiem” tłoczno, rojno – goście zewsząd przyjeżdżają.
Tu ucztują jak Sobieski, bowiem dobre jadlo dają.*

*W głębi sieni na obrazach – parafrazach dawnych mistrzów,
są tematy dobrze znane. Na nich w menu – prawie wszystko:*

*W krok kelnerzy niosą jadlo – to jest motyw Flamandczyka.
Bruegel Starszy nam się kłania... Obok płynie w takt muzyka.*

*W barze wina można nabyć. (Tu sprzedaje krakowianka).
Choć to motyw pożyczony: Edouard Manet to – i basta!*

*Obok „Dziwny ogród” wita. – To jest ogród Mehoffera.
Ile w nim jest baśni, wiosny – każdy kwiat tu hymny śpiewa.*

*Dalej lustra, korytarze... i ukryte w głębi stoły.
Pod stopami widok miasta. – Kraków w miniaturze stoi.*

*Herb olbrzymi, maskarony dopełniają tajemnicy.
– Przyjdź „Pod Krzyżyk”, sam zobaczysz, że się miejscem tym zachwycisz!*

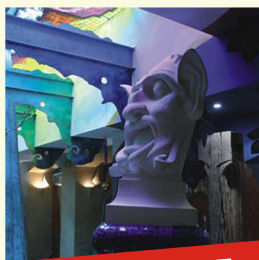
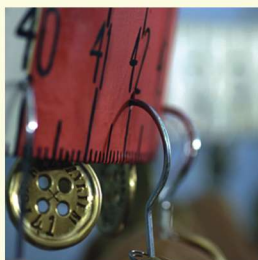
Kraków, lipiec 2008 r.

Jerzy Hyrjak



POD KRZYŻYKIEM

RESTAURACJA POLSKA



Newsweek
POLSKA

LUNCH!!!

Podawany od 12.00 do 16:00
Served from 12.00 till 4 p.m.

Przystawka i danie główne
lub danie główne i deser 35 PLN

3 dania 40 PLN

Starter and main course

or main course and dessert 35 PLN

3 courses 40 PLN

"Exceptional Polish cuisine,
best in Krakow!"

"Najlepszy tatar w Krakowie."

"... like climbing inside
a giant Dali painting."

Catering Bankiety Koktajle
Rynek Główny 39 Kraków 012 433 70 10

www.podkrzyzykiem.com





STEFAN BERDAK, 1985, *Zrozum i uwierz*, olej, płótno, 70x50cm